BIBLJOTEKA FRANCISZKAŃSKA
TOM I.

P. Bernardo del Sole O. F. M.

Śladami Serafickiego Ojca

Konferencje
o życiu i cnotach św. O. Franciszka

LWÓW.
Nakładem Redakcji »Posłańca św. Antoniego«.
1926.
CENA 4 Złote

BIBLJOTEKA FRANCISZKAŃSKA
TOM XXX.

P. Bernardo del Sole O. F. M.

Śladami Serafickiego Ojca

Konferencje o życiu i cnotach św. O. Franciszka

przełożył z drugiego wydania włoskiego
O. Cyprjan Firszt. Dr. filozofji.
:—: Zak. Br. Mn. (OO. Reformatów). :—:

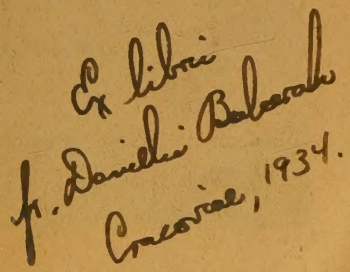

Lwów
Nakładem Redakcji Posłańca św. Antoniego.

Na druk konferencyj: „Śladami Seraficklego Ojca", tłumaczonych z włoskiego przez O. Cyprjana Firszta, dr. i lektora gen. filozofji, zezwalam.

Kraków, 1 maja 1925 r.

O. Benjamin Ryziński
prowincjał.

NIHIL OBSTAT

Lwów, 10 maja 1926 r.

O. Dr. Antoni Górnisiewicz Z. K.

L. 4381.

IMPRIMATUR

Z Kurji Metropolitalnej obrz. łać.

We Lwowie, dnia 1. czerwca 1926.

† *Bolesław*
Arc. Metropolita.

Św. Franciszek u schyłku życia.

Od wydawcy.

Oddając społeczeństwu polskiemu niniejszą książkę, pod tytułem **„Śladami Serafickiego Ojca“**, nie można nie życzyć jej jak największego powodzenia. Podaje bowiem do naśladowania cnoty Serafickiego Patrjarchy, które Polskę staczającą się w przepaść występków, uratować od zguby mogą. Konferencje o posłuszeństwie, pokorze, umartwieniu, miłości bliźniego i t. d., chciałoby się rozesłać do wszystkich, od stojących na najwyższych stanowiskach aż do ostatniego robociarza i pastuszka. To, co przed kilku laty w parlamencie włoskim powiedział jeden z ministrów, że Włochy zatrute bakcylem bolszewizmu uratować może Franciszek z Assyżu, z większą jeszcze słusznością powiedzieć można o Polsce, która jeszcze w wyższym stopniu zarażona jest bolszewizmem i socjalistyczną gangreną, czego dowiodły wypadki z 13 maja b. r. Tak jest. Polskę uratować może tylko Franciszek z Assyżu, to jest te cnoty, których tak wspaniały przykład nam daje, a do których naśladowania zachęca niniejsza książka. Niechże więc idzie ona w polskie społeczeństwo i pociągnie do naśladowania cnót Serafina z Assyżu jak najliczniejsze szeregi obywateli, a spełni się wówczas nad Polską to jego hasło, które wszędzie On głosił: **Pokój i Dobro!**

W książce tej ks. Dyrektorzy i Kaznodzieje znajdą materjału w obfitości do kazań i przemówień dla tercjarzy w czasie zgromadzeń Zakonu III, a zwłaszcza teraz z okazji 700 letniej rocznicy śmierci św. Franciszka. Nie można atoli tych konferencyj wygłaszać dosłownie, lecz trzeba je wprzód przerobić, zastosować do poziomu słuchaczy i podać więcej zastosowania, które w konferencjach jest zaledwie naszkicowane.

Konferencje niniejsze mogą też służyć dla wszystkich, a szczególnie dla kapłanów, jako znakomity podręcznik do rozmyślania.

Wreszcie, niech mi wolno będzie podziękować na tem miejscu Przew. Autorowi za łaskawe, bezinteresowne udzielenie pozwolenia na tłumaczenie Jego znakomitej pracy, oraz O. Cyprjanowi za trudy i pracę włożone w niniejsze tłumaczenie, wszystkich zaś P. T. Czytelników upraszam o łaskawe względy i wyrozumiałość.

Lwów, 22 maja 1926.

O. Ireneusz.
Redaktor Posłańca św. Antoniego.

Do Czytelnika

Autor.

Oddając po raz drugi niniejszą książkę do druku, powtórzę to samo, co powiedziałem przy pierwszem jej wydaniu, że co do jej losu i powodzenia nie roszczę sobie wielkich pretensyj.

Kaznodziejom nie bardzo się będzie podobać, gdyż pod względem stylu nie wychodzi poza przeciętność, pisana we formie opowiadania, wykładu katechizmowego, stosownie do tematu. Co najwyżej kaznodzieje mogą znaleźć w niej szkielet, osnowę dla swoich przemówień, szkice, myśli do samodzielnego rozwinięcia i opracowania.

Także i historycy nie znajdą w tej książce nic dla siebie nowego, bo opowiada rzeczy znane z życia Seraf. Ojca, bardziej uderzające, wybijające się na czoło, nie podlegające krytyce historycznej.

Jeśli mnie miłość własna nie łudzi, to moje dziełko może oddać jakąś przysługę tercjarzom i tym wszystkim pobożnym osobom, które pragną poznać ducha św. Franciszka, by naprzód w samych sobie go odtworzyć, a następnie udzielić go drugim, zapoznać z nim społeczeństwo, to był cel, który mi przyświecał w pisaniu. — Będę się czuł szczęśliwym, jeśli obudzę w czytelnikach choć iskrę podziwu i miłości dla św. Franciszka i dla jego dzieła, które jest dziełem światła, miłości i pokoju.

Matka Boska Anielska, grudzień 1921.

P. Bernardo del Sole O. F. M.

Głosy prasy włoskiej.

La Verna. Bolletino del Terz'ordine ed Antoniano pisze:

Czytelnikom naszym podajemy do ręki książkę, którą można nazwać drogowskazem tercjarza franciszkańskiego, chcącego wstępować w ślady Seraf. Ojca. Konferencje w drugiem wydaniu przejrzane i poprawione przez Autora, tworzą dzieło ujmujące, nadobne, a zalety, które je wyróżniają od innych tego rodzaju pism, są: nadzwyczajna jasność, mistyczne namaszczenie, które czynią książkę nader miłą, budującą, pożyteczną. Prawie na każdej stronicy można znaleźć czy to jakiś aforyzm Seraf. Patrjarchy, czy opowieść wyjętą z „Floretti" lub starych kronik, czy wreszcie cytat z Boskiej Komedji Danta. Wybór tematów, ich podział, rozwinięcie, przetykane tu i ówdzie seraficką poezją, nie przeszkadzają bynajmniej pobożnemu autorowi, by dla życia codziennego podać tercjarzom praktyczne moralne rady i przepisy, wskazujące zawsze na środki i drogi, których się trzymali Bracia pierwszego i trzeciego Zakonu, a które przedewszystkiem nakreślił sam św. Patrjarcha. I tak, mówi autor o konieczności naśladowania św. Franciszka, o jego miłości Boga i bliźnich, o jego nabożeństwie do Najśw. Sakramentu, do N. Maryi Panny, dalej o cnocie posłuszeństwa, umartwienia, modlitwy, wreszcie

wprowadza tercjarzy na drogę franciszkańskiego apostolstwa, uwieńczonego błogosławioną śmiercią i chwałą w niebie.

W tych konferencjach tercjarze znajdą nietylko budującą lekturę, ale wskazówki do nabycia gruntownej, prawdziwej pobożności, zaś Ojcowie Dyrektorzy trzeciego Zakonu nauczą się z tych konferencyj, jak należy do tercjarzy przemawiać na zebraniach i skutecznie ich zachęcać do zachowania przepisów reguły.

„*Civilta cattolica*“ pisze:

Autor zastrzega się (bardzo skromnie) że nie pisze dlatego, by się podobać mówcom kościelnym, nie przyznając swoim Konferencjom większej wartości pod względem formy i stylu, — tem mniej spodziewa się, że one potrafią zainteresować krytykę, ile że nie podają nic nowego. Pisarz, gorliwy zakonnik, wydał piękne dzieło dla użytku tercjarzy i tych pobożnych dusz, które poznawszy ducha Seraf. Ojca, zechcą go zaszczepić w innych, przypomnieć go nowoczesnym ludziom. Z 24 konferencji jest kilka, które zasługują na osobną wzmiankę, na szczególniejszą uwagę, bądź to dla aktualności tematu, bądź dla oryginalności ujęcia i przeprowadzenia tegoż.

Il Terziaro francescano dei PP. Cappuccini Roma pisze:

Autor wyznaje zbyt skromnie, że swojej książce nie obiecuje wielkiego powodzenia, pragnie tylko dopomóc tercjarzom i innym czcicielom św. Franciszka do poznania jego ducha i przejęcia się nim współczesnych ludzi. I dzisiaj właśnie więcej niż kiedykolwiek to jest pożądane, wobec tak pstrokatej literatury o św. Franciszku i z czystych, niepodejrzanych źródeł

niech się świat dowie, w jaki sposób i zapomocą jakich środków Serafin assyzki odnowił średniowiecze, zeszpecone, skoszlawione błędami i występkami. Trzeba przyznać, że autor osiągnął swój cel w zupełności, przedstawiając życie Franciszka nie powierzchownie, ale w głębokiem, istotnem ujęciu.

Dzieło zasługuje na uznanie i na jak najszersze rozpowszechnienie w świecie franciszkańskim.

Konferencja I.

Tercjarz powinien naśladować św. Franciszka.

Nie będzie dalekim od prawdy ten, kto powie, że św. Franciszek był i jest człowiekiem należącym do wszystkich czasów, od wieku 13. począwszy aż po-dziś dzień. Z gorącej jego duszy, której tchnienie jakby się jeszcze wyczuwało wokoło kościółka Matki Boskiej Anielskiej, hen, poprzez doliny i wzgórza równiny umbryjskiej wydobywają się, po tylu wiekach, nieprzedawnione, duchowe wartości, tak drgające życiem, a zarazem tak słodkie, że porywają umysły, zachwycają serca.

Charakter ładodny, otwarty, szczery, czuły na wszystkie ludzkie potrzeby, serce pełne ognia miłości dla Boga i ludzi, pełne podziwu dla przyrody, z którą ciągle a tak serdecznie rozmawiał, to wszystko robi, że św. Franciszka postać wyjątkowo jest piękną i sympatyczną.

Takim się nam przedstawia, gdy uniesiony miłosnym zapałem zawiera mistyczne małżeństwo z panią „Ubóstwem“, — takim się przedstawia, gdy dla rodzącej się włoskiej poezji poświęca najpiękniejsze wzloty swej duszy. Św. Franciszek jest piękny i sympatyczny nawet w swoich, „dziwactwach“ jeśli tak wolno nazwać niektóre jego życia zdarzenia i postępki,

z powodu których był, jakby się dziś powiedziało, oryginałem.

Pięknym był wtedy, gdy młodzieńcowi proszącemu o przyjęcie do Zakonu kazał, dla wypróbowania jego powołania, sadzić kapustę, ale korzeniami do góry. Pięknym był wtedy, gdy br. Masse'owi polecił kręcić się wokoło siebie tak długo, dopóki tenże z zawrotu głowy nie stracił równowagi i nie wywrócił się na ziemię, nadając położeniem swego ciała kierunek drodze, którą iść mieli.

Pięknym był wówczas, gdy dla zbudowania i przykładu, kazał bratu Rufinowi iść w samej bieliznie przez ulice miasta Assyża i mówić kazanie; sympatycznym był seraficki Ojciec nawet przy śmierci, gdy czując bliski swój koniec, wzbija się wysoko na skrzydłach poetyckiego natchnienia i wyśpiewuje hymn na cześć słońca.

I czyż wobec tego będziemy się dziwić, że po tylu wiekach nic nie potrafiło przyćmić tej olbrzymiej, świetlanej postaci Franciszka, że nic nie zdołało osłabić czarującego wpływu, jaki on do teraz wywiera na umysły i serca ludzi. Franciszek jakby po to się urodził, by nie umrzeć. On żyje dalej w duszach i sercach pokoleń, żyje w swoich wielkich dziełach, w swojem posłannictwie.

Ale nie żyje sam; żyje w swoich duchownych synach i córkach, w których się uwiecznia niejako, i przez których prowadzi dalej swoje apostolstwo. Ci synowie i te córki, przejęci duchem swego Ojca i Patrjarchy, o to zabiegają, by się nie sprzeniewierzyć jego ideałom i oni mają to sobie za obowiązek, by podtrzymywać i ożywiać pamięć tak Wielkiego Ojca, by zachować w społeczeństwie ludzkiem ten Chrystu-

sowy stygmat przez Franciszka i we Franciszku tak wiernie odbity.

Wy bracia tercjarze, winniście odczuć całą wielkość tego obowiązku, winniście zrozumieć i pojąć jego doniosłość i ważność, nie przez jakąś ckliwą pobożność, nie przez dawanie upustu czy wylewu jakichś religijnych czułostkowości, nie przez samo należenie do trzeciego Zakonu, ale jedynie i wyłącznie przez to, by życiem swojem zbliżyć się do życia Franciszka, przejąć się jego duchem i żywotnemi sokami zasilać przedziwne jego apostolstwo. Oto, czego po nas oczekuje, czego się od nas spodziewa — św. Franciszek.

Zanim jednak przystąpimy do bliższego omówienia obowiązku naśladowania św. Franciszka, przypatrzmy się, jakby rzutem oka, tej misji, temu apostolstwu, jakie mu zostało zlecone i w jaki sposób On to apostolstwo spełnił.

Nawet ci, co nie znają bliżej historji Zakonu franciszkańskiego, wiedzą o tem, że posłannictwem św. O. Franciszka było nie co innego, jak podźwignięcie ówczesnego społeczeństwa z bagna zepsucia, w którem było pogrążone i odkażenie moralnej, duchowej atmosfery, jaka zatruwała świat, nawet katolicki. Wystarczy tu przypomnieć ten tajemniczy głos, który z krzyża, w kościółku św. Damiana, przemówił: „*Idź, Franciszku, napraw dom Mój, który się chyli ku upadkowi*“; wystarczy przypomnieć widzenie, jakie miał papież, Innocenty III, w którem, przerażony, zobaczył, jak szeroko zarysowane, pęknięte mury kościoła lateraneńskiego, groziły zawaleniem, a które równocześnie, ku wielkiej radości tegoż papieża, podpierał plecami jakiś biedak w podartych łachmanach. Nie co innego tylko tę swoją misję miał na myśli w pro-

roczem przeczuciu, seraficki Ojciec, gdy profanem jeszcze będąc w rzeczach duchownych, wśród wesołej, rozbawionej drużyny assyzkiej powiedział: „przyjdzie czas, że stanę się księciem wielkim, księciem dzierżącym w rękach rząd dusz".

Czasy jemu współczesne, niesłychanie burzliwe, pełne wszelakiego zamieszania, wołały o jakiegoś naprawiciela, odczuwały konieczną potrzebę kogoś, ktoby w sumieniach ludzi i ich współżyciu zaprowadził jakiś ład i porządek; społeczeństwu świeckiemu równie jak i kościołowi, potrzeba było jakiegoś cudownego lekarza, któryby je uzdrowił i zachował od niechybnej ruiny. Przed ludzkością stała otworem przeraźliwa otchłań, nieubłagana jak fatum, bezlitosna jak śmierć i potrzeba było tylko jeden krok naprzód zrobić, aby w tę otchłań runąć, pod ziemię się zapaść.

W takim to groźnym momencie, w takiej groźnej chwili, zsyła Opatrzność Franciszka, a z nim ratunek. Z chwilą, gdy św. Franciszek zrozumiał to swoje powołanie, skupił całą, na jaką było go stać, młodzieńczą energję, wezwał pomocy nieba i pełen ufności zabrał się do dzieła, które nie było wcale łatwe. Środków potrzebnych do osiągnięcia tego celu wzniosłego, nie mogło zabraknąć duszy tak gorącej i płomiennej jak Franciszka, temi środkami były: entuzjazm, żelazna wola, a przedewszystkiem wiara w pomoc łaski bożej.

Pojął to odrazu Franciszek, że jego praca, jego usiłowania na nicby się nie przydały, gdyby ich nie osadził na niewzruszonym fundamencie wszelkich poczynań: na Jezusie Chrystusie, i dlatego postanowił sobie zaraz na początku, wejść z Nim w bezpośrednią, ścisłą łączność przez miłość i naśladowanie Jego życia. Życie Franciszka jest najlepszym dowodem

w czem i przez co uwydatniał się ten jego mistyczny związek z osobą Chrystusa i uzgodnienie jego życia ze swojem. Świadczy o tem aż nadto dobrze góra Alvernji, na której otrzymał Chrystusowe blizny, znane stygmata.

Z największą pewnością można twierdzić, że sekretem, tajemnicą, od której zależało udanie się, powodzenie dzieła, było: wiernie odtworzyć, odkopiować na sobie Chrystusa, a tem samem ułatwić ludziom zrozumienie, odczucie tegoż Boskiego Zbawcy.

I ten sekret go nie zawiódł, udał mu się, bo obudził u wszystkich zachwyt i niebywałe zdziwienie dla owego apostolstwa, zewsząd schodzili się do niego, około niego się grupowali, wpatrywali się w niego, jakby w jakieś dziwo, jakieś zjawisko, przynoszące światu odrodzenie.

Mężczyźni, niewiasty, bogaci, ubodzy, wszyscy chcieli być zbawieni przez Chrystusa, stać się Mu podobni. Z tego nastroju skorzystał w lot Franciszek, biorąc z niego okazję i sposobność do założenia swoich Zakonów: naprzód Zakonu dla mężczyzn (pierwszego), następnie drugiego dla niewiast, wreszcie trzeciego dla obojga płci. Dla każdego z tych trzech Zakonów pisze regułę opartą na Ewangelji, organizuje te Zakony, budzi w nich gorący zapał i umiłowanie bożego dzieła, a następnie członków tychże Zakonów rozsyła w świat, tam, gdzie największa zachodziła potrzeba.

Na błogie skutki, na owocne wyniki tej imprezy nie trzeba było długo czekać; świat pod świeżem, kwitnącem, ognistem tchnieniem Franciszkowego ducha zaczął się odradzać, zmieniać swój wygląd, wszędzie dawał się spotrzegać powiew cnót chrześcijańskich,

naprawa obyczajów; feudalizm, ten symbol niewolnictwa i upośledzenia owiany miłością i ubóstwem, pogardą dóbr — Braci Franciszkowych, zaczął tracić grunt pod nogami, rozpadać się. Jednem słowem, wszystko, dzięki duchowi Zakonu Minorytów, odnawiało się — przypominając palestyńska Galileę, którą do wyższego życia obudził swoją nauką i życiem, Chrystus Jezus.

I tak Franciszek zatriumfował! Olbrzymie jego dzieło rozwijało się, szło wielkiemi krokami, obejmowało krańce ziemi, by dojść do mety i doszło.

Ojciec Seraficki z wyżyn niebieskiej chwały spogląda teraz, niby laurem uwieńczony wódz, na liczne armje, które tyle razy prowadził do zwycięskiego boju i wzywa swoich żołnierzy do dalszej bitwy, mówiąc: śmiało, odważnie walczcie, bo wojna jeszcze nie skończona, siejbę ziarna ewangelicznego prowadźcie dalej, bo ostatni czas żniwa i zwożenia do gumien jeszcze nie nadszedł!

Tego rozkazu i wołania musimy słuchać, jeśli chcemy naprawdę być godnymi synami naszego Patrjarchy; posłannictwo, które on tak świetnie zapoczątkował i wypełnił, winniśmy podjąć i dalej, poprzez wieki prowadzić dla chwały bożej i zbawienia dusz.

To jest nasz nieodbity, święty obowiązek, bo dzieciom trzeba naśladować dobre czyny swego ojca, odtworzyć w sobie rysy jego charakteru. Ojciec Seraficki umierając, nie zostawił w spuściźnie swoim wyznawcom skarbów ziemskich, bo ich nie posiadał, ale zato zostawił bogatą spuściznę cnót i apostolstwa, nieprzebrany kapitał duchowy, tym kapitałem obracać, dorabiać się mają przed innymi obowiązek ci i te, którzy ślubowali nosić jego suknie i walczyć pod jego sztandarem.

Jakby zresztą wyglądała i do czegoby zeszła wielka postać Franciszka, gdyby się jej nie naśladowało? byłaby zimną, bladą, sztywną postacią, historyczną figurą, bez życia i powabu, a jego apostolstwo byłoby czemś na kształt rudery, rumowiska, czemś, podobnem do miasta zburzonego wojną lub trzęsieniem ziemi. A przecież jego życzeniem, jego umiłowaniem było, aby dzieło przez niego stworzone trwało przez wieki, do końca świata.

To dzieło on zbudował swoją gorliwością, godną apostoła, męstwem i cierpliwością godną heroizmu męczennika, użyźnił dzieło cnotami i przeobfitemi błogosławieństwami i przywilejami. Czyżby mógł teraz pozwolić, aby jego duchowne dzieci, swoją bezczynnością, niedbalstwem to dzieło zepsuły i mu upaść pozwoliły?

Charakterystyczną cechą, znamiennym rysem natury św. Franciszka była łagodność ujmująca, podbijająca serca — z ust jego nie słyszano nigdy słów ostrych, szorskich, opryskliwych, ale gdy musiał upomnieć którego z braci, nie dosyć pilnego w zachowaniu reguły, wówczas zapalał się gorliwością nieubłagalną, dochodzącą nieraz do zdjęcia sukni z zakonnika noszącego ją niegodnie. To jest dowodem, jak święty Zakonodawca chciał mieć zakonników karnych i dbałych o zachowanie, przestrzeganie ustaw.

Ta jego gorliwość jeszcze bardziej się uwydatnia i jaśniej przedstawia, gdy się weźmie pod uwagę powody, dla których założył Trzeci Zakon. Historja poucza, że kiedy św. Franciszek wystąpił na widownię, sumienie społeczne było w położeniu rozpaczliwem; małe państewka, prowadziły ze sobą dzikie, zaciekłe walki, Kościół leżał w brudnym pyle żądz, ambicji, rozluźnienia, nawet życie kleru pozostawiało wiele do

życzenia. potrzebowało gwałtownie reformy. Franciszek wziął sobie za zadanie stać się wszystkim dla wszystkich, przez Trzeci Zakon skierować sumienia na właściwą drogę, społeczeństwu przywrócić pokój, Kościołowi odpowiednią, przystającą mu krasę. Trzeci Zakon, w istotnem swem ujęciu, miał, nie naruszając w niczem rodzinnego życia węzłów, zebrać, skupić pod jedną władzę, pod jedną regułą, osoby obojga płci, pragnące doskonalej służyć Bogu, bez względu na różnice zawodów, klas i stanów.

Tej luźnej, rozbitej masie ludzi nadać spoistość organizacji, ożywić jedną wiarą, skierować do jednego celu, oto czem, w myśl św. Franciszka, miał być III. Zakon, jeśli chciał odpowiedzieć wymaganiom, zaradzić potrzebom ówczesnego społeczeństwa i Kościoła.

Jest oczywistem, że to zadanie może spełnić jedynie pod warunkiem trzymania się wiernie przepisów i ustaw sobie nadanych: Zakon III nie ożywiony duchem Ewangelji, nie praktykujący cnót seraficki, nie wcielający w życie doskonałości chrześcijańskiej, jest manekinem, szkieletem, niezdolnym do jakiejkolwiek reformy. Od takiego III Zakonu, pozbawionego ducha i życia franciszkańskiego, nie może się społeczeńswo niczego spodziewać, a jednak to społeczeństwo jest przekonane, że spodziewać się tej reformy po Zakonie III ma prawo.

Tak, jak ojczyzna ma prawo spodziewać się, i oczekiwać od swoich żołnierzy obrony praw, granic, wolności, honoru, tak społeczeństwo chrześcijańskie ma prawo żądać od tercjarzy obrony katolickich interesów, pomocy w potrzebach duchowego życia.

Seraficki Ojciec założył Zakon III w tym celu, by praktyką cnót, czystością obyczajów, obroną praw

religji i Kościoła, dziełami społecznego miłosierdzia szerzył Boże Królestwo na ziemi, i jak długo Zakon III nie spełni tego zadania, tak długo społeczeństwo nie może być z niego zadowolone, a Kościół może go uważać za coś, co równie dobrze mogłoby nie istnieć.

Dla tych powodów, niechże usilnem staraniem tercjarzy i tercjarek będzie życie św Franciszka odwzorować naprzód na sobie, a następnie ludziom poza zakonem żyjącym dać poznać, że Franciszek, ich założyciel, żyje dalej w swoich duchowych synach i córkach; to zrozumienie winno być dla tercjarzy nie tylko dowodem miłości dla swego Patrjarchy, ale ich zaszczytem, chlubą, szlachetną dumą.

Może nie wszyscy potrafią odczuć, jak należy, doniosłość i znaczenie niniejszych wywodów, gdyż do tego trzeba mieć subtelną duszę, zdolną i do wielkich uniesień i do wielkich poświęceń; ale dla tych, którzy wczuli się w ducha św. Franciszka, będzie rzeczą zrozumiałą, iż kto potrafił się zbliżyć do tego ziemskiego Serafina przez miłość i naśladowanie Chrystusa Jezusa, ten ma się czem szczycić, ma się z czego chlubić!

Oby wszyscy tercjarze żywili w sobie to uczucie szlachetnej ambicji! — Tak, jak zaszczytem jest naśladować genjuszów sztuki, nauki, polityki, strategji, tak dla tercjarza niech będzie zaszczytem i szlachetną dumą, nosić na sobie św. Franciszka habit, naśladować jego życie.

Ten zaszczyt, ta chluba, niech mają za podstawę i fundament wcielanie w czyn franciszkańskich ideałów, t. j. zachowanie Ewangelji Jezusa Chrystusa, szerzenie jej wśród społeczeństwa tak bardzo potrzebującego żywej wiary i chleba żywota.

W rodzinach, w pośrodku ludzkich zbiorowisk, niech powieje zapach cnót ewangelicznych, niech będzie czuć woń cnót: ubóstwa, czystości, posłuszeństwa; niech świat, jak szeroki i daleki, dowie się i przekona, że św. Franciszek seraficki żyje dalej w tercjarzach, że w nich i przez nich prowadzi dalej budowę królestwa Chrystusowego.

Konferencja II.

Z św. Franciszkiem ku Bogu.

Że tercjarz winien naśladować św. Franciszka, to jest tak jasnem, że dowodów nie potrzebuje; wystarczy przypomnieć, że synowie przez cześć dla ojca, przez wzgląd na dobro rodziny, są obowiązani w ślady ojca wstępować, jego dobrych rad i wskazówek przestrzegać, rodzinne pamiątki i tradycje przechowywać.

Zwłaszcza, gdy się rozchodzi o powinowactwo, o pokrewieństwo dusz, to związek między ojcem a synem nie da się pomyśleć bez wspólności idei, zamiarów, poczynań, z czego wynika, że nie może być dobrym tercjarzem ten, kto nie stara się poznać ducha franciszkańskiego, w niego się wmyśleć, wczuć, nim się przejąć i w siebie go przelać.

Zrozumieć świętość Franciszka, pojąć wszystkie jej subtelne odcienia, nie jest rzeczą łatwą, a jeszcze mniej łatwą rzeczą jest odtworzyć, odkopiować ją w sobie; w każdym razie winien tercjarz bez wahania i wielkodusznie wziąć ją sobie za modłę, podobnie jak malarz przeciętny zabiera się do kopiowania obrazów Rafaela, Giotta, da Angelica, Murilla i innych sławnych artystów, choć z góry jest przekonany, że im niedorówna.

Usiłowaniem tercjarza ma być na pierwszem miejscu, rozniecenie w swej duszy tego gorącego płomienia miłości, jaka trawiła i pochłaniała św. Franciszka.

Historja, która tak skrzętnie zbierała i notowała najgorętsze porywy i najwyższe uniesienia miłosne Franciszka ku Bogu, która najpiękniejsze karty poświęciła opowiadaniu jego chwalebnych czynów, umieściła na jego czole magiczne słowa „Serafin Assyża", te słowa są najwspanialszą aureolą, złożoną przez wieki na jego głowie, są największą pochwałą, na jaką mogły się zdobyć. I całkiem słusznie, bo kto przez ogrom miłości zasłużył sobie na to, by blizny Ukrzyżowanego nosić na sobie, ten ma wszelkie prawo być przyrównanym do Serafina.

Św. Franciszek, ten sławny zdobywca serc 13-go wieku, chce, byśmy na polu miłości Bożej odnosili pierwsze zwycięstwa, odbierali pierwsze nagrody, jego ideał potrzebuje gorących serc, serc, któreby ludziom głośno a zapamiętale powtarzały: ogień miłości mnie pali, miłość mnie pożera!

Czasom obecnym, pełnym niewiary, zmaterjalizowanym, trawionym żądzą zmysłowego użycia, potrzeba więcej, niż kiedykolwiek dać odczuć choćby małą iskrę serafickiej miłości, ludziom trzeba przypomnieć, że więcej trzeba o Bogu myśleć niż o sobie, więcej należy dbać o niebo niż o ziemię, więcej o duszę niż o ciało. Żeby zaś tę miłość dać odczuć, muszą Bracia i Siostry Zakonu III. ją opowiadać, głosić nietylko słowem, ale życiem, nietylko prywatnie, ale i publicznie wobec świata, jak to czynił Seraficki Ojciec.

Przemawiając dziś do was o tym Serafinie miłości, chciałbym, aby jego przykład pociągnął was,

zachęcił do apostolstwa tejże miłości tak, abyście ją, tę miłość, naprzód w sobie samych zapalili, a następnie zapalili ją w innych.

Sztuka malarska przedstawia nam różne chwile i zdarzenia z życia św. Franciszka, ale najlepszym obrazem, najwierniej odpowiadającym jego życiu jest ten, na którym Franciszek jest przedstawiony, jak omdlewa w zachwycie miłości. Ta wychudła blada twarz te mgłą zaszłe oczy, bosko spokojne, te cieniutkie, subtelne linie żył wyciągnięte na kościach i jakby już mające pęknąć i przerwać się, to ciało wycieńczone, robią wrażenie człowieka zajętego jedną jedyną myślą, jedynem uczuciem, uczuciem miłości. Patrząc na tę postać, widzi się, że to człowiek żyjący na świecie, wśród walk i prac, ale równocześnie duszą i sercem zwrócony gdzieindziej, człowiek, który zapomniawszy o sobie, myśli wyłącznie o Bogu, żyjący w ciele, ale jakby bez ciała. Taki wizerunek odpowiada najbardziej, najlepiej odźwierciadla życie św. Franciszka., które niczem innem nie było jak jednem pasmem miłosnych uniesień i zachwytów ku niebu; o wszystkich Świętych można powiedzieć, że dosięgli szczytu heroizmu połączenia się z Bogiem, ale żaden z nich nie może tak jak Franciszek powtórzyć za św. Pawłem słów chrześcijańskiego mistycyzmu: „Żyję ja, już nie ja, żyje we mnie Chrystus".

Historja nas poucza, że Franciszek miał serce czułe, gorące, że we wszystkiem, co robił, przebijał się impulsywny, żywiołowy temperament. Od chłopięcia widzimy go, jak wśród wesołej drużyny rej wodzi, jak pełen ognia, niezmordowany organizuje śpiewackie koło trubadurów, jak przewodzi umbryjskiej młodzieży w swawolnych imprezach i harcach. Chętnie

przebywał w sferach wyższych swego rodzinnego miasta, ile że to więcej dogadzało jego ambicji i miłości własnej. Gdy ojczyźnie wypadło iść na pomoc, Franciszek, jak prawdziwy „cavaliere“, chwycił za broń i pospieszył na plac boju, ale na wojnie nie miał szczęścia, bo wskutek przegranej dostał się do więzienia, mimo to jednak od żołnierki się nie usunął, owszem zdaje się, że w samotności więziennej celi dojrzało ostatecznie jego postanowienie oddania się wojennemu, awanturniczemu rzemiosłu dlatego, bo ono lepiej odpowiadało kipiącej, burzliwej jego młodości, łatwiejszą dawało sposobność do zdobycia tak upragnionej przez niego sławy.

Ale opatrzność co innego dla niego przygotowała; mianowicie pole walk potykań się duchowych, na których nie ziemską chwałę się zdobywa, nie przemijające uciechy, lecz glorje apostolstwa i blask świętości; Franciszek miał zasłynąć, stać się wielkim, ale w królestwie ducha, jego bujna natura miała się rozwinąć i przedziwne wydać owoce tam, gdzie go wołały wyższe cele chwały Bożej.

I ten dramat nowego kierunku życia, nowych aspiracyj i zamierzeń, całkowitej przemiany człowieka, rozpoczął się niebawem u Franciszka. Opatrzności nie brakuje nigdy sposobów, aby komu zechce, dać usłyszeć swój głos, choćby nawet przyszło posłużyć się takiemi gwałtownemi środkami, jakie miały miejsce przy nawróceniu św. Pawła w drodze do Damaszku. Ale dla Franciszka nie było tego potrzeba; on nie miał serca zepsutego, zbłąkanego na bezdrożach, on miał duszę subtelną, czułą, podatną do wszystkiego, co dobre i dlatego łatwo było Opatrzności skierować go na nową drogę życia, od dawna dla niego przygotowaną,

Powiew Bożej łaski, delikatnie muskający czułą Franciszka duszę, powoli zaczął dawać mu odczuwać próżnię serca; Franciszek zaczął wątpić, czy takie życie, jakie dotąd prowadził i jakie miał zamiar prowadzić, zdoła odpowiedzieć ideałom, jakie mimo wszystko, pieścił w swej duszy. Ze stanu wątpienia przeszedł do poważnego zastanowienia się, a następnie do zrozumienia, że nie ciało, ale dusza jego chorowała na nostalgię szczęścia dotąd mu nieznanego. On uczuł potrzebę czegoś dotąd nieznanego, czegoś, co wymagało szalonych wprost poświęceń, pojął jasno, że życie przeszłe, pospolite, płaskie, pełne poetyckich iluzyj, pięknych złudzeń, nie było w stanie zaspokoić porywów ducha; dostatki, sława, uciechy zmysłowe wydały mu się czemś bezgranicznie marnem, stąd postanowił zawrócić z drogi i zerwać z przeszłością.

Tak też uczynił.

W kilka dni od powziętej stanowczej decyzji Franciszek przestał być towarzyszem wesołych kompanij, przestał być eleganckim garconem, kandydatem do zdobywania wojennych wawrzynów, a stał się żołnierzem Chrystusa. Odwaga, z jaką wprowadzał w czyn postanowienia nowego kierunku życia, tak była niezrozumiała dla ludzi, że go uważali za obłąkańca jego przyjaciele, a przedewszystkiem jego właśni rodzice, używali różnych sposobów, by go zwrócić z tej drogi, ale ostatecznie przekonali się, że muszą dać za wygraną, musieli przyznać, że stracili klucz do jego duszy.

Teraz dopiero uczuł Franciszek, jaka błoga rozkosz rozlewa się w jego duszy, teraz doznał tego słodkiego zadowolenia, jakiego doznaje dziecko zbłąkane, gdy odnajdzie swą matkę, teraz dopiero wiedział, że

jest wolnym, niezależnym, prawdziwie emancypowanym: jego serce znalazło wreszcie to, co go syciło zupełnie, temu się oddał z gwałtownością podobną do wezbranej rzeki, rozrywającej tamy: nie dla siebie żyć, ale dla Boga.

Namiętność, z jaką rzucił się na duchowy podbój, siła, z jaką wystąpił do walki z Chrystusem o zdobycie Jego miłości, nie dadzą się porównać z niczem: Serce Boże zwyciężył i tak do niego przywarł, że nie było już możliwem zawrócić gdzieindziej, skierować się ku ziemi.

I ten to stan duszy Franciszka ułatwia nam zrozumienie słów, jakie w kościele św. Damiana wyrzekł do niego z Krzyża Chrystus: „Idź, napraw dom mój, który się wali". Te tajemnicze słowa, to miłosne, do szpiku kości przejmujące spojrzenie Jezusa, były tym ognistym płomieniem, który Franciszka serce rozpalił, jednocząc je z Sercem Ukrzyżowanego; strzała grotu ugodziwszy w serce nie potrafiłaby zrobić większej rany nad tę, jaką w sercu Franciszka zrobiła miłość Jezusowa, On zrobił z Krzyżem zaślubiny, mające trwać do śmierci.

Jak ta miłość Boża w nim rosła i potęgowała się, opisuje jeden ze współczesnych, wierny biograf Franciszka, Tomasz da Celano: „Cały Franciszek — mówi on — był tak przepełniony miłością Boga, że ona jakby płomieniem buchała z niego i mimo, że to ukrywał, objawiała się na zewnątrz; wyraz jego twarzy nabierał koloru i tak się ożywiał, że robił wrażenie anioła w ludzkiej postaci, słowa miłości Boga, ile razy doleciały jego uszu, poruszały gwałtownie wszystkie fibry serca i poczynały grać przecudną niebieską melodję.

Ta miłość sprawiała, że życie Franciszka było jakby ciągłą ekstazą, z której nie były w stanie go wyprowadzić największe hałasy i krzyki, dowodem tego jest zdarzenie, o którem opowiada wyżej wspomniany biograf, Tomasz da Celano. Pewnego razu przechodził Franciszek przez bardzo ludne miasto Borgo S. Sepolcro, otoczyły go tysiące ludzi, popychali go, ciągnęli na wszystkie strony, odcinali kawałki tuniki na relikwie, a on zachował się tak, jakby na to zupełnie nie zwracał uwagi, całkiem jak umarły, dla którego obojętnem jest wszystko, co się koło niego dzieje. Gdy już wyszli daleko za miasto, zapytuje Franciszek, jak daleko jeszcze do miasta Borgo, jak długo muszą tam iść?

Gdzież były podczas tego zachwytu jego myśl i i serce? Zapewne nie gdzieindziej, tylko na rozmowie z Bogiem, światłem i szczęściem jego duszy; oczy jego nic nie widziały, uszy nic nie słyszały, bo dusza płonęła ekstatycznym ogniem, była jakby w delirjum miłości.

By jeszcze więcej zjednoczyć się w miłości z Jezusem, zamyślał Franciszek usunąć się od życia apostolskiego, czynnego, zerwać całkiem ze światem zewnętrznym, bał się, by kontakt z ludźmi nie pozbawiał go niebiańskich pociech, by mu nie przeszkadzał w słodkich zachwytach serca, jednakowoż za radą niektórych swoich uczniów, a zwłaszcza za namową św. Klary, porzucił tę myśl, postanowił zostać wśród ludzi i dla ich zbawienia pracować.

Myślałby kto, że przez to osłabiła się jego miłość ku Bogu, że ostygła — ale nie; jak ten, co chcąc skupić swoje myśli, zamyka oczy I kryje twarz w dło-

niach, tak Franciszek, by sobie nie przerywać zjednoczenia z Bogiem, zamykał się w swem sercu i nie dopuszczał, by tam coś się wciskało ze światowych roztargnień. Nie można ani na chwilę wątpić, że tak było istotnie, skoro świat ze wszystkiemi swemi ponętami, stracił już dawno dla Franciszka swój urok, przestał go pociągać, rozkosze ubóstwa — upajały go więcej, niż posiadanie złota i srebra; cierpienia Golgoty tak go przenikały, że szukanie jakichkolwiek pociech, byłoby czemś dla niego poniżającem, ubliżającem mu, — zwycięstwa, jakie odnosił nad sobą w życiu wewnętrznem, zaspakajały zupełnie jego ambicje, nie były w stanie zakłócić mu szczęścia duszy.

Wiadomo jest, że Franciszek był poetą i jako poeta nie mógł nie śpiewać o tem swojem zjednoczeniu z Bogiem: z jego poezji nie wiele doszło do nas, ale w tych urywkach, które znamy, przebija się, odzwierciadla gorące, pełne miłości jego wnętrze, w niczyich pieniach nie biło tyle gorących uderzeń, co w jego.

W ostatnich latach swego życia, już po odebraniu stygmatów, wyśpiewał Franciszek na cześć stworzeń hymn, z którego przebija się, jak żywa, jego seraficka fizjognomja; bez obawy o przesadę można powiedzieć, że zwroty tego hymnu są streszczeniem, kompendjum całego jego życia, gorącej duszy, płomiennych uczuć. Stworzenia, których czarem żył, przywołuje do stóp Boga, zaklina i zmusza, by Go chwaliły; z każdem z tych stworzeń on serdecznie obcował, do każdego, choćby najdrobniejszego, po bratersku przemawiał, w tym hymnie przebija się człowiek, który świadomy swej nieudolności w chwaleniu i kochaniu Boga, tak, jakby chciał i jak Bóg na to

zasługuje, wzywa wszystkie stworzenia, cały wszechświat, by we wspólnym chórze śpiewały Bogu hymn chwały. Kantyk ten śpiewał Franciszek wszędzie, w kościele, na polach, w lasach, ale śpiewał go zwłaszcza będąc bliskim śmierci i wzywał do śpiewania razem ze sobą i brata słońce, brata księżyc, brata wiatr, brata ogień, siostry gwiazdy, siostrę wodę, a wreszcie siostrę śmierć, tę śmierć, która ostatnie tchnienie miłości Franciszkowej miała zanieść przed tron Boga i z Nim go złączyć na wieki.

Wobec takiej świetlanej postaci — co powiedzieć o współczesnych nam ludziach, o ich stosunku do Boga? małoby się powiedziało, gdyby się rzekło, że serca współczesne od Boga się oddaliły, że mu się sprzeniewierzyły — wyznać trzeba, że przeciw Bogu się zbuntowały, jakby wojnę Mu wypowiedziały. Bo czyż nie jesteśmy świadkami zjawiska nad wyraz smutnego, jak wszędzie głosi się niewiarę, niemoralność; występki wszelakie na kształt powodzi, szeroko rozlane po świecie, zdają się urągać wszystkim środkom, które mogłyby tę straszną powódź złego zatrzymać, zastępy nieprzyjaciół królestwa Bożego rosną w siłę i grożą ostatecznie ruiną.

Otóż Wy, Bracia i Siostry Zakonu III., jeśli macie iskrę miłości serafickiego Ojca, stańcie niby wojsko uszykowane do boju, przeciw tej piekielnej falandze! Sercom zimnym, nieprzyjaznym dla Boga, pokażcie serce Franciszka, gorące, pełne entuzjazmu dla sprawy Bożej; tego żąda od was święte apostolstwo, do którego się zobowiązaliście, tego się od was domaga franciszkańska tradycja; wasze życie prawdziwie chrześcijańskie niech będzie przykładem dla zepsutego świata, niech ten świat gorączką zarażony się dowie,

że duch seraficki, będący zarazem duchem Chrystusa, w nas żyje.

Kończę modlitwą, którą św. Franciszek sam ułożył i którą często odmawiał dla uproszenia sobie miłości Bożej: „Ognista, miodopłynna siła Twej miłości, Boże, niech oderwie serce moje od wszystkich rzeczy, jakie są pod niebem, bym z miłości ku Tobie umarł, tak, jak Ty z miłości ku mnie umrzeć raczyłeś.

Amen.

Konferencja III.

Z św. Franciszkiem ku Bogu.

Gdy się mówi, że św. Franciszek kochał Boga, nie mówi się wszystkiego, mówi się mało. Wiadomo, że miłość więcej niż cokolwiek innego, bierze swój prawdziwy wygląd i swoistą fizjognomję z siły, głębi i rozpędu, przez które objawia się na zewnątrz. Dla uzupełnienia piękności jej obrazu potrzebna jest jeszcze prostota, która sprawia, że się kocha tak, jak się umie, bez pozy sztuczności, a z tem przekonaniem i wiarą, że osoba kochana jest lepiej zrozumiana, bardziej z miłości zadowolona.

Miłość nawet przez swoje kaprysy staje się czemś więcej sympatycznem, czemś rozkoszniejszem, czemś więcej pociągającem, zwłaszcza gdy się skojarzy z zazdrością i pewnego rodzaju dumą, z których jedna sprawia, że się boimy utracić przedmiot umiłowany, a druga znowu napełnia szlachetną ambicją, że nam taki przedmiot kochać wolno.

Z miłości ujętej pod tym kątem widzenia, wypływa jakby z czystego źródła, promienna radość, która nie da się określić, ale która czaruje i nie pozwala oderwać oczu od osoby umiłowanej. Tak pojęta miłość może się wydać dla profanów, nie obeznanych z duchowem życiem, czemś zanadto naturalnem, żeby

nie powiedzieć grubem, a zupełnie nieznanem dla Świętych, którzy kochali czystą, anielską miłością i przez ten świat przeszli jak cienie, nie tykając nizinnych miazmatów namiętności.

Jednakowoż tak nie jest, bo choć to prawda, że Święci bez oglądania się na to, co ziemskie, gorącym pędem rwali się ku Bogu, to z drugiej strony i to także prawda, że w tym miłosnym wzlocie posługiwali się siłami natury, których przecie łaska nie niszczy, kochali czystością aniołów, ale zarazem prostotą dzieci, nie znających się na pozie i sztuczności — stąd w ich świętości jest tyle naiwnej sympatji, tyle jakby można powiedzieć humoryzmu, ujmującego swą słodyczą.

Na tem polu dzierży bezprzecznie Seraficki Ojciec Franciszek pierwszeństwo, jego świętość jest tak piękna, tak rozkoszna, że obudza entuzjazm, porywa, czaruje. Anegdotyczne zdarzenia z jego życia, jego aforyzmy mają w sobie coś romantycznego, właśnie z powodu swej oryginalności, z jaką umysł i serce oddał Bogu Chrystusowi, ta swoboda ducha, to radosne upodobanie w Bogu sprawiały, że Franciszek nazywał siebie samego „grajkiem“ bożym.

Dla Braci i Sióstr Zakonu III będzie rzeczą interesującą studjować te różne formy i odmiany miłości św. Franciszka ku Bogu, ta miłość widziana zbliska, może się przedstawi mniej trudną do naśladowania, przystępniejszą dla naszej słabej, bojaźliwej natury. Świętych przedstawiamy sobie zazwyczaj jako istoty zanurzone w blasku niedozwalającym na oglądanie ich całej fizjognomji, ukrywającym ich wspaniałe czyny, a co gorsze, oddalonych od nas tak gdzieś daleko, że jest rzeczą niemożliwą w ich ślady wstępować.

Otóż błędem jest, a dla naszego duchowego życia wręcz szkodliwem, w ten sposób Świętych pojmować, raczej należy sobie ich przedstawiać jako ludzi realnych, mających tę samą co my naturę, słabą i do złego skłonną; ludzi do nas podobnych, więc w miłości Boga i świętości do naśladowania możliwych.

Świętość nie da się pomyśleć bez łaski, która wedle współczesnej teologji chrześcijańskiej, jest podstawą i ośrodkiem świętości; ale ta łaska jako konieczny pierwiastek, musi się połączyć z naturą, ze współpracą człowieka, siły natury muszą być wprzągnięte w służbę nadnatury i tem się tłumaczy, dlaczego świętość ma tak dużo odcieni, refleksów, stosownie do usposobień i charakterów ludzkich: czy twardych i trudnych, czy miękich i łatwych — czy prostych czy złożonych — czy jasnych i otwartych lub skrytych i w sobie zamkniętych, — czy wreszcie zimnych lub żywych i gorących.

Świętość Franciszka była, trzeba to przyznać, trzeźwą, ale zarazem prostą, żywą, słodką, nie wymuszoną ani wyrozumowaną. Kto przez miłość chce się z Bogiem silnie złączyć, musi naprzód wybrać drogę, do tego celu prowadzącą, a także i środki niezawodne, gdyż od jego wyboru zależy udanie się świętości i przyznać musimy, że Franciszek był w tym wyborze bardzo szczęśliwy. On bez wahania, jak pilot pewny swej maszyny, oparł się na naturze, która zasilona łaską bożą, musiała go do Boga zaprowadzić.

Wiadomo, że natura przemawia zawsze językiem słodkim, miękkim, każdy odczuwa, że tak jest, chociaż jeden więcej, drugi mniej, stosownie do temperamentu i usposobienia. Zwłaszcza, gdy to odczucie przenika promień żywej wiary, która w naturze każe

nam widzieć, ukrytą pod zasłoną, bożą wszechmoc, bożą piękność, wtedy zachwyt i podziw dla przyrody rośnie i przenosi człowieka w sferę upojeń, dostępną tylko dla wybranych.

Tych rozkoszy upajających chciał Franciszek używać w całej pełni, do nich leciał jak pszczółka do kwiatu, dlatego, bo w nich znajdował sekret swojej świętości, czuł, że one go coraz więcej do Boga zbliżają i z nim go jednoczą.

Każdego, kto czyta żywot św. Franciszka, uderza mistyczna poezja, która ożywiała jego serce — była to poezja właściwa mu z natury i wszystko, na co spojrzał, co mu wpadło w oczy, budziło w nim poetyczny nastrój, z każdą rzeczą umiał rozmawiać, dla każdej miał słowo podziwu i miłości, bo mu przypominała mądrość miłość Stwórcy.

Historja zostawiła nam dużo takich charakterystycznych i pełnych oryginalności rysów, będących powodem na wskróś poetyckiej duszy Serafickiego Ojca; wymienimy tylko niektóre.

I tak, życzeniem jego było, by w ogrodzie klasztornym były zawsze grządki z kwiatami, ich barwy i zapach przypominały mu piękność Boga; chciał także, by choć mały skrawek ogrodu pozostawiono bez uprawy, na trawniki rosnące razem z kwiatami, same ze siebie, bez pomocy ręki ludzkiej, one tak bardzo przypominały mu opatrzną, miłościwą dobroć Boga. Drzew nie pozwalał wycinać z korzeniami, by im nie odbierać możności odrośnięcia, nie pozwalał, ile to było możliwe, gasić światła, bo ono było dla niego odblaskiem bożej światłości, te i tym podobne rzeczy mogą się komuś wydać śmiesznemi drobnostkami, jednak one były znamieniem serca bardzo delikatnego i czułego.

Do zwierząt odnosił się Franciszek z czułością wprost rozbrajająca; idąc drogą uważał skrupulatnie, by nie nastąpić na robaczka; w zimie zabiegał z nadzwyczajną troskliwością, by pszczoły miały dosyć wina i miodu i nie cierpiały głodu, by nie zginęły. Jego czuła miłość dla owieczek, baranków, ptaków, godnie opiewaną przez poetów i powszechnie znaną jest wszystkim; ilé razy znalazł się wśród nich, rozmawiał z niemi jak przyjaciel z przyjaciółmi, jak mistrz z uczniami, jak krewniak ze swoją rodziną, i jest rzeczą podziwienia godną, jak te wszystkie zwierzęta odpłacały się Franciszkowi miłością i wdzięcznością, jak się przywiązały do niego, chodziły za nim i na każde jego słowo i skinienie były posłuszne. Pewnego razu, niedaleko Porcjunkuli, spotkał konika polnego, który mu się wydał próżnujący. „Śpiewaj, śpiewaj, rzekł do niego, bracie koniku, na cześć Pana, a wstydź się twego lenistwa“, i konik polny zaczął natychmiast zawzięcie ćwierkać. Innym razem, gdy lekarz miał mu przypiekać rozpalonem żelazem skronie, lecząc go w ten sposób na oczy, Franciszek rzekł: Bracie ogniu, bądź dla mnie łaskawy i grzeczny i nie dokuczaj mi bardzo, bo ja cię szanuję ogromnie i kocham w Bogu — i w rzeczy samej nie odczuwał przy tej operacji żadnego palącego bolu. Ptaki, gdy im rozkazał spiewać, śpiewały, a gdy znowu zakazał im śpiewać, by mu w modlitwie nie robiły roztargnienia. śpiewać przestawały, nawet dziki, szkodliwy wilk z Gubbio, według legend „Fioretti“ chodził za Franciszkiem jak pies obłaskawiony.

Ta zażyłość Franciszka z przyrodą, ta jego czysta miłość dla stworzeń, odpowiadały w zupełności jego charakterowi, który, zwłaszcza po odniesionem zwy-

cięstwie nad wstrętem dla trędowatych, przemienił, się w bardzo subtelną czułość. Należy pamiętać, że Franciszek umiał wykorzystać naturę w sposób nieraz tyrański, biada jej było, gdy mu nie mówiła nic o miłości, wtedy gniewał się na nią, odgrażał się jej. W zamian za przyjaźń, jaką obdarzał naturę, domagał się, aby ona, aby cały świat i co na nim jest, śpiewał bezustannie Bogu hymn czci i chwały, by mu pomagał w chwaleniu Boga. Bez studjów, bez nauki, rozwiązał Franciszek — i jak wspaniale — znaną w nauce katolickiej zasadę, że z poznania stworzeń widzialnych winien człowiek wznosić się do poznania i kochania Stworzyciela, tą praktyczną zasadą on żył, na niej jakby na niewzruszonym fundamencie budował gmach doskonałości.

I czyż dziwić się, że za tą prostotą w ukochaniu przyrody poszła wielka swoboda ducha, że dla niego nie istniały żadne wewnętrzne niepokoje, żadne wątpliwości; zawiłych subtelności teologicznych on nie znał, były mu niepotrzebne, dla niego wszystko było dobre, co do Boga prowadziło. Franciszek nie był filozofem dociekającym i szukającym ostatnich racyj i przyczyn w rzeczach, on był świętym, zadowolonym z tego, że kocha. Sławne powiedzenie św. Augustyna „kochaj, a rób co chcesz“ znalazło w życiu Franciszka prześliczny, praktyczny wyraz.

Czy taka miłość, Bracia i Siostry, nie pociąga, nie porywa ku sobie? Co do mnie, wyznaję otwarcie, że nie wiem, co we Franciszku więcej podziwiać. Czy człowieka wyrywającego się ku Bogu, czy człowieka cieszącego się już Bogiem? Na drodze, którą on szedł, nie ma cierni ale same róże, a jeśli są ciernie, to takie, że je róże przygłuszają; jego miłość, głęboka i silna,

jest dosyć sympatyczna, by nie przerażać ale przyciągnąć i nasycić — na łonie tej miłości Franciszek spoczywał jak dziecko na łonie matki i śpiewał, nie już jak genjalny poeta, ale jak Serafin.

Teraz już nam nie trudno zrozumieć, dlaczego Franciszek tak się rwał do wszystkich umartwień, cierpień, poświęceń chrześcijańskiej ascezy, w której nie było dla niego nic za ciężkie, nic za trudne, owszem tych cierpień pragnął coraz więcej, wyszukiwał je, bo wiedział, że one go zbliżały do Jezusa i to Tego Ukrzyżowanego, że w Jego cierpieniach biorąc udział, więcej się do Niego przypodobni.

Miłość Franciszka do Jezusa Ukrzyżowanego była szeroka, rozlewna w sposób przedziwny. Jużeśmy wyżej o tem wspominali, że Franciszek zaklinał całą przyrodę, aby na cześć Boga śpiewała hymn miłości w harmonijnym akordzie, by mu pomagała chwalić Boga i wzlatywać ku niebu, chciał, by dźwięk drgających strun jego serca przechodził na wszystkie istoty stworzone, by niebo i ziemia w jeden zespół związane, śpiewały Bogu hymn nieustającej chwały. — „Wszyscy, mówił Franciszek św. kochajmy z całego serca, z całej duszy, ze wszystkich sił, całą potęgą naszego umysłu, całem uczuciem, wszystkiemi wnętrznościami, całem pragnieniem, całą wolą, naszego Pana i Boga, który dał i daje każdemu z nas całego siebie, z duszą, z ciałem, z życiem; który nas stworzył odkupił, zbawił jedynie przez swoje miłosierdzie i nam niegodnym, nędznym, złym, świadczy tyle dobrego. Więc nic innego nie pragnijmy, nic innego niech nam się nie podoba, prócz naszego Stwórcy-Odkupiciela, jedynego prawdziwego Boga, który jest samą dobrocią najwyższą, samą miłością zasługującą na to, by ją samą kochać bez granic". — Słowa proste, ale wy-

powiedziane z siłą i z zapałem Serafina; i w rzeczy samej, cóż innego czynił seraficki Ojciec przez całe swe życie, jeśli nie to, aby miłość ku Bogu zapalić w sobie i w innych, by dla miłości i z miłości umierać? Teraz, z górnej krainy szczęścia, jakiego zażywa w Bogu, słychać jakby echo tych słów, które wyrzekł, gdy odpust Porcjunkuli ogłaszał: Chcę, aby wszyscy dostali się do nieba przez miłość bożą".

A czy my się tam dostaniemy?

To wielkie pytanie nakłada obowiązek zastanowienia się nad sobą i skierowania myśli tam, dokąd Franciszek nas za sobą pociąga t. j. ku niebu. Boć i my dla Boga stworzeni, by Go znać i kochać, to jest najpierwszy, najgłówniejszy cel naszego istnienia; wszystko inne musi ustąpić na drugi plan, jako środek nie jako cel naszego tu pobytu. Ten Bóg, z którego rąk wyszliśmy, żąda, abyśmy Mu, naprzód tu na ziemi, a potem kiedyś we wieczności oddali serca nasze tak, by On sam stał się naszem szczęściem nieprzebranem. Jak Święci tak i my, winniśmy pojmować doniosłość i wagę tego celu, z upodobaniem i dumą o nim myśleć, wytrwale do niego zmierzać, choćby kosztem wielkich poświęceń. Zdaje się, że właśnie tego zapału, entuzjazmu nam brakuje, sądzimy, że zdobycie miłości bożej jest dla nas za trudne, niemożliwe dla słabej natury, dlatego nie próbujemy nawet o nią się pokusić, niedostaje nam tej dziecięcej prostoty, która kocha bez filozofowania i wyrozumowanej sztuczności. Uważamy, że z Bogiem należy sprawy traktować po arystokratycznemu, według pewnych reguł i przepisów i prócz tego brak nam ufności w Boga, naszego najlepszego Ojca niebieskiego; zbyt się boimy, by On nas, gdy na drodze do Niego się potkniemy, nie wyrzekł się — może wreszcie nie mamy tej wolności

ducha, żyjąc wśród trosk i obaw tego świata nie dających się pogodzić z miłowaniem Boga, nie umiejąc sił i zdolności natury wyzyskać czy użyć w dążeniu do Boga.

Dla tych wszystkich powodów nic dziwnego, że myśl nasza nie dosięga wyżyn bożej miłości, że tych szczytów się lękamy, jak dzieci się boją ciemności nocy, że się nie zapalamy do nich, że nareszcie nasz bieg ku niebu hamują różne przesądy i uprzedzenia.

Chciałbym drodzy Bracia i Siostry Zakonu III, abyście, skoro chodzi o drogę miłości bożej, wyrobili sobie o niej jasne i zdecydowane pojęcie, chciałbym, abyście zdobyli prostotę i wolność ducha i posiedli tę wielką, szeroką jak morze ufność i przekonanie, że Bóg jest dobry bez granic, że bez tej ufności do niego przyjść nie można.

Przedewszystkiem zaś chciałbym, abyście na wzór św. Franciszka weszli w ściślejsze z przyrodą zaślubiny i częściej używali jej pomocy do śpiewania chwały Panu. Wierzajcie, że pod działaniem złotych, ożywczych promieni słońca, wśród woni i barw kwiatów, wśród śpiewu ptactwa, przytem obok duszy, która nas rozumie, obok serca, które z nami czuje, miłość ku Bogu się obudza i zamienia w radosny zachwyt. Wtedy z duszy ustępuje samotna pustka, a Bóg będący u szczytu stworzeń jako ich pierwsza niestworzona przyczyna, jako ich początek i cel ostateczny, dosłyszy pienia naszej chwały, pobłogosławi naszej miłości, bez której ziemia jest ciemnem, ponurem wygnaniem, jest, wedle słów św. Pawła „cymbałem brzmiącym i miedzią brzęczącą". — Amen.

Konferencja IV.

Ze św. Franciszkiem u stóp krzyża.

Problem cierpienia zasługuje na to, by się nad nim poważnie zastanowić. Na ziemi cierpimy wszyscy, a do szczęśliwych zalicza się tych, którzy cierpią mniej. I może nietyle jest rzeczą ciekawą, interesującą, skąd, którędy cierpienie na ten świat przyszło, ile raczej to jest ważnem i koniecznem studjować sposób, jak z cierpieniem należy walczyć, by zmniejszyć, jeśli nie pokonać jego niszczycielską siłę.

Ludzkość od samego zarania wypowiedziała cierpieniu zażartą walkę i dotąd nie odniosła zwycięstwa, dlatego, bo nie walczyła z cierpieniem tak, jak należy; ludzie zmagają się z cierpieniem, ale bez ducha poświęcenia, bez cierpliwej rezygnacji, bez tego pogodnego przekonania, że o raju ziemskim nie ma już co marzyć, że on minął bezpowrotnie, że cierpienie jest koniecznością, którą trzeba przyjąć i do niej życie dopasować, że przeklinanie cierpienia, złorzeczenie mu, dochodzące nieraz do wściekłości i furji, na nic się nie przyda, owszem uczyni cierpienie nieznośniejszem.

Niektórzy, mniej niecierpliwi, ale małoduszni, poddają się cierpieniu raczej biernie, z rezygnacją, szukają od czasu do czasu pociechy, ulgi we łzach i smutku.

Ciekawi są ci, którzy nie mając żadnych wyższych aspiracyj nie widząc nic poza ziemią i materją, używają tego tylko, co zmysły i uczucie zadowala, a nie troszczą się wcale, nie pytają o to, czyby i dla ducha nie znalazły się jakie pociechy, któreby mogły cierpienia fizyczne złagodzić i znośniejszemi uczynić.

Ale największego pożałowania godni są ci, którzy straciwszy wiarę we wszystkich i we wszystko, pod brzmieniem cierpienia oddają się rozpaczy, i jakby na przekór swym cierpieniom, w sposób nieludzki, okrutny skracają sobie życie samobójstwem; tacy, chorzy, godni politowania, przeklęli cierpienie w swem szaleństwie. To jedno nie ulega wątpliwości, że cierpienie, mimo wszystko, wyciska na czole człowieka swe piętno, ryje na niem głębokie, straszne bruzdy, nie ma nadziei, by kiedyś przyszedł dzień, w którym cierpienie przestałoby zatruwać życie ludziom, owszem, jesteśmy pewni, że to ponure dzieło będzie się prowadzić poprzez wieki, nawet wtedy gdyby tylko jeden człowiek został na świecie.

Z tego też względu, jak wspomnieliśmy, jest rzeczą ważną zastanowić się nad sposobem, jakby cierpienie uczynić znośnem, jak wobec niego zachować pogodę ducha, skoro ono, to cierpienie, jak cień złowrogi, od kolebki, do grobu stale nam towarzyszy; zobaczmy czy nie znajdzie się środek, by ono dla nas mniej było gorżkie, a jego ciosy i uderzenia mniej bolesne.

Wszyscy bez wyjątku Święci dają nam w tym względzie wielkie pouczenia, jednakowoż my nie oddalajmy się od naszego serafickiego Ojca, który jak wszędzie, tak i tu jest pewnym doskonałym przewod-

nikiem, z nim wstąpimy na Kalwarję i u stóp krzyża będziemy studjować problem cierpień.

Przedewszystkiem trzeba uwagę zwrócić na dwa zdarzenia ogromnej doniosłości.

Na szczycie pagórka zwanego Golgota, dokonał, 20 wieków temu, dzieła odkupienia Chrystus Jezus, Jego rozdzierająca śmierć wśród krwi i spazmów konania, wstrząsnęła całą naturą, potępiającą ten nieludzki mord. Żydzi po spełnionej zbrodni, schodzili z góry ukrzyżowania bijąc się w piersi, zaś apostołowie przerażeni tą okropną tragedją swego Mistrza, opuścili Go, uciekli w popłochu, w przekonaniu, że dzieło założenia królestwa już się na Kalwarji skończyło w sposób haniebny. Ale dnia trzeciego Jezus wstaje z grobu, blaskiem chwały i majestatu okryty ukazuje się im, leczy rany, nadzieję wlewa w serca, a równocześnie odkrywa oczom ich duszy tajemnice cierpienia, nędzę swoją poznali właśnie w tej ucieczce przed cierpieniem, nauczyli się, że z krzyża, jak z czystego ożywczego źródła, wypływa światło, łaska, zbawienie i błogosławieństwo dla cierpiących.

Chrystus Jezus umierając na krzyżu, zostawił swoją oblubienicę, pierworodną córkę, Kościół. Zrodził ją wśród niewypowiedzianych trudów boskiego apostolstwa, a na górze Kalwarji ochrzcił ją, obmył niewinną swoją krwią, aby była piękna, bez skazy, taka, jakim był jej Boski Twórca i Założyciel. Ale do ideału jej doskonałości potrzeba było, by przeszła przez chrzest cierpienia i rzeczywiście przeszła, a w sposób straszny. Od pierwszej chwili jej narodzin była prześladowana, spotwarzana, skazywana na śmierć. Gdzie tylko pokazali się tejże oblubienicy Kościoła wyznawcy, tam lały się łzy i krew, i nie było katuszy, męczarni

przez któreby ten Kościół nie przeszedł, żeby wspomnieć tylko amfiteatr Flawiusza (Koloseum) ze swojemi krzyżami i dzikiemi zwierzętami, albo ogrody Nerona, oświetlone nocą blaskiem palących się na osmolonych słupach chrześcijan.

Wszystkim się zdawało, że ta oblubienica Chrystusowa, Kościół, zostanie uduszona w kolebce, zgnieciona w zarodku, ale to był pozór tylko, bo równocześnie jasnem było, że krew męczenników stawała się posiewem nowych chrześcijan; zrozumiano, że to prześladowanie było koniecznem, by Kościół Chrystusa oczyścić, uświęcić, utrwalić, nadać mu właściwą cechę i swoistą fizjonomję łez i krwi, po której poprzez wieki możnaby go było poznać i od innych Kościołów, wyznań i religij odróżnić.

I to jest właśnie charakterystyczną cechą, znamieniem, po którem się poznaje prawdziwego ducha chrystjanizmu: ofiara, poświęcenie, cierpienie. Wszyscy Święci czerpali w Krzyżu Chrystusa siłę i moc do zmagania się z cierpieniem, tam nabierali męstwa prowadzącego ich aż do heroizmu, do bohaterstwa cnót, w miarę jak się zbliżali do Ukrzyżowanego na Golgocie, rozkochiwali się w cierpieniach i nabierali tej niewzruszonej wytrwałości, tej przedziwnej rezygnacji, która największe boleści przemieniała im w słodycz i rozkosz.

Seraficki O. Franciszek jest jednym z tych Świętych, dla którego cierpienie jakby nie istniało. Pogoda ducha była u niego tak wielka, że zapominał zupełnie o dolegliwościach ciała i goryczach życia; bywało, że gdy mu choroba bardziej dokuczała, zaczynał śpiewać wesołe melodje, a ci, co nie wnikali w jego duszę, gorszyli się tą jego wesołością, nazywając ją roztrzepaniem, a on, uniesiony ekstazą, śpiewał dalej tak:

„nagroda, jaka mnie czeka, jest tak wielka, że wszelka, boleść jest dla mnie lekka".

Ale skądże się wzięła u niego ta radość, gdzie było źródło tej pogody duszy? Nie gdzieindziej, jeno w tem przekonaniu, że przez cierpienie człowiek ściślej się jednoczy z Jezusem Ukrzyżowanym, w tem był cały sekret i rozwiązanie zagadki, dlaczego Franciszek tak się kochał w cierpieniu.

W jednej z poprzednich konferencji już wspomnieliśmy o tem, że rozmowa, jaką miał Franciszek z Ukrzyżowanym w Kościele św. Damiana, wycisnęła na nim piętno, nadała cechę, fizjonomję charakterystyczną jego miłości. I o tem także zrobiliśmy wzmiankę, że Franciszek był z natury czułym, wrażliwym i że każde ludzkie cierpienie, choćby najmniejsze, wzruszało go, ale by w Serafina miłości mógł się zamienić, do tego było mu potrzeba wejść w tajemnicze zaślubiny z krzyżem, a raczej z Tym, który do tego krzyża był przybitym. Po onej rozmowie z Ukrzyżowanym, mówią historycy, serce jego tak raniła i miękczyła pamięć o męce Chrystusa, że, jak długo żył, nosił w swem ciele blizny Pana Jezusowe.

Błogosławiona Aniela z Foligno, tercjarka, tak pisze: „Franciszek u stóp krzyża zgłębia tajemnicę cierpień Boga — Człowieka". W dziełkach Seraficzkiego Ojca czytamy takie gorące upomnienie: „Miejcie zawsze przed oczami drogę św. Krzyża, przez którą nasz Pan miłościwie nas prowadzi, rozważajcie, że jeśli dla Boskiego Majestatu było koniecznem cierpieć i dopiero tak wejść do swojej chwały, to tembardziej koniecznem to dla nas, tak wielkich grzeszników, byśmy szli drogą krzyża czyli cierpień". I znowu pisze: „W niczem nie mam takiej rozkoszy jak w rozmyśla-

niu życia i śmierci Pana, którą często sobie przywodzę na pamięć i gdybym do końca świata miał żyć, nie byłaby mi potrzebna żadna inna książka".

Ta ścisła łączność św. Franciszka z Chrystusem Ukrzyżowanym pozwala nam zrozumieć, dlaczego nie lękał się cierpień, ale ich pragnął i szukał tak, jak głodny pragnie i pożąda chleba. I nie trudno jest odnaleźć sekret tych pożądań, tego zamiłowania w cierpieniu, tak przeciwnego ludzkiej naturze, gdy się ma w pamięci, że „miłość mocna jest jak śmierć", że gdy się kocha, to z uśmiechem na ustach, z weselem w sercu robi się największe, najboleśniejsze poświęcenia dla osoby ukochanej.

Tak było ze wszystkimi Świętymi, tak zwłaszcza było ze św. Franciszkiem, dla którego cierpienie było słodkością, a słodkość cierpieniem.

W materji, o której mówimy, zadziwiającem jest to, co się czyta w rozdziale VI. „Fioretti", gdzie Franciszek idąc w towarzystwie br. Leona z Perugji do Assyża, do Matki Bosk. Anielskiej, daje poznać na czem polega doskonała radość.

„Gdybyśmy, tak mówi do br. Leona, dali ludziom przykład wielkiej świętości, gdybyśmy ślepym wzrok przywracali, kulawym chód, niemym mowę, głuchym słuch, gdybyśmy wskrzeszali umarłych, wiedz o tem br. Leonie, że nie w tem byłaby doskonała radość. Gdybyśmy znali wszystkie języki i posiadali wszelką wiedzę, gdybyśmy mogli prorokować, przepowiadać przyszłe rzeczy, a ponadto umieli odkrywać tajemnice serc i myśli ludzkich, zapamiętaj to dobrze br. Leonie, że nie w tem byłaby zupełna radość, Gdybyśmy potrafili mówić anielskiemi językami i znali drogi, po których krążą gwiazdy i wiedzieli na czem polega na-

tura, w czem jest istota rzeczy, jakie są na świecie, gdybyśmy naszemi kazaniami nawrócili wszystkich pogan, zapisz i zapamiętaj to sobie br. Leonie, że nie na tem zasadza się doskonała radość". Br. Leon ciekawy dowiedzieć się nareszcie do czego prowadzi i na czem się skończy tego rodzaju rozmowa, natchniona i tajemnicza, przerywa Seraf. Ojcu i zapytuje: „Powiedz mi, Ojcze, na miłość Bożą, gdzie i w czem jest ta doskonała radość?" Św. Franciszek odpowiada tak: „Gdy przyjdziemy do klasztoru M. B. Anielskiej, zmoknięci, zziębnięci, a brat furtjan nie zechce nam otworzyć drzwi, ale powie: jesteście dwaj nicponie, oszukujecie świat, kradniecie jałmużnę ubogim, wynoście się stąd, a my oba stać będziemy na zimnie, deszczu, na wietrze, i to zniesiemy cierpliwie, bez szemrania, narzekania, z weselem ducha, wtedy zanotój to sobie br. Leonie, dowiesz się, na czem polega doskonała radość. A gdy będziemy do drzwi pukać, a br. furtjan zdenerwowany wyjdzie i powie nam: jesteście draby, wynoście się do przytuliska, bo tu nie dostaniecie ani żywności ani schronienia, jeśli my to zniesiemy cierpliwie, z weselem, wiedz o tem br. Leonie, że w tem jest doskonała radość. A gdy my znękani głodem i zimnem, pukać dalej do drzwi będziemy, a br. furtjan unieśiony gniewem przyjdzie i obije nas sękatym kijem i wziąwszy nas za kaptur rzuci nas o ziemię w błoto i śnieg i da nam najgorsze przezwiska, a my się na to nie oburzymy, ale się śmiać będziemy, wiedz o tem br. Leonie, że w tem jest zupełna radość, bo trzeba ci wiedzieć, że między darami, jakie Chrystus przez Ducha św. dał swoim uczniom, największym jest ten: zaprzeć się siebie, wzgardzić sobą i chętnie dla miłości bożej

znieść urągania i zniewagi. W rzeczach, które ci wymieniłem wyżej, tak wzniosłych i dziwnych, chlubić się nie możemy, bo one nie są naszą własnością ale darem bożym, natomiast wolno nam się chlubić w krzyżach, utrapieniach, uciskach, bo one są nasze, do nas należą".

Z tego obrazu, tchnącego wysokim mistycyzmem, pełnego niezrównanej prostoty, widzi się jak na dłoni duszę Franciszka, w tych słowach przebija się, odzwierciedla piękne jego życie, najprawdziwszy wizerunek umiłowanego aż do zapamiętania ideału. Ktoby chciał poznać krótką drogą charakterystyczną cechę świętości Franciszka, temuby wystarczyło otworzyć z „Fioretti" przytoczony rozdział, na chwilę się w niego wczytać i zamyśleć i nabrać przekonania, że tu przemawia Serafin ziemski, pełen ognia, rozmiłowany w krzyżu, pragnąc mieć udział w krzyża cierpieniach. Z tych stronic przebija entuzjazm, który dusze nasze przejmuje trwogą, podczas gdy dusza Franciszkowa spowita w misterjum rozkoszy i światła.

W ostatnich latach życia wzrosły u św. Franciszka porywy miłości ku Ukrzyżowanemu Jezusowi, tak, że zasłużył sobie na szczególny przywilej, na nagrodę zupełnie osobną i wyjątkową.

Oto znajdował się na górze Alwernji, dokąd wyszedł z myślą ostatniego pożegnania tego drogiego, świętego ustronia, na którem doznał tyle razy słodkich pociech duszy i gdzie teraz chciał się przygotować do bliskiej, przeczuwanej już śmierci. Ta góra robiła zawsze na nim niewymowne wrażenie, miała dla niego jakiś tajemniczy urok, jakiś dziwny czar, duszę jego podnosiła ku Bogu swoją samotnością wiekowemi drzewami, śpiewem ptaków, grą kwiato-

wych kolorów, na tę górę zawsze się udawał, ile razy wielkie myśli i zamiary miał wprowadzić w czyn, ile razy chciał sam na sam rozmawiać z Bogiem.

Tym razem wyszedł Franciszek na szczyt tej góry bardziej wzruszony niż zwykle, przeczuwał, że to ostatnia wizyta, jaką oddaje swej umiłowanej przyjaciółce, że to ostatnie pożegnanie przed odejściem w daleką podróż.

W pośrodku tego pustkowia, tej czarownej natury, zebrał, skupił wszystkie, na jakie było go stać, siły ducha i rozpoczął prawdziwie anielskie życie; umartwiał się, medytował, modlił, płakał w przeczuciu, że zbliża się ku niemu jakaś tajemnicza, niezwykła chwila. I ta chwila przyszła. Pewnego dnia rozmyślając o męce Zbawiciela, wpadł w zachwycenie, w którem, po krótkiej tajemniczej rozmowie z Chrystusem, otrzymał na swem ciele odbite, wyrażone blizny, stygmata Ukrzyżowanego. Za kilka dni schodząc z owej góry, mógł powtórzyć ze św. Pawłem apostołem, „Przybity jestem z Chystusem do krzyża".

To był najpiękniejszy epilog życia Franciszka: ten, którego całe lata trawiły katusze Golgoty, zasłużył być żywym obrazem Ukrzyżowanego.

Jeśli teraz badawczem okiem przypatrzymy się Serafickiemu Ojcu, ile przepięknych lekcyj w nim wyczytamy? Ku naszemu zawstydzeniu musimy wyznać, że pomiędzy ideałem jego życia a naszem, jest wielka przepaść, że on żył, by cierpieć dla miłości Chrystusa, a my żyjemy, by się cieszyć i używać.

Wiemy, że życie chrześcijańskie to ciemna noc poprzedzająca świetlistą jutrzenkę, że to krwawa walka prowadząca do zwycięstwa, że obecne życie to pochód ku wieczności po drodze ciernistej, kamienistej,

raniącej nogi. Takiem było życie Chrystusa i jego świętych wyznawców, nikt z ludzi nie szedł inną drogą, czy chciał czy nie chciał, historja ludzkości jest historją bólu i cierpienia.

Na te bóle i cierpienia winni Bracia i Siostry Zakonu III. patrzeć po chrześcijańsku, pod kątem widzenia wieczności, muszą mieć wzrok utkwiony w Golgocie i jej cierpienia mieć za kompas mierniczy swoich cierpień. Przy boku Chrystusa stojąc — w krzyż zapatrzeni, od cierpień nie uwolnimy się wprawdzie, ale doznamy ulgi i wzmocnienia na myśl, że Ten, który nas wzywa, by iść za Nim ku chwale, pierwszy przez mękę krzyża przeszedł i kielich goryczy do dna wypił, o tem nie powinien zapomnieć nikt, kto nosi habit „Biedaczka“ z Assyżu, kto pod sztandarem krzyża żyć i walczyć zaprzysiągł.

Następnie, aby cierpienia życia uczynić znośnemi, by im nie ulec, nie dać się złamać, nie należy się łudzić, że nienasycone apetyty naszego serca potrafimy tu na ziemi zaspokoić, takim zwodniczym iluzjom wielu niestety podlega; marzą, śnią o szczęściu tu na ziemi, nie myśląc o tem, że szczęście ziemskie to mara nieuchwytna, wciąż ścigana, nigdy nieosiągnięta.

Wreszcie musimy zrozumieć, że im więcej potrzeb i wymagań stawiamy dla siebie, tem większego doznajemy rozczarowania, nie mogąc tych potrzeb i wymagań zaspokoić, osiągnąć tak, aby były trwałemi. Niech więc wobec tego będzie zasadą życia to: kontentować się czem można i co się ma, nie płakać, nie narzekać, gdy coś brakuje, raczej śmiać się, gdy brakuje wiele.

A jeśli nawet na to nie potrafi się zdobyć cierpliwość chrześcijańska, wówczas róbmy rekurs do naszego serafickiego Ojca, studjujmy jego zamiłowanie w cierpieniach i prośmy go z serdeczną, dziecięcą ufnością, by nam wymodlił u Jezusa ten hart duszy, który nie ulega, nie poddaje się, ale cierpi i przeciw nadziei się spodziewa. Amen.

Konferencja V.

Z św. Franciszkiem u stóp Tabernakulum.

Między tajemnicą ołtarza a tajemnicą krzyża zachodzi ścisły związek, obie te tajemnice nawzajem się dopełniają. I tę obopólną łączność zadzierżgnął sam Jezus Chrystus, gdy z wieczernika poszedł na krzyż, a z krzyża zstąpił na ołtarze kościołów świata, by dzieło Odkupienia, w sposób niekrwawy, bez przestanku ponawiać, za grzechy ludzi ciągle się ofiarować.

Dla wyczerpania nieskończonej Boga miłości nie dosyć było, aby dzieło Odkupienia zaistniało, niby światło błyskawicy, raz na Golgocie; Jezus Chrystus chciał czułością Ojca, by cena Odkupienia, z tronu ołtarzy, była nieprzerwanym łącznikiem między Nim a ludem, oto, dlaczego krzyża nie można odłączać od ołtarza, na krzyżu Jezus ludzkość odkupił, z ołtarza ją posila i prowadzi.

Tajemnica krzyża przemawia silnie do rozumu i do serca, ale tajemnica ołtarza w sposób szczególny w serce uderza, podczas, gdy tajemnica krzyża jest w swoim tragizmie tak niepojęcie wzniosłą, że aż zdumiewa i przeraża, to tajemnica ołtarza, również niepojęta w swej głębokości, jest czemś, co swoją słodyczą syci i upaja dusze, porywając je w miłosny

zachwyt. Jezusa Eucharystycznego działanie odczuwa więcej, niż kiedyindziej umysł i serce w cichej samotności skupienia, zdaleka od zgiełku świata, zdaleka od blasku majestatu Bożego, ukrytego pod postaciami.

To jest właśnie powodem, dlaczego do stóp ołtarza się idzie i tam się uklęka z większą miłością z silniejszą nadzieją i ufnością; dla iluż dusz godziny przepędzone przed Tabernakulum, są źródłem niewymownych pociech i słodyczy duchowych!

Franciszek Seraficki nie należy do tych Świętych, którzy większą część swego życia spędzali przed Jezusem Sakramentalnym; i on byłby zapewne to uczynił, gdyby nie praca apostolska, która za jego czasów była gwałtowną i piękącą potrzebą, gdyby nie troski rozliczne o powstający i rozwijający się zakon, które mu zabierały czas i nie pozwalały na oddanie się słodkim kontemplacjom w obliczu ołtarza, jednakowoż i wśród tych ewangelicznych prac i zajęć, oraz kłopotów zakonnych nie zapominał Franciszek o Jezusie w Eucharystji.

Historycy nie dosyć uwydatnili ten rys życia świętego Patrjarchy, nie dlatego zapewne, aby mu go brakowało, ale dlatego, że zajęli się więcej tą stroną jego życia, która bardziej uderza i narzuca się swoją oryginalnością i nadzwyczajnością. Nam o to przedewszystkiem chodzi, by na czoło wysunąć cnoty praktycznego życia serafickiego Ojca i podać je za wzór do naśladowania i dlatego nacisk położymy na ten rys, który dla duchownego życia jest ogromnej wagi i doniosłości. Nawet profan w rzeczach wiary wie o tem, że Eucharystja jest środkiem chrześcijańskiego życia, że jest łącznikiem stworzenia ze Stwórcą, i to łącznikiem najświętszym, a zarazem najsłodszym.

Wy, Bracia i Siostry Zakonu III, macie obowiązek raz w miesiącu się komunikować — tj. przystępować do stołu Pańskiego — a czy przystępujecie i to godnie? Wasze sumienia niech odpowiedzą na to pytanie.

Kto chce wejść w ścisły, zbawczy związek z Jezusem Sakramentalnym, ten musi Mu złożyć w ofierze daninę wiary, miłości i apostolstwa. Przedewszystkiem musi wierzyć w rzeczywistą obecność Jezusa pod Eucharystyczną osłoną, gdzie On, w sposób tajemniczy i przedziwny ukrył swoje Ciało i swoją Krew, aby stać się naszym pokarmem i napojem, — następnie musi się odpłacić za miłość miłością, za dobrodziejstwa wdzięcznością, wreszcie oddać się i poświęcić rozszerzaniu czci dla Eucharystycznych Postaci — Nie ma nabożeństwa do Jezusa w Eucharystji ten, kto Mu nie składa w darze: wiary, miłości i ducha apostolstwa.

Z gorącej duszy seraficiego Ojca dobywały się jak trzy ogniste strzały, wspomniane cnoty; mocną była jego wiara, gorąca miłość, pracowite apostolstwo. — Od kiedy zaczął zgłębiać życie wewnętrzne, uczuł wyjątkowy zapał i gorliwość w ozdabianiu kościołów, będących mieszkaniem Jezusa, a widząc je opuszczone, zaniedbane, brudne, chylące się do upadku, rozczulał się do łez i obmyślał zaraz środki, jakby je przyprowadzić do stanu, godnego służyć za mieszkanie najwyższego Króla. Odnosiło się to zwłaszcza do kościółka „Porcjunkuli“. Widziano go, jak skrzętnie znosił na własnych ramionach kamienie, cegły, drzewo, potrzebne do jego odbudowy i ażeby innych do tej roboty zachęcić, mawiał z uśmiechem: „kto mi poda jeden kamień, będzie miał jedną nagrodę, kto poda dwa kamienie, będzie miał dwie nagro-

dy, a kto przyniesie trzy kamienie, otrzyma tyleż nagród"... Prostota i wiara, z jaką wypowiadał te słowa, poruszały słuchaczy tak, że chętnie pomagali mu znosić materjały potrzebne do odrestaurowania ubożuchnego kościółka i przygotowania godnego mieszkania Temu, który raczył zamieszkać z ludźmi.

Fakt ten jest wystarczającym dowodem, jak czułe i subtelne zrozumienie miał Franciszek dla Jezusa utajonego w Sakramencie Ołtarza.

Jak już wyżej wspomnieliśmy, nie przepędzał on długich godzin na adoracji Eucharystji, bo czas mu zajmowały prace apostolskie i sprawy zakonu; prócz tego wolał szukać zjednoczenia z Bogiem wśród natury, na wolnem powietrzu, pod sklepieniem niebios, gdzie łatwiej odnajdywał siebie, ale to mu wcale nie przeszkadzało odnosić się do tajemnicy ołtarza z wielką wiarą i płomienną miłością. — Posłuchajmy, jak pewnego razu upomniał swych braci: „Ci wszyscy, którzy widzą na ołtarzu Sakrament w postaci chleba i wina, poświęcony słowami Chrystusa, wypowiedzianemi przez upoważnionego kapłana, a jednak nie wierzą, że pod temi postaciami jest prawdziwe Ciało i Krew rzeczywista Jezusa Chrystusa i tego Ciała i tej Krwi nie pożywają, ci wszyscy będą potępieni wedle słów tegóż samego Chrystusa; więc dlaczego synowie ludzcy macie tak twarde serca i jak długo pójdziecie za kłamstwem i próżnością, dlaczego nie chcecie uznać prawdy i nie wierzycie Synowi Bożemu? — Każdego dnia On się upokarza tak, jak wtedy, gdy z tronu królewskiego zstąpił w łono Dziewicy, każdego dnia przybywa do nas w postaci niepojętego poniżenia, co dnia schodzi z łona Ojca na ołtarz przez posługę rąk kapłańskich i tak, jak apostołom ukazał się

w ciele prawdziwem, tak i nam się objawia w chlebie konsekrowanym i tak, jak oni widzieli oczyma tylko ciało, ale oczami duszy wierzyli w Jego Bóstwo, tak i my widzimy oczami ciała tylko chleb i wino, ale silnie wierzymy, że to jest żywe, prawdziwe Ciało i Krew Jezusa Chrystusa".

W tych słowach poznajemy nietylko teologa wzbijającego się na szczyty tajemnicy, ale i Świętego upojonego słodyczą tejże. Lecz skądże u niego taka wysoka wiedza, skąd taka głęboka wiara? wszak on wiedzy nie nabył w szkołach, gdyż do nich nie uczęszczał, wiary nie zaczerpnął od ludzi sobie współczesnych, bo ci byli dla religji zimni i obojętni; oto jedno i drugie u Boga sobie wyprosił. Czas, jaki spędzał przed Tabernakulum, nie był długi, ale jakiż drogocenny, dobrze użyty, wymiana słów z Jezusem była krótka, ale jak pełna wiary i miłości, ileż w tem zjednoczeniu z Eucharystycznym Jezusem było świętych uczuć i płomiennych uniesień!

Bo trzeba pamiętać, że Tajemnica Ołtarza wywiera na dusze przedziwny urok i potężny wpływ, napełniając je niewymowną słodyczą; to są rzeczy tak głębokie, że o nich mówić przychodzi z trudnością nawet dla oświeceńszych umysłów. Franciszek nie znał takiej trudności, on jest wprost wyjątkowym, gdy pisze czy mówi o tym Sakramencie i jego skutkach, o ciężkiej próbie, na jaką wystawia ta Tajemnica najtęższe geniusze. Patrjarcha seraficki pojmował to, że pod cieniem ołtarzy ludzie znaleźliby szczęście dla swoich dusz i dlatego z czułością ojca zapraszał ich do tych boskich namiotów. „Z ucałowaniem nóg — mówił raz i — z miłością, na jaką mię stać, proszę wszystkich, aby dla tego Sakramentu Ciała i Krwi

Pańskiej, mieli najgłębszy szacunek i najwyższą cześć, gdyż przez te najświętsze tajemnice niebo do ziemi się przybliża i ludzie jednają się z Bogiem".

Z biografji Franciszka wiemy, że do Komunji św. przystępował codzień, że codzień słuchał kilka mszy św. z budującą pobożnością i powtarzał jakby w zachwycie pogrążony „Jeśli Ciało Chrystusowe jest pokarmem dla duszy, bez którego ona omdlewa i słabnie, to dlaczegoż do tej biesiady Pana nie przychodzą ludzie codzień, by Baranka Bożego pożywać? wszak podróżny zmęczony drogą, potrzebuje więcej niż ktokolwiek inny pokarmu; Eljasz pożywał ten chleb we figurze i podobieństwie tylko, a taki posilony, wzmocniony się uczuł, że bez zmęczenia wyszedł na górę. Gdybyśmy się częściej i jak należy posilali tym Chlebem niebieskim, większy byłby u nas postęp na drodze cnót, więcej ubiegania się o zdobycie Ojczyzny, dla której zostaliśmy stworzeni".

Czyż w tych słowach nie przebija się fizjonomja Serafina z Assyżu, znajdującego w Ołtarzu Tajemnicy swoją wiarę, miłość i pociechę? czyż trzeba szukać innych słów, by oddać usposobienie Świętego dla Jezusa w Eucharystji? Krzyż i Eucharystja to dwa etapy, na których znajdywał dla swej duszy uświęcenie i szczęśliwość.

Jeszcze lepiej to zrozumiemy, jeśli weźmiemy pod uwagę pracowite apostolstwo Franciszka podejmowane dla Jezusa utajonego w ołtarzu, ileż tam entuzjazmu, ile najszlachetniejszych usiłowań! Już wyżej o tem zrobiliśmy wzmiankę, jak dbał o ozdobę kościołów, będących mieszkaniem Boga utajonego, to był jakby początek eucharystycznego apostolstwa. Franciszkowi niedość było wstrząsnąć i poruszyć

sumienia współczesnych ludzi świętością życia i pełnemi prostoty i duchowego namaszczenia naukami. On, prócz tego, ułożył parę krótkich odezw, jakby duchownych listów o Tajemnicy Ołtarza, swoim braciom polecił te listy przepisać i podać kapłanom i biskupom z prośbą, by oni takowe rozpowszechniali między ludem. Apostolstwo takie miało nadzwyczajne powodzenie i nieoczekiwane, dobre skutki wywierało na sumienia i życie religijne ludzi, rzekłbyś, że Umbrja przemieniła się w nową Galileję, do której jakąś magiczną siłą przyciągani, pielgrzymowali ludzie ze wszystkich stron, by słowa zbawienia usłyszeć, ducha odnowić i pokrzepić, serca rozpalić miłością dla Jezusa w Eucharystji.

Temu apostolstwu, by nadać większą skuteczność nakazał Franciszek swoim braciom, aby, gdziekolwiek spotkają w kościołach tabernakula opuszczone, zaniedbane, usuwali je, a na ich miejsce starali się o lepsze, i jakby na chwilę zapomniawszy o pani „Ubóstwie“ posyłał braci z gotowemi cyborjami, drogo nieraz ozdobnemi, do ubogich kościołów, by służyły do godnego przechowania św. Eucharystji. Ten rys tak charakterystyczny w życiu św. Franciszka robił wielkie wrażenie na ludziach, nie przyzwyczajonych do patrzenia na takie przykłady gorliwości; dodajmy, że na owe czasy kult zewnętrzny Eucharystji, był słabo rozwinięty, przeważnie z braku środków, które dopiero później poznano i wprowadzono w użycie — stąd przemyślna gorliwość św. Franciszka i jego braci o cześć zewnętrzną, należną Najśw. Sakramentowi tak wielki wywierała wpływ i tak zadziwiała.

Także i o bieliźnie kościelnej, o szatach liturgicznych nie zapomniał Franciszek, wiedząc jakie pod tym względem napotykał po kościołach braki i za-

niedbania; tak, jak od drzwi do drzwi pukał i wypraszał materjały potrzebne do budowy i naprawy kościołów, tak podobnie zbierał przybory potrzebne do liturgicznych obrzędów i miał w tem szczęśliwy pomysł. — Polecił mianowicie św. Klarze i jej duchownym córkom z klasztoru św. Damiana, by one zajęły się wyrabianiem i naprawianiem liturgicznych paramentów; wiedział, że pierwszym obowiązkiem Sióstr Klarysek było życie wewnętrzne, bogomyślne, ale skoro spostrzegł, że ochędóstwo i schludność domu bożego domagały się pracy ich rąk, tej pracy od nich zażądał i do niej zobowiązał.

I zaczęła Klara z siostrami zakonnemi szyć, robić, naprawiać bieliznę dla ubogich kościołów, klasztor św. Damiana stał się skrzętną i pilną, bardzo pożyteczną pracownią szat liturgicznych i nie omyli nas przypuszczenie, że wśród tych zbożnych zajęć zrodziły się i wyrosły u św. Klary te wzniosłe uczucia pobożności, oparte na silnej wierze, dzięki którym odniosła zwycięstwo nad Saracenami wdzierającymi się na mury klasztorne, a następnie oślepionymi i strąconymi stamtąd na widok Postaci Eucharystycznych w puszce przez Świętą wyniesionych. W tej ręcznej dla kościołów pracy znajdowała Klara nietylko wielkie upodobanie, ale i walną pomoc dla eucharystycznego apostolstwa Franciszka, który o wielkiej miłości Klary i swej duchownej córki dla Jezusa w Eucharystji wiedział dobrze, bowiem nie kto inny, tylko on sam, tę miłość jej poddał, duszę jej dla tej miłości urobił i zapalił, by razem, we wspólnej pracy, szerzyć apostolstwo Ołtarza.

Z wielką czcią i uszanowaniem dla Eucharystycznej Tajemnicy łączy się u św. Franciszka wyjątkowy szacunek dla kapłanów i wysokie pojęcie o ich go-

dności. Znane są jego listy specjalnie do kapłanów napisane, w których obok uwielbienia Eucharystji, przypomina im ich wielką godność i święte obowiązki, błaga i zaklina, aby je godnie spełniali. „Proszę wszystkich wybranych do spełniania tych najświętszych posług, poważnie się nad tem zastanowić i wziąść do serca, przez ilu i na ilu miejscach są te Tajemnice niegodnie przyjmowane, niedbale traktowane, niegodziwie nadużywane".

Upominał, aby kapłanom oddawano cześć i szacunek z powodu godności, jaką piastują i mawiał, że gdyby na drodze spotkał anioła i kapłana, to naprzód kapłanowi by się ukłonił i ucałował mu ręce, które dotykają Ciała i Krwi Pańskiej a następnie pokłon oddałby aniołowi; takie wysokie pojęcie Franciszka o godności kapłanów było powodem, że święceń kapłańskich nie przyjął, czując się niegodnym i pozostał klerykiem djakonem.

Miłość dla Jezusa w Eucharystji, jaką widzieliśmy u seraficiego Patrjarchy, naśladowali najwięksi Święci jego Zakonu: Antoni Padewski, Bonawentura, Paschalis Baylon, Bernardyn Seneński, Leonard z Portu Maurizio i wielu innych — oni byli niezmordowanymi apostałami, krzewicielami czci Najśw. Sakramentu Ołtarza.

Tego ducha wiary, miłości, apostolstwa żąda św. Ojciec Franciszek od Braci i Sióstr Zakonu III; przyjmować Komunię św. często a godnie, adorować ją po kościołach, dbać o ozdobę domów bożych, stroić ołtarze, w których przebywa Jezus utajony, oto, czego Franciszek od nich się domaga.

Za dni naszych ludzie tak zimne, oziębłe mają serca dla Najśw. Sakramentu, wielu jest, którzy go nie przyjmują nigdy lub bardzo rzadko, — inni przyjmują go wprawdzie, ale niegodnie, świętokradzko; ludzie

na ogół, mało adorują Jezusa Sakramentalnego, jeszcze mniej dbają o ozdobę kościołów, o godne przystrojenie mieszkania dla Wielkiego Miłośnika.

Wobec tego, my, Synowie i Córki „Biedaczka" z Assyża przeciwstawmy tej ślepocie i niewdzięczności ludzkiej wiarę, miłość, cześć i uwielbienie dla Najśw. Sakramentu — adorujmy tę prawdziwą Tajemnicę słowami serafickiego Ojca, mówiąc: „Uwielbiamy Cię, Przenajśw. Panie Jezu Chryste po wszystkich kościołach świata i błogosławimy Tobie, żeś przez krzyż Twój święty odkupił świat". — Amen.

Konferencja VI.

Św. Franciszek u stóp Dziewicy.

Poprzez dzieje Odkupienia przewija się stale obok Jezusa słodka postać Niewiasty: z Niej On wziął ludzkie swe ciało, Jej mlekiem się karmił, od Niej odbierał czułe macierzyńskie pieszczoty, z Nią wyruszył na podbój ludzkości, naprzód wśród trudów apostolskich, a później wśród katuszy Golgoty, dokąd spazmami paroksyzmem bolów dręczona, miała wyjść, aby poświęcić się na całopalenie i ofiarę, jakiej nigdy od żadnej matki nie żądano.

Na tem wzgórzu Trupiej Głowy miały się między Jezusem, a Oną Niewiastą, dopełnić wielkie tajemnice i dlatego Ona tam wyszła, siłą nadludzką pociągnięta, a chociaż nie mogła, jak Jej Syn, podać swego ciała na męczeństwo okrutne, choć nie mogła ulżyć jego cierpieniom, jak chciała, to jednak swoją tam obecnością umożliwiła spełnienie się planów Opatrzności, tej Opatrzności, która na Kalwarji dawała ludziom nietylko Zbawiciela ale i Matkę; tajemnica ta spełniła się wtedy, gdy Jezus konający, zwróciwszy się do Jana, wskazał na Marję i rzekł: „Oto matka Twoja".

Od tej chwili każdy, kto zbliża się do Jezusa na krzyżu, musi koniecznie zetknąć się z tą Niewiastą,

której postać wyciska z oczu łzy, serce rozdziera boleścią, obudza współczucie i miłość. Ile razy Święci zapatrzeni w krzyż i w Tego, co na nim wisiał, zgłębiali tajemnice bożej miłości, nie mogli nie rzucić spojrzenia na Niewiastę stojącą obok, a która na Kalwarję wyszła z miłości ku Synowi i ludziom. Historja dostarcza dowodów, jaką dla Marji miłość ludzie mieli, nieraz zdawałoby się, większą niż dla samego Jezusa.

Św. Franciszek, który miał serce tak delikatne, i pełne poezji, który u stóp krzyża przeżywał najsłodsze chwile zachwytów, nie mógł nie kochać Marji, Królowej męczenników, współodkupicielki ludzkiego rodu, białej Lilji pól, niewinnej Gołębicy lasów. Ile razy patrzył czy to na krzyż, czy na ołtarz, zawsze jego wzrok stykał się z postacią Tej, której najgłębszą oddawał cześć, którą prosił o pomoc i opiekę. Franciszek zapewne nie był św. Bernardem, który zdawał się żyć wyłącznie dla Marji, ale nie mniej kochał Ją miłością gorącą i godną, by Ją postawić za wzór dla Braci i Sióstr Zakonu III.

Mało danych zostawiła nam w tym względzie historja, ale i to, co nam zostawiła, wystarczy, by św. Franciszka zaliczyć do czcicieli i miłośników Najśw. Marji Panny. Opowiadają, że kiedy Franciszek się narodził, słyszano wokoło kościółka Porcjunkuli anielskie śpiewy, jakby z nieba zesłane, na znak radości i wesela. Nie wiemy, ile prawdy jest w tej legendzie, o której historycy, acz nieliczni — robią zaledwie wzmiankę, ale możemy ją przyjąć za prawdopodobną, gdy będziemy pamiętać, że ten kościółek właśnie dzięki Franciszkowi stał się sławny na cały świat, że Najśw. Panna tam zapomniana dotąd, miała za lat kilkadziesiąt widzieć tysiące ludzi, do Jej kościółka przy-

bywających z wiarą i miłością, stąd uważamy za rzecz prawdopodobną, że przy narodzeniu Franciszka aniołowie, tego kościółka stróże, zanucili pieśń, podobnie jak śpiewali nad grotą betlejemską. Gdy ponadto uprzytomnimy sobie zdarzenia, jakie miały miejsce później wśród tych murów, wówczas nie trudno będzie uwierzyć w ten historyczny fakt, będący jakby zapowiedzią wielkich, doniosłych rzeczy.

Co było u św. Franciszka jakby naturalnym podkładem, by stał się wielkim miłośnikiem Marji, o tem byłoby łatwo się przekonać, gdyby biografowie byli coś więcej nam napisali o wzajemnej miłości, jaka łączyła Franciszka z jego matką Piką, — pewnem jest to, że swej naturze zawdzięczał w tym względzie wiele; duszę pełną poezji tam nawet, gdzie drudzy nic nie widzą prócz pustki i milczenia; i delikatne, subtelne uczucie dla stworzeń, począwszy od drobnego robaczka aż do człowieka, tego ogniwa łączącego świat widzialny z Bogiem, wreszcie serce gorące, szerokie, wrażliwe na wszystkie cierpienia ludzkie, jak wogóle na wszystko, co prawdziwe, dobre i piękne.

I czyż jest możliwem, by w takiem sercu nie znalazło się miejsce na miłość dla Marji, która jest nazwana w księgach świętych „matką pięknej miłości", źródłem najdostojniejszej poezji, i — po Chrystusie — najwznioślejszą postacią, około której owijają się przeznaczenia ludzkości? Byłoby niedorzecznem myśleć inaczej; tak, jak ku Bogu wyrywał się Franciszek gwałtownym, gorącym pędem, tak biegł ku Bożej Matce z czułością i przywiązaniem najlepszego syna; swoje dla Niej usposobienie wyraził w tych słowach: „Gdy odmawiam Zdrowaś Marja, śmieje się niebo, cieszą się anieli, raduje się świat, drży piekło, uciekają szatani".

Franciszek, jak już wiemy, po spędzonej wesoło młodości zerwał ze światem i jego złudnemi rozkoszami, opuścił wszystko, aby w głębi serca szukać szczęścia, którego mu świat dać nie mógł. Że w Bogu szczęście znalazł, o tem upewniła go rozmowa, jaką miał z Ukrzyżowanym w kościele św. Damiana, gdzie był otrzymał zlecenie, by ten kościół odrestaurował. Ktoś mógłby myśleć, że ta rozmowa była decydującym momentem w jego nawróceniu, że mu wskazała kierunek, którędy Opatrzność chciała go prowadzić; tymczasem widzimy go jakby na rozstaju, wahającego się, nie wiedzącego co począć, na co czekać, czego się spodziewać. I oto patrzymy, jak pewnego dnia Franciszek podąża od św. Damiana, w kierunku kościółka Matki Boskiej Anielskiej, gdzie był Jej obraz łaskami słynący, a przed którym miały lepiej dojrzeć jego wielkie zamiary i plany; więcej tam miało spłynąć na niego światła, — tam, pod cieniem tego obrazu, miało się dokonać odnowienie tego dziś tak sławnego kościółka „Porcjunkulą“ zwanego. O czem rozmawiał Franciszek z Matką Bożą, nie wiemy, możemy się domyślać, że z pewnością goręcej niż zwykle się modlił, znajdując w tej samotnej, świętej ciszy siebie samego lepiej, niż gdzieindziej, w tem ustroniu więcej się czuła zadowoloną pani „Ubóstwo“ bo Porcjunkula to nie co innego, tylko mała, uboga cząsteczka. Dodajmy, że i aniołowie nie omieszkali tam go rozweselać swemi śpiewami i muzyką, w które on się wsłuchiwał aż do ekstatycznych zachwytów.

Z tych to powodów Porcjunkula stała się miejscem drogiem dla Franciszka: tam, jak mówiliśmy, w świetle ewangelicznej nauki dojrzały jego postanowienia, tam się utwierdził, mocno usadowił ośrodek

tego ruchu religijnego, który miał poruszyć świat, tam wreszcie ściągają od wieków katolickie ludy, różnych języków i obyczajów, by czołem uderzyć przed obrazem Marji. — Od tej chwili zaczęła się dla Porcjunkuli, dla Matki Bożej Anielskiej nowa epoka, pełna blasku i chwały; bo ileż dusz, od tego czasu po dziś dzień, odwiedziło te święte mury, by u stóp Marji wynurzyć swe uczucia i przedłożyć najserdeczniejsze prośby, ile tam wylało się łez, ile oczyściło sumień, ile się pokrzepiło, pocieszyło serc!

Opowiada da Celano, że Ojciec seraficki miał to sobie za objawione, że Matka Boża ze wszystkich kościołów świata, pod Jej wezwaniem i na jej cześć zbudowanych, najbardziej kochała Porcjunkulę, naprzód dlatego, by Fraciszkowi okazać szczególniejszą swoją macierzyńską opiekę i miłość, by oraz tam, gdzie obrała sobie tron jako Królowa-Matka, odbierać hołd od ludzi i wysłuchiwać ich prośby.

Że Porcjunkula stała się źródłem łaski i miłosierdzia tego dowodem jest sławny odpust otrzymany przez Franciszka od Boga wtedy, gdy wśród nocnej ciszy leżąc krzyżem na posadzce, rozmyślał i modlił się jakby grzesznemu światu przyjść z pomocą. Na jego prośbę objawił sie mu P. Jezus ze swoją Matką, otoczony chórem aniołów; Franciszek jakby przerażony, onieśmielony tym widokiem, a następnie zachęcony przez Marję, przedstawił P. Jezusowi swą prośbę, i od tego dnia Porcjunkula stała się tą ewangeliczną sadzawką, do której tysiące trędowatych na duszy się udaje i znajduje oczyszczenie. Świat cały patrzy z podziwem na ten cud miłosierdzia, a Najśw. Matka spogląda z uśmiechem na swój tron promieniejący nową chwałą, nowem światłem; kto miał szczęście być w ko-

ściółku Porcjunkuli w dzień odpustu (2 sierpnia), ten się przekonał, ile triumfu przysporzył Franciszek Najśw. Pannie, ile duchowych korzyści wyjednał ludziom. W tym dniu zczerniałe, omszałe mury kapliczki cudownej, zdają się jaśnieć jakimś blaskiem i na święte oblicze Marji gorące rzucać promienie.

Franciszek uradowany, że tyle łask dla ludzi wyprosił za przyczyną Marji, opuścił Umbrję i rozpoczął apostolskie podróże, wracając jednak co pewien czas do Anielskiego kościółka, by u stóp Marji trochę wypocząć i uprosić błogosławieństwo do dalszej pracy.

W roku 1215 Ojciec Seraficki znajduje się w prowincji toskańskiej, chciał zwiedzić górę Alwernji, którą, dwa lata temu, otrzymał w darze od hr. Orlando da Chiusi, a której aż dotąd nie miał sposobności poznać, z powodu ważnych zajęć dotyczących spraw Zakonu. Możnaby sądzić, że ustronie tej świętej góry nie zupełnie odpowiadało umysłowi i sercu Franciszka, bo on tak bardzo przejęty był duchem apostolstwa, tymczasem znalazł ją, tę górę, zupełnie odpowiadającą swemu usposobieniu, tak, że wstąpiwszy na nią, zawołał ze św. Piotrem: „Panie, dobrze nam tu jest być". Nie przeczuwał, jakiego figla spłata mu jego serce na tej górze, pełnej czaru i poezji, nadającej się tak bardzo przez swą samotność na rozmowę duszy z Bogiem.

Mimo to jednak nie zaraz i nie całkiem odnalazł Franciszek tutaj siebie samego i na tem pustkowiu miewał chwile niepokoju i zwątpienia, ażali wskazanem jest dla niego tu zostać lub nie — Alwernja z całym swoim urokiem nie była Porcjunkulą z drogą sobie Matuchną. I oto, gdy już decydował się wrócić do Kościółka Matki Boskiej Anielskiej, ma we śnie

widzenie, w którem Najśw. Panna poleca mu wybudować na zboczu góry kapliczkę pod tem wezwaniem, co na dolinie umbryjskiej. To wystarczyło, by Franciszkowi przywrócić zupełny spokój, wydało mu się, że Porcjunkuli nie oddziela od Alwernji żadna przestrzeń, zabrał się zaraz do budowy; którą dzięki pomocy ofiarodawcy hr. Orlando w krótkim czasie doprowadził do końca.

Z tego widzimy, jak wielka była miłość Franciszka ku Marji, do Niej on się zwracał, gdy swemu duchowi miał nadać nowy kierunek, z Jej miłością w sercu i na ustach wyruszył na podbój dusz ludzkich, pod Jej opiekę i protekcję oddał cały swój Zakon. Ale dla Franciszka niedosyć było kochać Marję; on chciał Ją naśladować; trzeba czytać to, co pisał o cnotach Marji, a następnie porównać z tem, co czynił, by się przekonać, że był nietylko głębokim ascetą i wielbicielem cnót Matki Bożej, ale i wielkim ich naśladowcą.

Pewnego razu będąc w refektarzu przy skromnym posiłku, słyszy jak jeden z braci czytał, że Najśw. Panna przy urodzeniu Jezusa była tak ubogą, iż nie miała nawet czem Go okryć, to wystarczyło, by z oczu Franciszka wycisnąć gorące łzy, rzucić go na ziemię i zapomnieć o jedzeniu. Wszyscy biografowie Seraf. Ojca zgadzają się w tem, że w miarę jak stawał się coraz starszym, rosła u niego miłość ku Marji, na Jej cześć układał modlitwy, pełne żarliwej miłości, a zapytywany o powód, odpowiadał, że przecież tyle mamy wszyscy Jej do zawdzięczenia, zwłaszcza to, że Syn Jej Chrystus stał się naszym bratem.

Wobec takiej miłości Franciszka ku Matce Boskiej Anielskiej, trudno się dziwić, że przy kościółku Porcjunkuli pragnął zakończyć życie. A nie było to

rzeczą łatwą, przedewszystkiem dlatego, że będąc prawie zawsze chorym, znosił dolegliwości z taką rezygnacją i cierpliwością, że zachodziła obawa, że umrze tam, gdzie ani on sam by sobie nie życzył ani jego bracia — następnie, wszystkie miasta i okolice, przez które przechodził, życzyły sobie, by wśród nich umarł i nawet były gotowe za broń chwycić, aby zwłoki Swiętego jako relikwie dla siebie zdobyć. Ale Franciszek umiał obie te przeszkody szczęśliwie ominąć, pomogła mu w tem Matka Boża Anielska, chcąc mieć u stóp swoich swego wiernego sługę, prócz tego sam Franciszek siłą swej woli i perswazją, której nikt nie śmiał się sprzeciwić, tego dokazał i tak ze swoją chorobą umiał się urządzić i przed porwaniem swych zwłok zabezpieczyć, że go już prawie umierającego, do Porcjunkuli przyniesiono.

Historja milczy o tem, w jakim nastroju zbliżał się do tego świętego miejsca, ile łask i błogosławieństw przez ręce Marji na niego spłynęło, gdy jak żołnierz z wieńcem zwycięstwa na skroniach, wracał do stóp swej uwielbianej Pani, na rzemiośle wojennem spracowany bardzo. O tem napewno wiemy, że pod cieniem Porcjunkuli Franciszek odnalazł siebie samego, powoli zaczął się mieć lepiej i odzyskał zdrowie na tyle, że przez kilka miesięcy jeszcze pozwoliła mu siostra „śmierć“ cieszyć się Matuchną. Ona, ta śmierć, przyszła wtedy, gdy już był syt rozkoszy, czystej, duchowej miłości, przyszła wśród śpiewu anielskich chórów, które mu opuszczającemu ziemie, przyszły zanucić marsz weselny i odprowadzić do bram nieba, przyszła pod wieczór październikowy, gdy słońce pochylając się ku zachodowi, rzucało swe ostatnie promienie na szczyty góry Subasio.

Streszczając się, powiemy na zakończenie, że miłość św. Franciszka ku Marji zasługuje nietylko na cześć, podziw i uwielbienie, ale i na to, by ją naśladować, ona jest wzorem, który buduje i porywa za sobą. Kult i nabożeństwo ku Matce Bożej ma w Zakonie Franciszkańskim chlubną kartę i nieprzedawnioną tradycję, żeby tylko na dowód wspomnieć naukowe dysputy, jakie w obronie Niepokalanego Poczęcia prowadzili zwycięsko Doktorowie Zakonu Serafickiego z Janem Duns Skotem na czele.

Do Was, Bracia i Siostry Zakonu III, należy tę chlubną tradycję miłości i czci dla Marji podtrzymać, jak również i bronić przywilejów, jakie od Niej Patrjarcha assyzki odebrał. Nam wszystkim trzeba teraz więcej niż kiedykolwiek, uciekać się z ufnością i miłością do stóp Marji, prosić, o opiekę i wspomożenie w nędzach i nieszczęściach, jakie nas przyciskają. Ona, która jest taką litościwą, słodką Panną Marją, wstawi się za nami do Jezusa na teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen.

Konferencja VII.

Św. Franciszek w stosunku do bliźnich.

Świętość możnaby krótko określić jako miłosną, nieprzerwaną tęsknotę ku Bogu, człowiek święty myśli tylko o Bogu, mówi tylko o Bogu, działa i żyje dla Boga, a rzeczami tego świata zajmuje się o tyle, o ile one mogą być czy są środkiem ułatwiającym dojście do Boga, do nieba; człowiek święty nawet o sobie zapomina, by tem więcej Bogiem się zająć.

Jednakowoż myliłby się ten, ktoby sądził, że Święci nie mieli zrozumienia dla żadnej poza Bogiem miłości, owszem, kochając Boga całą siłą duszy i serca, kochali także bliźnich, współbraci, wiedzieli o tem, że sprawdzianem jakby busolą miłości bożej jest miłość bliźniego, że nie można kochać prawdziwie Boga, którego się nie widzi, jeśli się nie kocha bliźniego, którego się widzi i w którym się uznaje boży obraz i podobieństwo. Franciszek zdawał sobie sprawę z tego, że Bóg będzie tem bardziej zadowolony z jego miłości, jeśli nietylko on sam będzie Go kochał, ale pozyska dla Niego także innych ludzi serca i zachęci ich do służenia Mu; zbliżyć się więc do ludzi w tym celu, w tej myśli, by ich ku Bogu pociągnąć, ułatwić im dojście do celu ostatecznego, to nietylko nie profanuje serca, nie przeszkadza świętości, ale jest jej

chwałą, jedną z jej cech charakterystycznych, czego dowodem to, że między Świętymi tych uważamy za największych i tym oddajemy najwyższe pochwały, stawiamy za wzór do naśladowania, którzy kochali ludzi, dla nich się poświęcali i pracowali. Przedmiotem ich rozmyślań i mistycznych wzlotów był nietylko Bóg sam, ale cały świat i wszystko co na nim jest — zwłaszcza ludzi łączyli Święci z Bogiem, wspólnym wszystkich Ojcem i Stworzycielem. Święci, jako głębocy znawcy tajemnic przyszłego życia, rozumieli dobrze, jak konieczną i zbawienną jest rzeczą pomagać drugim do wejścia i do kroczenia po drodze wiodącej do nieba; poświęcenia i ofiary podejmowane dla dobra duchowego bliźnich uważali za nakaz wiary, za obowiązek wyrażony w tych słowach Chrystusa Pana: „Coście uczynili jednemu z tych moich braci najmniejszych, toście jakby mnie samemu uczynili".

Miłość względem ludzi była u Serafickiego Ojca jedną z cech charakterystycznych jego świętości: historycy zowią go świętym chrześcijańskiego braterstwa, apostołem pokoju i założycielem średniowiecznej demokracji. I całkiem słusznie należą mu się te tytuły, on bowiem nietylko odczuł głęboko w swem sercu tragizm moralny i materjalny współczesnych ludzi, ale wszystkie swoje siły i zdolności obrócił, użył na to, by temu rozpaczliwemu położeniu zaradzić. Ekonomiści wszystkich wieków pofranciszkowych winniby zwrócić baczną uwagę na reformę socjalną wśród ludu, której on „Biedaczek" Assyzki, dał początek, stając się prawdziwym apostołem miłości.

Waszą, Bracia i Siostry Zak. III, rzeczą jest, rozważać te nieśmiertelne zasługi, położone przez Serafickiego Ojca, na polu bratniej miłości; bowiem jak

wtedy, tak i teraz daje się odczuć ogromny brak zjednoczenia serc i umysłów dla osiągnięcia wspólnego dobrobytu religijnego i humanitarnego; sami, w pojedynkę idąc, nie dokażecie nic lub bardzo mało, ale razem złączeni, zrzeszeni, możecie dokazać cudów.

Na ten temat tak ważny: miłości Franciszka względem bliźnich, chcę z wami, Bracia i Siostry, w niniejszej konferencji; obszerniej pomówić.

Miłość łatwiej jest pojąć, niż określić. Przez miłość rozumiemy cnotę, która nie rozróżniając między człowiekiem a człowiekiem, podaje chleb wszystkim, ociera łzy wszystkim, słowo współczucia w cierpieniach i dolegliwościach ma dla wszystkich. Miłość łączy umysły i serca tak, by razem się cieszyły i smuciły, miłość ma dla wszystkich uśmiech i łaskawe wejrzenie. Apostoł narodów, Paweł św. opisuje przedziwnie tę cnotę, mówiąc: „Miłość cierpliwa jest i łaskawa, nie zazdrości, nie działa podstępnie, nie pyszni się, nie nadyma, nie gniewa, nie szuka swego, nie myśli źle, nie cieszy się z niesprawiedliwości, ale się weseli z prawdy, do wszystkiego się zastosuje, wszystko wierzy, wszystkiego się spodziewa, wszysto wytrwa". — To są słowa o niedosiągnionej piękności, o niezrównanym mistycyzmie, one wytyczają dla miłości drogę, ukazują jej wspaniałe blaski.

Św. Franciszek, podobnie jak św. Paweł zrozumiał całą tej cnoty doniosłość i pokochał ją całą siłą namiętnej swej duszy. Przypatrując się współczesnym sobie ludziom, spostrzegł ze zgrozą, jak bardzo dalekimi są od tego braterstwa chrześcijańskiego, jakie wśród ludzi zaszczepił Jezus Chrystus. Społeczeństwo ówczesne podzielone na nieprzyjazne, wrogie sobie klasy, egoistyczne aż do wstydu, dyszało nienawiścią

i zemstą; bogaty, dumny ze swoich feudalnych przywilejów, uciskał biednego gorzej jak niewolnika, biedny zaś, ze swej strony, głodem i niewolą nękany, patrzył na bogatego zawistnem okiem, zgrzytając zębami i nie trzeba było być prorokiem, by odgadnąć, że społeczeństwo idąc po takiej drodze, musiało się stoczyć w przepaść. Franciszek spostrzegł zgrozę niebezpieczeństwa i rzucił się na ratunek z właściwym sobie fanatycznym zapałem. Nie wiemy napewne, czy przypadkiem się to stało czy zrządzeniem Opatrzności, że wtedy, gdy Franciszek się narodził, widywano nie raz jeden na ulicach miasta Assyża jakiegoś dziwnego tajemniczego pielgrzyma, powtarzającego słowa „pokój dobro, pokój-dobro, pax et bonum“ — pielgrzym ten zdawał się być prorokiem zwiastującym zbliżające się odkupienie.

Żeby lepiej zrozumieć dlaczego Franciszkowi tak bardzo zależało na reformie społecznych stosunków swej epoki, należy pamiętać, kim on był, że to był człowiek o subtelnej naturze, bardzo wrażliwej na każdą ludzką nędzę, że nietylko umiał być szarmanckim „cavaliere“ ale i litościwym dla chorych i ubogich, którym przychodził z pomocą dzieckiem pacholęciem jeszcze będąc, gdy pokryjomu zabierał dla nich pieniądze z pełnej szkatuły swego ojca; był poetą genjalnym, ale mającym równocześnie dużo praktycznego zmysłu i zrozumienia dla potrzeb współczesnego sobie narodu i mającym wszystkie dane po temu, by być jego misjonarzem.

Jednakowoż, do podjęcia się dzieła tak trudnego, tak szeroko zakreślonego, nie wystarczały same przyrodzone zdolności, trzeba było wznieść się do hero-

izmu cnoty miłości bliźniego, narzucić tę miłość masom ludzkim, podważyć, a następnie wybujały egoizm zburzyć, będący jedną z przyczyn walnych klęski społecznej. Franciszek czuł, że o własnych zwyczajnych siłach tego nie dokaże, że tu trzeba bohaterskich wysiłków i oto w jednej z takich chwil, w których człowiek staje oko w oko z grozą niebezpieczeństwa, odkrywa w sobie wielki zapas energji i decyduje się wraz na wielkie dzieło.

Pewnego dnia, jadąc konno, spotyka człowieka okrytego trądem, wyciągającego rękę z prośbą o pomoc i ratunek, popatrzył na niego z uczuciem odrazy i wstrętu i pojechał dalej, ale zaledwie ujechał kilkadziesiąt kroków, czuje, że budzą się w nim wyrzuty sumienia, przywalające jakby ciężkim kamieniem jego szlachetną duszę, — on, który się oburzał na wyzysk biednych ludzi, litował się nad ich nędzą, on, który marzył o zjednoczeniu wszystkich pod sztandarem miłości i myślał o poślubieniu pani „ubóstwa“, on, małoduszny, ucieka na widok trędowatego! W tej wewnętrznej rozterce zrozumiał, że gdyby pojechał krok dalej, gdyby nie zawrócił z drogi, wpadłby w przepaść i pogrzebałby najpiękniejsze swoje plany, nadzieje, marzenia o odnowieniu społeczeństwa. Franciszek pojął to wszystko i bez namysłu wraca nazad, zsiada z konia, zbliża się do trędowatego, ściska go, całuje i obdarza hojną jałmużną. Bohaterskie zwycięstwo zostało odniesione, jak Paweł w drodze do Damaszku naprzód spadł z konia, potem się nawrócił, tak i dla Franciszka spotkanie miłosne z trędowatym było momentem decydującym, za kilka dni po tem spotkaniu widziano go w szpitalu św. Rufina, na „Zamku“, usługującego trędowatym, którym rozdawał,

prócz pieniędzy i odzieży, uściski i pocałunki pokoju — a był przytem rozpromieniony, uradowany, jak wódz po zdobyciu kraju, po odniesionem zwycięstwie; chorzy, trędowaci zrozumieli tę Franciszkową względem nich miłość, zaczęli go kochać jak ojca, on zaś, ze swej strony, pojął, że stał się godnym posłannictwa, jakiego wymagały współczesne stosunki, do jakiego wzywała go Opatrzność, potrzeba było tylko zacząć.

Dzieło takie, jak reformowanie społeczeństwa, może przestraszyć nawet odważnych, ale Franciszek się nie przestraszył, bo on szedł na podbój ludzi nie z krzykliwemi, hałaśliwemi programami, ale z prostotą, słodyczą Ewangelji; w szpitalu, między trędowatymi, nauczył się, w jaki sposób, czem należy pociągać, jednać ludzkie serca.

Lud miasta Assyża, który o swoim ziomku słyszał tyle rzeczy dziwnych i nadzwyczajnych, gdy się dowiedział, że Franciszek w kościołach, na placach publicznych mówi kazania, zlatywał się gromadnie, wiedziony ciekawością właściwą wszystkim tłumom; z dnia na dzień liczba słuchaczy rosła, dając do zrozumienia, że jednak nie sama tylko ciekawość niemi powoduje, ale także chęć i pragnienie moralnego odrodzenia.

Franciszek nie mówił rzeczy nowych, ale mówił z takiem przekonaniem i zapałem, że nie można było mu się oprzeć, w miarę jak widział, że coraz bardziej zyskuje i podbija sobie umysły słuchaczów, mocniejszych używał argumentów, czy to gdy przedstawiał grozę bratobójczych walk, zbytki i samolubstwo możnych, czy brak cierpliwości i rezygnacji biednych: wtedy rósł i potęgował się zapał słuchaczy, przeko-

nanych, że to, co mówił Franciszek, było prawdą, wszyscy rozumieli, że zasady przezeń głoszone, skoro zostaną wprowadzone w życie, położą koniec rozprzężeniu, wprowadzając na jego miejsce nowy, lepszy społeczny ustrój, zaczęli też Franciszka czcić i kochać, tak, jak się kocha brata, przyjaciela, obrońcę, mającego odwagę mówić głośno to, co inni bojaźliwi, zaledwie na ucho sobie szeptać mogli. Lud powziął do niego takie zaufanie, że w krótkim czasie mieszkańcy Assyża zmienili się nie do poznania: znikły nienawistne stronnictwa, możnowładcy pogodzili się z uciskanymi, panowie feudalni zrzekli się wielu swych krzywdzących przywilejów.

Jużeśmy powiedzieli, że nadzwyczajnego powodzenia swoich kazań nie zawdzięczał Franciszek ani nowości rzeczy, o których mówił, ani retoryce, na której się nie znał, ani wreszcie wymowie, której nie posiadał, ale jedynie sile przekonania, z jaką mówił i miłości, jaka płonęła z każdego jego słowa. Każdy inny kaznodzieja na jego miejscu byłby posądzony o to, że występuje jako urzędowy przedstawiciel formalizmu kościelnego, o osobisty interes czy o interes jakiejś uprzywilejowanej kasty, ala o Franciszku wiedziano, że to był człowiek, który wyrzekł się bogactw, pogardził majątkiem, który rany trędowatych zmywał, całował, który śmiało i bez ogródek gromił łakomstwo, pychę i inne ludzkie namiętości i żądze; takiemu człowiekowi wierzono, że mówił prawdę, że mówił w interesie dobra ogólnego, że należy go słuchać i iść za nim.

Żeby lepiej zrozumieć z jakim skutkiem mówił Franciszek kazania, trzeba mieć na względzie ówczesne opłakane, bardzo ciężkie stosunki społeczne, trzeba

przytem nie zapominać, że lud, choć zepsuty i występkom oddany, jednak chętnie słuchał nauk każdego, kto za świętego uchodził, kto za sprawę ludu się ujmował i umiał ją prowadzić. A właśnie takim był Franciszek i w tem był cały sekret powodzenia jego kazań, jego apostolstwa, miał posłuch u ludzi, pociągał ich za sobą, bo swą działalność oparł na miłości chrześcijańskiej, na oderwaniu serca od ziemi, na wyrzeczeniu się zbytków, w pracy nie poprzestał na słowach i zachęcie, ale siebie i swoich braci zobowiązał do poślubienia „pani“ ubóstwa, zakazał przyjmowania pieniędzy, które — jak mawiał — są najpotężniejszem narzędziem w ręku djabła, są metalem o magicznej, przeklętej sile, są sakramentem zła.

Takie twarde ubóstwo przykazał sobie i braciom nietylko przez wzgląd na umartwienie i naśladowanie Jezusa Chrystusa, ale więcej jeszcze dlatego, by ze skuteczniejszą pomocą ratować biednych, by do nich dostały się te pieniądze, któreby bracia mogli posiadać.

Tak, stać się ubogim na to, by wesprzeć ubogich, oto nakaz ewangelicznej mądrości, niszczący nienasycone ludzkie żądze, w myśl słów Chrystusa „To, co wam zbywa, dajcie ubogim“.

Iluż to między bogaczami mamy takich, którzy zliczając swoje pieniądze, majątek, powiedzą, że mają za dużo, więcej niż im potrzeba? — Chyba niewielu. Żądza posiadania coraz więcej dręczy ludzi i zaślepia tak, że największy nieraz zbytek mają za coś koniecznego, za coś, bez czego obejść się nie można, stąd często się widzi, że dziad prędzej podzieli się kawałkiem chleba z innym dziadem, podczas gdy ten, co ma dwa bochenki, zatrzyma oba dla siebie, by nasy-

cić żądzę posiadania i mieć to zadowolenie, że posiada więcej niż drugi.

Franciszek znał dobrze tę bolesną ale prawdziwą niestety, historję ludzkich żądz i dlatego sobie i swoim braciom nakazał zrzec się własności, a żyć z jałmużny. Przedsięwzięcie było śmiałe a stanowcze, w myśl zasady, że wielkie zło można wyleczyć tylko przy pomocy radykalnych środków. I nie zawiódł się, bo za jego przykładem ludzie pozbywali się majątków na rzecz ubogich, a inni, uważani za szaleńców, porzucali wszystko i wstępowali do szeregów serafickiej milicji. Za tem poszło, że położenie materjalne ludu zaczęło się poprawiać, zwłaszcza dolina umbryjska, jako bliższa tego centrum, z którego wychodził zbawczy ruch, zaczęła przybierać lepszy wygląd, metodę naprawy stosunków społecznych roztrząsano, dyskutowano, poprawiano, były zdania za i przeciw, ale ostatecznie wszyscy godzili się w zasadzie na to, że Franciszek miał rację i że jego program jedynie się nadawał do uleczenia społecznej choroby.

Ale Patrjarcha assyzki podawał jeszcze inny środek odrodzenia ekonomicznego swoich czasów, mianowicie pracę, wiedząc, że jedną z przyczyn nędzy, ubóstwa wśród ludzi jest próżniactwo, nieróbstwo. Gdyby w społeczeństwie każdy się poczuwał do obowiązku zarabiania na chleb w pocie czoła własną pracą i do wspomagania biedniejszych od siebie, wtedy nikomu by nie zabrakło tego, co do życia potrzebne. Prawda, że chleb codziennie daje nam Bóg z nieba, ale chce, byśmy go sobie do ust podawali naszemi własnemi rękami, lenistwo jest ojcem, źródłem wiele złego, tak, jak jest grobem społecznego dobrobytu.

O tej prawdzie był więcej niż ktokolwiek inny przekonany Seraficki Ojciec i dlatego polecał pracę

wszystkim, a na pierwszem miejscu swoim Braciom, nakazując w osobnym rozdziale reguły, aby na utrzymanie życia zarabiali pracą, a dopiero gdyby ta nie wystarczała, pozwolił im dożywiać się z jałmużny, pracę postawił jako regułę, jałmużnę jako wyjątek.

Zapewne, że nie brakowało w owych czasach takich, którzy za Franciszkiem szli pociągnięci urokiem nowości jego zamierzeń, jednakowoż wielka część ludzi uznawała, że w jego programie tkwi ukryta, niezwyciężona olbrzymia siła, zdolna rozerwać pęto niewoli moralnej i ekonomicznej.

Te idee Franciszka, ulegały poprzez wieki, aż do naszych dni, różnym wahaniom i przemianom poprawkom, ale przyznać się musi, że nie straciły nic na swej wartości — jak za owych czasów tak i dzisiaj Zakon św. Franciszka mógłby być tym opatrznościowym, miłosiernym samarytaninem, który przez umartwienie, zaparcie siebie, opanowanie żądz i namiętności, przez pracę, zdolny jest ocierać łzy i goić społeczne rany. Amen.

Konferencja VIII.

Św. Franciszek w stosunku do bliźnich.

Że miłość jest czemś koniecznem na świecie, na to godzą się wszyscy — i rządcy państw i politycy i uczeni i artyści, dziennikarze, socjolodzy i robotnicy. O miłości mówi się nietylko w kościele, ale i w sejmie, w urzędzie, w szkole, w rodzinie, we warsztacie, jednem słowem: o miłości mówi się i deklamuje wszędzie. Mimo to trzeba stwierdzić ze smutkiem, że tak głośno słychać o miłości tylko wtedy, gdy się rozchodzi o prawa tejże miłości, ale gdy idzie o obowiązki, jakie miłość nakłada, to o nich albo się milczy, albo się mówi z pewną bojaźnią i rezerwą, tak, jakby się chciało drugich lub siebie od tych obowiązków zwolnić, nie tak bardzo na ich spełnienie nalegać. Na temat miłości łatwo się entuzjazmujemy gdy wchodzi w grę nasz własny interes, ale jeśli tej miłości żądają od nas drudzy, to się dezorjentujemy, wpadamy w pewnego rodzaju kłopot, ambaras, jak dziecko, które sobie pomyli drogę, boimy się, byśmy dla tej miłości, którą głosimy, nie musieli coś złożyć w ofierze.

Rzeczywiście tak jest: ktoś np. na wiecu lub zgromadzeniu mówi z zapałem, ogniście o prawach filantropji, piorunuje przeciw zbytkom, gromi nadużycia,

ale oto jutro, ten sam mówca i zagorzały reformator społeczeństwa, dowiedziawszy się od swego służącego, że u jego drzwi stoi żebrak proszący o wsparcie, każe mu odpowiedzieć, że pana nie ma w domu. Innym razem proszony, by odwiedził chorego, wymawia się brakiem czasu, nawałem pracy. To znowu jakaś gazeta pisze artykuł w obronie upośledzonej biednej klasy robotników, ale równocześnie na jej szpaltach pełno jadu i trucizny partyjnej nienawiści, zgorzkniałego pesymizmu. — Wszyscy na cześć powszechnego braterstwa, ogólnej miłości pieją hymny, ale przytem przez uprzedzenie, zawiść, oszczerstwa zatruwają życie swoich bliźnich. Otóż to wszystko nie jest miłością, ale gorzką ironją, ordynarną komedją, jest farsą, podszytą brudnem samolubstwem. Ale jeżeli w ten sposób można podchodzić, blagować, oszukiwać ludzi, to w żaden sposób nie da się podejść i oszukać sumienia, które przeciwko takiemu postępowaniu głośno protestuje.

Powiedzmy to sobie otwarcie i szczerze, że jeżeli miłość jest cnotą konieczną, bo przykazaniem przez Boga danem, polegającą nie na samych słowach, to należy ją czynnie, w życiu praktycznem pokazać. Krzyk bólu i nędzy daje się słyszeć coraz częściej, coraz głośniej, wszyscy odczuwamy potrzebę ludzi o umysłach i sercach ożywionych gorącym zapałem i chęcią niesienia czynnej pomocy bliźnim naszym, okazania im praktycznej miłości.

Jaką zaś ta miłość być powinna, dowiemy się, jeśli ją porównamy z miłością seraficzkiego Ojca Franciszka, doprowadzoną u niego aż do szczytów heroizmu, tak pod względem tego, cośmy praktycznie naszym bliźnim świadczyć winni, jak i pod względem tego, od czego winniśmy się powstrzymać, aby przeciw tej miłości nie wykroczyć.

W życiu ludzkiem tak bardzo zróżniczkowanem, skomplikowanem, nie jest rzeczą łatwą pociągnąć graniczną linję między jedną a drugą stroną miłości, jednakowoż ogólne, wytyczne linje, po których miłość bliźniego iść powinna, są takie, że na nie godzą się, mniej więcej, wszyscy. — Zatem, do tej miłości należy starać się na pierwszem miejscu o dobro duchowe bliźnich, a więc nieumiejętnych pouczać, wątpiącym radzić, ich upominać, smutnych pocieszać, błądzącym drogę wskazać, smutnych pocieszać, potrzebujących wspomagać, chorymi się opiekować, dla wszystkich mieć łaskawe oko, życzliwy uśmiech.

W życiu św. Franciszka znajdujemy tych objawów miłości przedziwny zespół, ile tylko pozwalały jego siły i ubóstwo, starał się wszystkim potrzebom, tak duchowym jak cielesnym, cierpiącej ludzkości zaradzić. Przypatrzmy się bliżej niektórym szczegółom.

Opowiada Pisano, że kiedy pewnego dnia Pika, matka Franciszka, nakrywała stół do obiadu, on, jakby we wizji przyszłości, położył na stole więcej porcji chleba, niż było potrzeba, a zapytany przez matkę, dlaczego to robi, odrzekł: dla biednych; a gdzież są ci biedni, — pyta matka dalej, a Franciszek odpowiada: są ukryci w głębi mego serca. — To zdarzenie pozwala nam zrozumieć, jak żywem tętnem biło w sercu młodego Franciszka współczucie dla ubogich. On hojne jałmużny im rozdawał, kryjąc się z tem przed ojcem, który, trawiony żądzą bogactw, byłby syna surowo skarcił za rozrzutność i marnotrawienie rodzinnego majątku, zaś ile razy nie mógł ubogich wesprzeć, osładzał ich dolę i krzepił dusze słowami pełnemi pociechy.

Z chwilą, gdy zerwał z przeszłością, z towarzy-

szami pustych zabaw, zwiększało się u niego współczucie dla biednych; sam będąc ubogim, lepiej rozumiał ich położenie i nietylko dzielił się z nimi tym chlebem codziennym, jaki u ludzi wyżebrał, ale zdejmował ze siebie odzienie, by okryć ich nagość, najczęściej zaś oddawał im swój płaszcz, który uważał za rzecz dla siebie zbyteczną. — Dobrodzieje sprawiali mu płaszcze, by je nosił, jako potrzebne dla siebie odzienie, ale on z tych płaszczy robił ubogim podarunki, a gdy się żalili na to jego rozrzutne miłosierdzie, on, swoją logiką krótką, prostą, ale nieubłaganą, odpowiadał: rzeczy nie należą do tego, kto je ma, ale do tego, kto ich bardziej potrzebuje. Pewnego razu chciał ubogiemu dać jako jałmużnę brewiarz, jedyny, jaki mieli w klasztorze do odmawiania pacierzy, a na uwagę zrobioną sobie przez braciszka, odpowiedział: „Bogu bardziej się podoba nasza jałmużna, niż nasze modlitwy".

Powód, dla którego tak mu zależało na ubogich, był ten, że w każdym ubogim widział nietylko brata mającego prawo do miłości, ale widział obraz, wizerunek Jezusa Chrystusa, który będąc bogatym, stał się dla nas ubogim; spotkać się z ubogim, znaczyło dla Franciszka spotkać się z samym Jezusem Chrystusem.— On był przejęty myślą, że rzeczy, które się tu na świecie ma, musi się, umierając, zostawić, gdy przeciwnie zasługę za miłość i jałmużnę niesie się przed tron Boga i ma się prawo do nagrody.

I nietylko Franciszek sam był dobrodziejem, przyjacielem ubogich, on tego ducha przekazał swoim synom, przelał go na cały swój Zakon, który jeden z pisarzy włoskich, Galdino del Manzoni zowie morzem zbierającem wodę ze wszystkich stron świata, by ją

z powrotem oddać rzekom; prawdziwość tych słów spełniała się zawsze na Franciszkańskim Zakonie.

Po ubogich idą chorzy. Z nimi zetknął się Franciszek bliżej, gdy głębiej począł się zastanawiać nad sobą, nad wewnętrznem duchowem życiem. Z początku niechętnie zbliżał się do chorych, zwłaszcza do tych, którzy byli dotknięci straszną chorobą trądu; on sam tak o tem mówi: „Gdy byłem w grzechach, zdawało mi się rzeczą zanadto przykrą widzieć trędowatych, ale Pan przyprowadził mię do nich, bym im okazał miłosierdzie, a gdym od nich odchodził, wówczas to, co mi się przedtem wydawało gorzkiem, zmieniło mi się w słodycz duszy i ciała". W ten sposób Franciszek stał się serdecznym przyjacielem trędowatych, opiekował się nimi, pielęgnował ich z czułością matki, kochał ich za to, że mu dali sposobność do wykonania heroicznej, bohaterskiej cnoty miłości, z wdzięczności za to całował ich, ściskał, obmywał ich rany wodą, pachnącą ziołami, które własnemi rękoma zbierał, przez co nieraz zupełnie ich uzdrawiał.

Tej opieki, żeby im nigdy nie brakło, zobowiązał do niej swych braci, przeznaczał już to do tego, już do innego szpitala, wedle tego, gdzie zachodziła większa potrzeba, dyspenzował ich od wszystkich innych zajęć przepisanych regułą, nakazywał, aby w obchodzeniu się z chorym byli cierpliwi, uprzejmi, łagodni, a wykroczenia w tym względzie uważał za świętokradztwo.

Zdarzyło się raz, że brat Jan, zwany „prostakiem" chcąc zrobić przyjemność jednemu z trędowatych, nad którym miał sobie poruczoną opiekę, wziął go na spacer ze szpitala Marji Magdaleny do klasztoru Matki Boskiej Anielskiej, nie zdając sobie sprawy, że może

tam przenieść zarazę; za co od niektórych Braci, a nawet od samego Franciszka, spotkała brata Jana nagana; trędowaty, gdy się o tem dowiedział, odczuł wielką przykrość, aleć Franciszek zaraz, by ten brak miłości dla chorego naprawić, by przykrość wyrządzoną choremu osłodzić i wynagrodzić, kazał podać zupę, którą z jednej miski razem z trędowatym spożył.

W życiu Patrjarchy assyzkiego jest wiele przykładów takiej jego przemyślności i zaradności względem chorych, wystarczyło np. gdy chory objawił chęć mieć coś lepszego, smaczniejszego, by Franciszek zaraz, sam czy przez drugich, o to się postarał; pragnął, by taka sama troska o chorych ożywiała wszystkich i nie szczędził wielkich pochwał tym, u których taką czułę troskę zobaczył; opowiadają, że razu jednego kazał br. Juniperowi pójść na pole, gdzie pasły się bezrogi, uciąć jednemu z nich nogę, a zapytany przez brata Junipera, jak to może zrobić z krzywdą dla właściciela, odpowiedział Franciszek, że choremu przyszedł smak na wieprzowinę.

W ten oto sposób, z taką serdeczną miłością leczył Franciszek chore ciała biednych ludzi, a następnie zabierał się do leczenia ich, niemniej chorych dusz, tych naprzód, o których wiedział, że najbardziej potrzebują i to mu nie przychodziło trudno, wobec bezgranicznej miłości, zaufania i wdzięczności, jakie wszyscy dla niego mieli.

Trudniejszą rzeczą było nawrócić, poprawić, odmienić na lepsze tych, którzy ani chorymi nie byli, ani ubogimi, jednak dusze swoje mieli grzechami zepsute, zatrute. Takich ludzi serca sobie zjednać, pozyskać dla Boga, było, jak na owe czasy, przedsięwzięciem szaleńca, na to było potrzeba nadzwyczajnych

środków i sposobów, przechodzących siły jednego człowieka. Franciszek będąc niepoślednim znawcą ludzi, zrozumiał odrazu, że, aby móc coś z nimi zrobić, nie należy być surowym, ostrym, gwałtownym, nie zrażać nikogo, ze wszystkimi współczuć, dla wszystkich mieć miłość, o której św. Paweł pisze, że jest cierpliwą, łaskawą, nie zazdrosną, nie pyszną, nie szukającą swego, dla wszystkich uprzejmą; wszystkiego się spodziewająca, wszystko gotową przetrwać. Krótko mówiąc, pojął Franciszek, że chcąc pozyskać ludzi, trzeba postępować tak, jak myśliwy, raz się zgiąć, drugi raz schylić, to znowu iść cicho na palcach, wypatrywać, by nie spłoszyć zwierzyny, którą chce upolować.

Przedewszystkiem starał się Seraficki Patrjarcha zastosować do pojęć i zapatrywań ludzi, oczywiście o ile one nie stały w otwartej sprzeczności z nauką katolicką, nie zwalczał wprost tych pojęć i przekonań, ale jakby udawał, że mu na nich nie wiele zależy, a jeśli kiedy takie zapatrywania zwalczać musiał, jako wyraźnie fałszywe i błędne, to czynił to ze spokojem, z miłością, z szacunkiem dla cudzych przekonań, z tem współczuciem, jakie się zawsze mieć powinno dla ludzi błądzących, i dzięki tej taktyce rzadko, raczej nigdy nie był z heretykami na wojennej stopie, pozyskiwał ich, nawracał, nie tyle przez polemikę, co przez dobry przykład i uprzejmość w obejściu.

I aby zapobiec możliwym różnicom i nieporozumieniom, które tak często bywają źródłem wzajemnych nieufności i tarć, usiłował Franciszek stosować się do zwyczajów i upodobań współczesnych ludzi; kochał ojczyznę, poezję, muzykę, był ubogim z ubogimi, chorym z chorymi, wesołym z wesołymi, śmiał się ze śmiejącymi, płakał z płaczącymi, zupełnie tak, jak nakazuje św. Paweł Apostoł.

Tomasz z Celano, opisując łatwość, z jaką Franciszek umiał się dostroić do każdego otoczenia, do każdej okoliczności, mówi: „Świętszy od Świętych, ile razy znalazł się między grzesznikami, zdawało się, jakby był jednym z nich“. — To zdanie, godne rylca artysty, odźwierciadla duszę Seraficzkiego Ojca; bo jeśli jest prawdą, że między człowiekiem a człowiekiem są pewne styczne punkty, które ich do siebie zbliżają i pozwalają im wzajemnie się zrozumieć, to w życiu praktycznem nieraz trudno jest te styczne punkty odnaleźć, wyczuć — dla Franciszka ta trudność nie istniała, on, dzięki wrodzonej uprzejmości charakteru, umiał się zawsze z każdym porozumieć, umiał trafić do umysłów najbardziej zbłąkanych, do serc najbardziej zepsutych. Ludzie nieraz zezwierzęceni przez występek, jakby urodzeni zbrodniarze, będący postrachem miast i wsi, pławiący się we krwi, rabujący cudze mienie, nienasyceni posiadaniem złota i srebra, — tacy ludzie, padali do stóp Franciszka, zwyciężeni, rozbrojeni gorącem jego sercem; nawracali się pod wpływem apostolstwa, nie tego, które straszy, grozi, potępia, ale tego, które dźwiga i pociesza.

Z miłością, którą jednał dla siebie serca, łączył słodycz i delikatność, która tak ważną odgrywa rolę we wychowaniu człowieka, nie chciał dopuścić, by go ktoś w tej uprzejmości wyprzedził, przewyższył, ona była dla niego obowiązkiem sumienia, uważał ją za właściwość, przymiot, doskonałość samego Boga, który z taką łaskawością każe świecić słońcu dla złych i dobrych, spuszcza rosę i deszcz na sprawiedliwych i niesprawiedliwych i zaopatruje wszystkich w potrzebne do życia rzeczy — uprzejmość jest siostrą miłości, tępicielką nienawiści, zachowawczynią zgody i jedności.

W świetle tych rozważań, co trzeba myśleć o miłości, z jaką my się odnosimy do bliźnich? Jakaż ona blada, niedołężna! Jakże nam trudno przychodzi ponieść dla bliźniego jakąś ofiarę, jakże obojętnie patrzymy na łzy drugich, jakże mało wzrusza nas cudza boleść. A jeśli wreszcie przychodzimy z pomocą naszym bliźnim, jeśli okazujemy im miłość, to ileż tam jest przymieszki naszego samolubstwa, naszego interesu!

Dałby Bóg, aby każdy tercjarz, każda tercjarka odnosili się do bliźnich z miłością, ale szczerą, prawdziwą, czynem okazywaną, aby w duchu miłości Franciszkowej organizowali związki, stowarzyszenia, w celu niesienia skutecznej pomocy tym z biednych najbiedniejszym, z maluczkich najmniejszym, których Chrystus Pan zaszczycał tylekrotnie mianem swoich braci. Amen.

Konferencja IX.

Sw. Franciszek w stosunku do bliźnich.

Ludzka masa, ludzka zbiorowość mając tyle wspólnych dóbr, potrzeb, interesów, dążeń, aspiracyj, zdawałoby się, że powinna żywo odczuwać potrzebę wzajemnej miłości. Doświadczenie stwierdza, że na tym świecie nikt sobie samemu nie wystarczy, nie da sobie rady, ale u drugich musi szukać tego, czego mu potrzeba, czego mu nie dostaje, czyto będzie żywność, czy ubranie czy pomieszkanie. Stąd zdawałoby się, że między ludźmi nie zabraknie rąk, które rozdają wsparcia, zapomogi, ani rozumów dających dobre rady, ani serc czułych, zapalających wokoło miłość, że ludzie tak dobrze zrozumią, iż wprowadzą w życie jedną z pierwszych moralnych zasad: Co chcesz, aby ci drudzy czynili, czyń im ty także.

Otóż jedni, w takich zasadach wychowani, takiemi zasadami przejęci, świadczą wiele dzieł miłosierdzia, są dla cierpiących prawdziwymi aniołami pocieszenia. Inni zimni, nieużyci, nieczuli na ludzką biedę i potrzeby, nie poczuwają się do obowiązku przyjścia z pomocą komukolwiek. Oni przechodzą obojętnie nawet koło dziecka obdartego, nieubranego, proszącego o chleb, nie odważą się przestąpić progu domu, o któ-

rymby wiedzieli, że tam jakby się rozgnieździła czarna rozpaczliwa nędza, którąby należało wesprzeć, a przynajmniej dać jej dobre słowo pociechy i tacy są ludźmi o zimnem, twardem jak kamień sercu, nie mającem nic wspólnego z ludzką godnością.

Ale najsmutniejsze zjawisko przedstawiają ci, którzy nietylko są nieczuli, obojętni dla drugich, ale co gorsze, są złośliwi, zawistni, dyszący jakąś djabelską żądzą zatruwania drugim odrobiny szczęścia i zadowolenia, których język i spojrzenie rzucają strzały zatrute jadem nienawiści, zemsty, to są potwory, które, prócz imienia i postaci, nie mają w sobie nic ludzkiego.

Trzymając się zawsze śladów serafickiego Ojca, powiedzmy parę słów o tej ujemnej, negatywnej stronie miłości bliźniego, o tem mianowicie, czego należy unikać, aby przeciw tej miłości nie wykroczyć.

Tak, jak dla miłości dodatniej, pozytywnej, trudno było podać wyraźne, zdecydowane nakazy i przepisy, tak jeszcze trudniej jest okazać takowe, gdy chodzi o tak zwaną negatywną miłość, bowiem w tej drugiej musi się uwzględnić, mieć na uwadze i środowisko, w jakiem się żyje i wychowanie, jakie się daje i odbiera i wreszcie inne okoliczności, które od samej natury pochodzą, zaś powód tego jest ten, iż miarą moralności w danem społeczeństwie jest nietylko poziom inteligencji i wyrobienia duchowego, ale także ilość i zasób dóbr produkowanych, wytwarzanych, to jest mniejszy lub większy dobrobyt, wreszcie wartość pracy ludzkiej i sposób, w jaki te prace się ocenia. Weźmy dla przykładu uśmiech czy spojrzenie skierowane ku drugiemu, ku naszemu bliźniemu, jest to coś moralnie obojętne, coś ani nie nakazane ani zakazane, ale jednak w pewnych okolicznościach czasu, miejsca, osób, na-

biera to coś w uśmiechu, w spojrzeniu, pewnego moralnego zabarwienia, w dobrem lub złem znaczeniu, to samo da się powiedzieć o tysiącznych innych rzeczach, z któremi co dzień się spotykamy, z któremi codzień mamy do czynienia.

Na tej podstawie skłonni jesteśmy wierzyć, że tak, jak w sferze, w zakresie pozytywnej miłości, tak i w zakresie miłości negatywnej należy, by nie zbłądzić, liczyć się z wymogami serca, tego serca, które z taką ławością umie odgadnąć, co się bliźniemu nie podoba, co mu sprawia przykrość i co bez sztucznej pozy, bez cienia złego humoru potrafi nakłonić do ominięcia czy usunięcia tego, co dla kogoś może być przykrem, niemiłem.

Naogół można powiedzieć, że do rzeczy wchodzących w sferę negatywnych przykazań miłości należą: nienawiść, zemsta, zazdrość, przekleństwo, wyłączając z tego zakresu kłamstwo, kradzież, zgorszenie, ile że one raczej przeciw sprawiedliwości wykraczają, niż przeciw miłości; w niniejszej konferencji zatrzymamy naszą uwagę wyłącznie na nienawiści.

W życiu Serafickiego Ojca, od początku do końca, uwydatnia się, odcina jeden charakterystyczny rys, mianowicie żywe, gorące pragnienie pokoju i usilna praca nad zaprowadzeniem go między ludźmi. Z natury łagodny, spokojny, nie pojmował Franciszek, jak mogą między ludźmi powstać starcia, nieporozumienia, a ile razy widział, że powstają lub już powstały, umiał z dziwną łatwością uspokoić wzburzone umysły, na jego twarz występował wówczas pewien rodzaj, tajemniczej powagi, która nie przerażając, równocześnie rozbrajała i z ust jego wychodziły wtedy słowa takiej słodyczy, że nawet ludzie twardzi jak muły, uparci jak

osły, podawali sobie ręce do zgody i padali sobie dzięki Franciszkowi w objęcia.

Historycy, wskazując na ten rys w życiu Franciszka, podają jako fakt prawdziwy, stwierdzony, że on w swem życiu nie miał nigdy nieprzyjaciela, dlatego, bo ilekroć razy chciał go ktoś dla siebie nieprzyjaźnie usposobić, spotykał się u Franciszka z usposobieniem wprost przeciwnem swoim zamiarom. Na stwierdzenie tego możnaby wiele przytoczyć przykładów, które z braku miejsca tutaj musimy pominąć.

Gdy Jezus Chryst. polecał Franciszkowi odrestaurować Kościół św., zrozumiał odrazu tenże Święty całą trudność takiego zadania. Obszerny ugór, jaki miał do przeorania, był tak opoczysty, tak zaniedbany, że praca włożona w jego uprawę zdawała się być daremną; namiętności takie, jak pycha, zemsta, nienawiść ze wszystkiemi ich odcieniami, zrobiły w ówczesnem społeczeństwie takie wyżłobienia, że były raczej przepaściami nie do przebycia, a ktoby chciał ten ugór jako tako uprawić, tenby musiał przedewszystkiem te doły i przepaści zasypać, wyrównać. Franciszek zrozumiał, że to się nie da inaczej zrobić jak przez miłość, przez tę miłość, która jednoczy ludzi, łączy serca, zbliża jedną klasę do drugiej. On pojął, że ludzi, zanim się skieruje do Boga, trzeba naprzód ze sobą pogodzić, że promień łaski Bożej nie znajdzie przystępu do serca, przepełnionego uczuciem nienawiści i zemsty. Pod hasłem „pax et bonum“, pokój i dobro, wszedł Franciszek między ludzi, a na pierwszem miejscu między mieszkańców rodzinnego miasta Assyża, gdzie walki między bogatymi a ubogimi dochodziły często do zbrojnych, krwawych starć, gdzie zemsta i nienawiść rozgorzały do tego stopnia, że

wielu opuszczało rodzinne miasto i szło na dobrowolne wygnanie, by uniknąć rozbójniczych napadów mściwych współobywateli.

Serce Franciszka krwawiło się na widok takich bratobójczych walk, a pragnąc te opłakane stosunki naprawić, przyłożył rękę do dzieła. Assyżanie już go znali z kazań i świętości, wiedzieli, że w ich interesie i dla ich dobra przemawia i poświęca się, stąd szanowali go, kochali, dla jego rad i wskazówek byli chętni. 9 listopada 1210, cały Assyż zebrał się na placu publicznym, by sobie podać ręce do zgody, zaprzysiąc miłość i gwarantować spokój: było to dzieło triumfu Franciszka, „pierwsze zwycięstwo miłości". —

Wieść o tem, co się dokonało w Assyżu, szybko się rozeszła i gdzieindziej, tysiące ust ją błogosławiły, tysiące rąk przyklasnęły i wszyscy się spodziewali i to sobie obiecywali, że nareszcie wzeszła gwiazda, zapowiadająca powszechny pokój, tak bardzo pożądany i wyglądany i waśnie i zatargi polityczne oraz społeczne tak bardzo zmęczyły wszystkich, że odczuwali gwałtowną potrzebę pokoju.

Św. Franciszek widział lepiej, niż ktokolwiek inny, że takie uspokojenie umysłów jest koniecznie potrzebne dla celów religijnych, jakie zamierzał osiągnąć, stąd uradowany triumfem odniesionym w Assyżu, zamyślił z tą dobrą nowiną udać się w inne dalsze strony; tembardziej zaś liczył na to, że mu się sprawa uda i powiedzie, że przypatrzywszy się z bliska ludziom, przekonał się, iż dadzą się prowadzić i sobą kierować. Z drugiej strony czuł w sobie dość ukrytej siły i mocy, by się odważyć na tego rodzaju dzieło, był genjuszem twórczym i zdolnym w ludzkie serca przeżarte jadem nienawiści, tchnąć ducha ewangelicznej miłości.

Praca Franciszka w tym kierunku nabrała rozgłosu, gdziekolwiek się zjawił ze swem hasłem, zdobywał serca tak, że całe miasta, a nawet prowincje, zagrzane jego słowem, zapominały o dawnych nienawiściach i przysięgały sobie zgodę i ludzie ze sobą pojednani, stawali się w rękach Franciszka powolnem narzędziem, z którem robił, co chciał, prowadził, gdzie chciał, zdawało się, że wróciły czasy, w których Jezus Ch. ściągał ku sobie ludy Galileji, by je karmić swoją nauką.

By te zamierzenia miały lepsze powodzenie, Franciszek nie występował bynajmniej w roli reformatora, ale dobrego ojca, który pragnie szczęścia dla swych dzieci — nie przemawiał do ludzi w sposób sztuczny, wyszukany, naprzód obmyślany, trudny do zrozumienia dla słuchaczy przeciętnych, ale natomiast w sposób prosty, przystępny, mówił tak, jak się mówi do przyjaciół dobrze znajomych, szczerych, życzliwych, serdecznych. Proste również były dowody, któremi się posługiwał, mówiąc o znikomości ziemskich dóbr, o konieczności dążenia do coraz wyższej doskonałości ewangelicznej i o karze i nagrodzie, jakie wymierzy sprawiedliwy Bóg ludziom w życiu przyszłem za ich dobre lub złe postępki i zaś bardzo często, przy każdej niemal sposobności, mówił o strasznych skutkach, jakie pociąga za sobą bratnia nienawiść, a więc: o konieczności zgody wzajemnej, o miłości nieprzyjaciół jako wyraźnym nakazie Chrystusowym, wskazywał przytem na Chrystusa, który na Golgocie modlił się za swych oprawców i prosił Ojca o przebaczenie dla nich. Przykazywał pokorę, która łagodzi, zmniejsza różnicę między człowiekiem a człowiekiem, łączy i zbliża do siebie, podczas gdy pycha tak zazdrosna o swoje często wygórowane prawa i przywileje, rozdziela serca i żłobi między ludźmi przepaść.

Upominał, by do dóbr doczesnych nie przywiązywać się zbytecznie, wychodząc z tego najprawdziwszego przekonania, opartego na własnem doświadczeniu, że niepohamowany głód złota i srebra jest korzeniem i zarzewiem nienawiści i zemsty. Wreszcie zachęcał Seraf. Ojciec do cierpliwości, która umie znosić i zapominać wyrządzone krzywdy, bo i cóżby było z każdym z nas, gdybyśmy nie umieli współcierpieć i nawzajem sobie wybaczać.

Franciszka przemówienia, na takich podstawach oparte, były krótkie, nieozdobne, ale prawdziwe, nieubłaganie logiczne, podbijające wielką siłą przekonania. Jego Zakon nie czemu innemu miał do zawdzięczenia tę nadzwyczajną szybkość rozwoju w pierwszych już początkach, jak tylko tej metodzie szerzenia i zaszczepiania zgody i pokoju między ludźmi, to łatwiej było osiągnąć w klasztorach, gdzie pokora zwalczała pychę, ubóstwo żądzę bogactw, gdzie cierpliwość znosiła wszystko; włoski lud nazywał serafic. Ojca „apostołem pokoju“, on ludzkie serca tak uspokoił i do siebie zbliżył, że słusznie mu się ten przydomek należał.

Ale Franciszek miał jeszcze i to przed samą śmiercią, odnieść nad ludzką niedolą i słabością wielkie, głośne zwycięstwo. Między biskupem miasta Assyża a podestą powstało dość ostre nieporozumienie, które trudno było zażegnać i doszło do tego, że biskup obłożył podestę klątwą, który na przekór i złość biskupowi, zbojkotował djecezalny kler, zakazując równocześnie ludziom sobie podwładnym mieć jakąkolwiek styczność z duchowieństwem. Walka prowadzona przez osobistości postawione na naczelnych stanowiskach, przybrała takie rozmiary, że stała się zgorszeniem dla miasta i szerokich jego okolic.

Franciszek leżał pod ten czas chory w pałacu biskupim i współobywatele, widząc go bliskim śmierci, przemocą go tam zanieśli w tym celu, by jego zwłoki pośmiertne, jako drogie relikwie, spoczęły w rodzinnem mieście. Franciszek cierpiał bardzo, raz z powodu choroby, powtóre z powodu wewnętrznych spraw Zakonu nieodpowiadających ideałom jego ducha, a wreszcie i to może najbardziej z powodu niezgody i kłótni biskupa z podestą, tem więcej, że będąc na razie w biskupim pałacu, patrzył na to własnemi oczyma, pytając ze zdziwieniem, gdzie się podziała miłość i zgoda przez niego zaszczepiona w sercach rodaków, na co schodziły wymarzone jego plany? Należało przeciwdziałać i to w jaki sposób. Pewnego dnia wziął Franciszek napisany przez siebie hymn do stworzeń i dopisał do niego te słowa: „Błogosławiony bądź o Panie, przez tych, którzy dla twej miłości przebaczają i odpuszczają urazy, błogosławieni niech będą ci, którzy wytrwają w pokoju, oni będą przez Ciebie, Boże Najwyższy, ukoronowani". Następnie przywołał do siebie dwóch braci i polecił im iść do podesty z prośbą, by na placu publicznym, wobec zebranego ludu i mieszczan, pojednał się z biskupem. Podesta obiecał to uczynić przez szacunek dla Franciszka, o oznaczonej godzinie, przy śpiewie hymnu na cześć stworzenia, stanęły naprzeciw siebie walczące partje, Franciszek acz schorzały, kazał się braciom swoim wynieść na plac, słuchał śpiewu i błogosławił — po krótkim czasie podesta wzruszony, ze łzami w oczach zbliża się do Franciszka i mówi „Nietylko biskupowi przebaczam, ale wszystkim, jakąkolwiek bym miał do kogo urazę i gotów jestem przebaczyć nawet temu, ktoby mi zabił syna lub brata". Następnie podesta

z biskupem podali sobie ręce, uściskali się, ucałowali przy ogólnem wzruszeniu obecnego ludu. Franciszek mógł spokojnie umrzeć, widząc, jak miłość odniosła triumf po raz drugi wśród mieszczan — obywateli jego rodzinnego miasta.

Wobec przykładów tak silnych a tak wymownych, musimy powtórzyć to, co pewnego razu powiedzieli uczniowie do P. Jezusa „Twarda jest ta mowa, kto ją może pojąć"? W rzeczy samej darowanie uraz jest tym szkopułem, o który rozbija się tyle dusz, zwłaszcza gdy się pamięta, że obowiązkiem jest nietylko miłować nieprzyjaciół, ale nawet ile to jest możliwem, za złe dobrem im płacić. Zepsuta ludzka natura przeciw takiej nauce protestuje, buntuje się, zowiąc ją głupią, niedorzeczną, a jednak ona, w sensie ewangelicznym roznosi wszędzie uspakajającą woń miłości i dla ludzkiej społeczności okazuje się koniecznie potrzebną. Ta nauka, prawdziwie Boska, ileż oszczędza łez, ile krwi, ilu zapobiega zbrodniom! — Gdyby nie więzy tego Chrystusowego nakazu miłości nieprzyjaciół, świat stałby się w jednej chwili krwawem pobojowiskiem.

Wy, synowie i córki Serafickiego Ojca, umiejcie ocenić to przykazanie i w życiu jak najlepiej je wykonać; nie trzeba Wam o tem mówić, kiedy, gdzie, jak i komu przebaczyć macie, serce miłością Jezusa rozgrzane wskaże Wam to niezawodnie, o tem pamiętajcie, by na pierwszem miejscu zwalczać pychę i żądzę, te dwa główne źródła niezgody i mściwości. Przyszłość należy do ubogich i pokornych, świat stanie się piękny i święty z chwilą, gdy się ludzie wyzwolą z pod tyranji, z pod panowania pychy i mamony. Amen.

Konferencja X.

Św. Franciszek w stosunku do bliźnich.

Najgorszym wrogiem miłości jest język; mijałby się z prawdą ten, ktoby nie chciał przyznać, że tak jest. Językowi tem łatwiej przychodzi bliźniego smagać, biczować, torturować, bo może te operacje wykonywać na każdem miejscu, o każdym czasie, w ciemności i przy świetle, w obecności czy w nieobecności tego, któryby się mógł bronić, usprawiedlić, na krzywdę reagować. Wszystkim dobrze wiadomo, że ludzki język to jak dobrze wyostrzone nożyce, ciągle w użyciu i przy pracy i im kto więcej potrafi odkryć, wyszukać ludzkich słabostek i błędów, bardziej drugich ośmieszyć, więcej zdradzić sekretów, wyjawić tajemnic, ten dzierży prym, gra pierwsze skrzypce, jest mile widziany i pożądany na towarzyskich zebraniach. Rzeczy przez niego opowiadane stają się wspólną własnością słuchających, którzy znowu mają sobie za obowiązek podać je dalej, wynieść niby towar na targ i dobrze sprzedać i niema obawy, żeby brakło kupców, znajdzie się ich dziesięciu, stu, tysiąc, gotowych do handlowania dobrem imieniem i sławą bliźniego.

W ten sposób powstaje gazeciarska kronika, którą wszyscy prenumerują, w której redakcji wszyscy

współpracują obmową, kłamstwem, oszczerstwem, przesadą i wszelkiego rodzaju komentarzami.

To obmierzłe kupczenie honorem drugich jest przedmiotem myśli, dociekań, studjów, dochodzeń nieraz takich, jak gdyby się rozchodziło o rozwiązanie nie wiedzieć jak ważnego, naukowego czy historycznego problemu; analizuje się drugich myśli, słowa, przekonania, rozkłada się na atomy ich czyny, postępki, działania, to znowu napada się wprost brutalnie na ich życie, albo przeciwnie mówi się o postępowaniu drugich spokojnie, z pewnem współczuciem, nieomal pobożnie, ale przytem tak, że z tych językcznych obrotów wychodzą pokrajani na kawałki, podarci na strzępy, słowem, język robi z ludzi brudne, koszlawe, wstrętne karykatury.

I nie doszłoby się do końca, gdyby się chciało wyliczyć wszystkie grzechy popełniane językiem i im więcej się ich szuka, tem więcej się znajduje, a te grzechy są tem gorsze, że prócz szkody, jaką wyrządzają, nie są uznane za grzechy takie, z których należałoby się poprawić, którychby należało koniecznie unikać, tem gorsze, że się je usprawiedliwia i tłumaczy różnemi wymówkami, że częstokroć się je uważa za obowiązek wskazany przez gorliwość i troskę o dobro tych, którzy są przedmiotem językowych wykroczeń.

I znowu trzeba nam tutaj wstąpić w ślady Seraficklego Ojca, by się od niego nauczyć, jak trzeba unikać grzechów popełnianych obmową, nie obrażać językiem braterskiej miłości.

Mówienie źle lub dobrze o drugich zależy w pewnej mierze od osobistego usposobienia danego człowieka, dane z natury własności, jeśli są dobre, mogą

się zepsuć przez złe wychowanie, jak znów z drugiej strony, jeśli takowe są złe, można je naprawić przez wychowanie dobre. Wogóle należy stwierdzić, że komu natura dała serce czułe, usposobienie wrażliwe, niesamolubne, niepyszne, ten będzie się wystrzegał mówienia źle o drugich, by im nie robić przykrości; przeciwnie ten, kogo natura obdarzyła sercem twardem, nieużytem, a przez wychowanie nie zmiękczonem, nie urobionem, ten będzie skłonny do robienia językiem szkody.

Również i to trzeba mieć na uwadze, że mówienie dobrze lub źle o drugich, zależy nie tyle od otoczenia i środowiska, w jakiem kto żyje, jak raczej od poziomu umysłowego, od wyrobienia duchowego danego osobnika; kto sobie nie uświadamia, nie zdaje sprawy ze swych błędów, usterek, uchybień, słabości, ten nie łatwo znajdzie słowo współczucia i pobłażliwości dla drugich; bo mu się wydaje, że on jeden jest bez zarzutu, że wszyscy powinni żyć jak on, do niego się stosować, że tem samem on jest uprawniony do poprawiania drugich, do krytyki, do obmowy i szemrania. O tem trzeba pamiętać, gdy się mówi o św. Franciszku, że w miłości bliźniego odnosił wielkie sukcesy, że nią się odznaczał i wyróżniał niezwyczajnie, nietylko dzięki swojej świętości, ale i temu szczęśliwemu, naturalnemu usposobieniu, umiejętnie zastosowanemu do życia praktycznego.

W poprzednich konferencjach już zrobiliśmy wzmiankę, że swoje młode lata spędził Franciszek wśród wesołej, płochej kompanji rówieśników, ale mimo to zawsze miał wiele współczucia, litości dla chorych, biednych, opuszczonych, którym przychodził z pociechą i pomocą pieniądzmi, branemi na ten cel w skry-

tości przed ojcem. W stosunku do ludzi, do przyrody wzlatuje nasz Święty, niby orzeł, wysoko ponad innych, nie chce się wierzyć, gdy się w historji czyta, z jaką czułością odnosił się do ludzi, ile dla natury miał podziwu i zachwytu! Raz go interesują, zajmują żebracy i trędowaci, to znowu jagnięta i ptaszki, kiedyindziej słońce, gwiazdy, ogień, drzewa, kwiaty, rozbudzają jego miłość ku stworzeniom; jego pieśni, śpiewy są wyrazem najserdeczniejszych wylewów i zachwytów miłości. I to właśnie jest odpowiedzią, dlaczego Franciszek był tak dalekim od uchybień popełnianych językiem, jego serce pełne miłości pragnęło, by nikt nikomu nie dał powodu do przykrości czy urazy, co więcej, nawet dla cięższych publicznych wykroczeń żądał tego współczucia i wyrozumienia łaskawego, jakiego pragniemy dla siebie samych. „Szczęśliwy ten", mawiał, „kto tak kocha zdaleka swego brata, jakby go kochał, gdyby był blisko, i kto o nieobecnym nie mówi nic takiego, czegoby mu miłość nie pozwoliła mówić w jego obecności, szczęśliwy człowiek, który ułomności drugich potrafi znieść z takiem usposobieniem, z jakimby chciał, by jego ułomności drudzy znosili, gdyby w podobnem znalazł się położeniu".

Ta nauka zaczerpnięta z Ewangelji, ma wartość niedoścignioną, przedziwny, podbijający urok; kto sobie zdaje sprawę z następstw, jakie pociąga za sobą złe mówienie o drugich, ten pojmie, że nietylko szczęśliwym jest człowiek unikający obmowy, ale szczęśliwe jest społeczeństwo nie szarpane językami obmowców. Nie trzeba długich wywodów na to, by zrozumieć, jakie szkody sprowadza obmowa tym, których obmawia, którym uwłacza. Obmowcę trawi i pożera

pycha, każąc mu wierzyć, że tylko on rozumie i pojmuje świat, jak należy i tylko on sam postępuje, jak trzeba, inni zaś mylą się i błądzą, za czem idzie, że obmówca posądza drugich o krótkowidztwo, o brak zmysłu praktycznego, o złe zamiary. W sercu człowieka o złym języku gnieździ się zazdrość, która nie może znieść, że kogoś się chwali, ceni, wywyższa a nie mogąc figurować, jakby chciał, nie mogąc błyszczeć, obmówca wypuszcza językiem strzały zabójcze szyderstwa i oszczerstwa, by siebie postawić, usadowić na wymarzonym miejscu. Obmówca jest dla siebie katem, gdyż dręczy go ciekawość, co drudzy myślą, mówią, robią, aby w danym razie był gotów godzić w nich zatrutym językiem, a jeśli mu się nie uda o wszystkiem się dowiedzieć, wszystko odkryć, w tedy podejrzywa, posądza, podsuwa złe intencje, złe zamiary i tak rujnuje, niszczy, przynajmniej w swojej głowie, moralną wartość współbliźnich, a swoje sumienie plami, obciąża grzechami.

A jakież są dalsze szkody, które wyrządza obmówny, potwarczy język? Prócz zgorszenia, jakie daje tym, wobec których obmawia, oczernia, potwarza, odbiera w dodatku innym dobrą sławę, dobre imię, cześć, szacunek, czyli dobra bardzo cenne i bronione nieraz kosztem krwi i życia, odbiera i rujnuje pokój serca, burzy równowagę umysłu, wprowadzając tam gorycz i uprzedzenie, odbiera chęć do pracy, paraliżuje dobre zamiary i postanowienia, których się nie pokazuje, nie wprowadza w czyn właśnie dla tego, by się nie narazić na potwarcze ataki.

Te i tym podobne wywody wystarczą, by się przekonać o wielkiej wartości nauki seraficzkiego Ojca podanej wyżej. Prawdziwie szczęśliwym jest

człowiek, który nie brudzi, nie wala swego języka w zatrutem błocie obmowy i oszczerstwa, dusza jego wolna od pychy i zazdrości zażywa miłego pokoju, niezamąconego powiewem niezgody i mściwości; naprawdę szczęśliwy jest ten, kto przez panowanie nad językiem oszczędzi bliźniemu łez i goryczy, swemu społeczeństwu dopomoże w pracy nad stworzeniem pokoju tak bardzo pożądanego dla wszystkich.

Gdybyśmy zapytali życia i doświadczenia, ażali tak jest, tobyśmy otrzymali odpowiedź, że one zupełnie się zgadzają z wyłożonemi tu zasadami, że tak, jak obmowa, potwarz są przyczyną nieszczęść wielu ludzi, tak dla przeciwnych powodów, zwalczanie grzechów języka, powstrzymanie się od nich, powoduje wiele dobrego.

Ojciec Seraficki napiętnował te grzechy następującemi, ostremi słowami: „Grzech obmowy, oszczerstwa zabija pobożność, niweczy łaskę, jest obrzydliwością w oczach Najświęt. Boga, bowiem obmówca, oszczerca karmi się krwią dusz, które rani szpadą swego języka; bezbożność oszczerców jest większą niż bezbożność rozbójników o tyle, o ile prawo Chrystusowe miłości obowiązuje bardziej kochać duszę bliźniego, niźli jego ciało; oszczercy należą do pokolenia Chama, który zamiast przykryć, jawnie się naśmiewał z obnażenia swego ojca, podobnie oszczerca rozgłasza błędy i wady bliźnich, przez co zasługuje na przekleństwo boże, on się lubuje, jak wieprz w błocie, w opowiadaniu, prawdziwych czy nieprawdziwych, zmyślonych ludzkich błędów i słabości".

Przyznacie, Bracia i Siostry, że do odmalowania grzechów języka nie można było użyć kolorów bardziej ponurych i czarnych.

O jednym z Braci dowiedział się raz św. Franciszek, że oczernił drugiego brata; wezwał natychmiast

do siebie swego wikarego i z całą stanowczością rzekł do niego: „Zbadaj zaraz, co jest w tem prawdy a jeśli się przekonasz, że brat oczerniony jest niewinny, ukarz surowo oszczercę dla przykładu drugich. Nad Zakonem zawisłoby nieszczęście, gdyby się nie zapobiegło temu występkowi, wnet miły zapach cnót zamieniłby się na wstrętny fetor, gdyby się nie zamknęło cuchnących ust obmówcom, mojem życzeniem jest, byś nad tem pracował, aby ta zaraźliwa choroba dalej się nie rozszerzała; bratu, któryby przez obmowę lub oszczerstwo odebrał drugiemu dobrą sławę, dobre imię, ma być zdjęty habit na tak długo, dopóki nie przeprosi Boga i nie naprawl wyrządzonej krzywdy".

Niechce się wierzyć, by te słowa tak twarde i surowe wyszły z ust człowieka o tak łagodnej i miękkiej naturze, jaką miał św. Franciszek! On dla obmówców i oszczerców był nieubłagany, bezlitosny, uważał, że za ten występek należałoby ich przypiekać ogniem.

Taką surowość Franciszka można sobie tem tylko wytłumaczyć, że jego serce pełne było miłości obejmującej wszystkich bez różnicy, że tem samem on nienawidził i surowo gromił to, co ludzi między sobą rozdzielało, a właśnie obmowa była więcej niż cokolwiek innego tym wrogiem miłości i dlatego we Franciszku miała tak zapalczywego przeciwnika.

Inny powód, dla którego Seraf. Ojciec był tak surowym dla obmówców i oszczerców, był ten, że on tak dobrze znał ludzką naturę, ludzkie życie. Wszak to on, za swoich młodych lat, był eleganckim, wykwintnym trubadurem, a obracając się w towarzystwie podobnych sobie rówieśników, miał sposobność poznać dobrze ducha, dotknąć jakby ręką, wszystkich

ludzkich słabości ubiegał się o sławę, brał udział w awanturach i wyprawach wojennych, z których, nie mając powodzenia, ostatecznie się wycofał. Następnie zwróciwszy się do krzyża, otrzymuje od Jezusa Chr. polecenie restaurować Kościół, a na pierwszym miejscu przed innemi, restaurować i zmienić siebie samego; nareszcie po latach prac i walk, powtarza ten znany dawniej wesoły śpiewak dziwne, pełne wielkiej pokory słowa: „Bracia, zacznijmy w końcu coś robić, bo dotąd niceśmy jeszcze nie zrobili, gdyby Bóg wyświadczył innym tyle łask, co mnie, to największy grzesznik zostałby największym świętym!“ Czy Franciszek, mając w duszy tak wzniosłe ideały, tylu ozdobiony, ubogacony cnotami, mógł być pobłażliwym dla obmówców i oszczerców, który w pysze i zarozumiałości smagają bezlitośnie swoich współbraci biczem języka? Czy mógł sądzić swego brata ten, kto tak, jak on, Franciszek, znał ludzkie ułomności, kto wiedział, że Bóg nie wszystkim udzielił jednakowych łask, więc, że nie od wszystkich będzie się domagał równych zasług i cnót? Zwłaszcza, kto pamięta o tem, że drugich sądzi się zazwyczaj i ocenia przez szkła miłości własnej, że czarne widzi się białem, a białe czarnem, że o swoich raczej błędach i ułomnościach należy myśleć i mówić i siebie raczej sądzić i potępiać niż drugich.

Można nieraz słyszeć wymówkę, że o drugich się mówi, ich się krytykuje, nie dla pychy, zazdrości, nie z braku miłości, szacunku, ale z gorliwości o poprawę, o dobro duchowe współbliźnich. Otóż nic bardziej mylnego, nic fałszywszego nad takie zapatrywanie, bo całkiem inaczej uczył Jezus Chr. gdy mówił: „jeśli twój brat zgrzeszy, idź, upomnij go w cztery oczy, w sekrecie, w tajemnicy między tobą a nim“. Mówie-

nie poza plecami, poza oczami drugich, nietylko nikogo nie poprawia, ale psuje, drażni, rozgorycza, jeśli słowami, mową chcemy kogoś poprawić, coś dobrego robić, upominajmy w cichości, a przytem roztropnie, w odpowiednim czasie i miejscu.

Tercjarze. tercjarki, jeśli chcecie być prawdziwymi synami i córkami Seraf. Ojca, wystrzegajcie się, unikajcie za wszelką cenę obmowy, a jeszcze bardziej oszczerstwa, religja i społeczeństwo tego się od was domagają. O tem pamiętajcie, że gdyby na świecie umilkły wszystkie obmówne i potwarcze języki, zapanowałaby atmosfera niewymownego pokoju, a ludzkie serca przestałby gryźć robak nienawiści i zemsty, nieszczęściem, hańbą i wstydem jest to, że ludzie nie umią czy nie chcą mieć dla siebie wyrozumienia, ani współczucia, że mają natomiast wszystkie powody i racje do tego, by drugich posądzać i krytykować, by z cierpliwością i wytrwałością, godną lepszej sprawy wyszukiwać, wynajdywać u drugich punkty zaczepki, by robić nad nimi wiwisekcję, a tak mało zadają sobie trudu, by siebie sądzić i potępiać, a drugich usprawiedliwiać i tłumaczyć.

W tym celu muszą sobie ludzie nakazać pracę nad tem, by uciszyć, zmusić do milczenia namiętność pychy i zazdrości, bo one są źródłem i początkiem wszystkich grzechów języka, następnie pamiętać o tem, że każdy z osobna i wszyscy razem mamy tak bardzo dużo braków, błędów i ułomności, któremi na pierwszem miejscu się zajmować i one poprawiać winniśmy, leczenie zacząć od siebie samych; wtedy dopiero z łatwością potrafimy zapanować nad językiem, nałożyć mu wędzidło, z wielką dla ludzkości korzyścią i przysługą. Amen.

Konferencja XI.

Św. Franciszek a przyroda.

W dziełach, w zjawiskach przyrody odnajdzie każdy, kto myśli i zastanawia się, jakiś boski pierwiastek, który dla ludzkiego umysłu i serca niesie światło, ukojenie, coś, co uszlachetnia, umacnia, podnosi, doskonali. Przyroda, to wielka, jasna księga, na której Boży palec wypisał najpiękniejsze karty swojej dobroci i mądrości i w tej księdze jest złożony zarazem klucz odmykający najgłębsze tajemnice stworzenia; w tej księdze czarownej odnajdywały dusze ludzkie autentyczny swój obraz, swoje odbicie, rozwiązanie zagadki swego początku, celu, przeznaczenia.

Z Galilei, dzięki Jezusowi Chrystusowi, błysnęło światło, prawdziwe, pełne, tłumaczące ludziom najzawilsze problemy wszechświata, te zwłaszcza, które odnoszą się do duszy i łaski, ale to światło jakby się zdało szukać w przyrodzie swego potwierdzenia, swego rozwoju i trzebaby nie mieć ani oczu ani uszu, by się nie dopatrzeć, nie dosłuchać głębokiego echa, jakiem poprzez wszechświat i jego niepojęte cuda odbija się nauka i przypowieści Jezusa Chrystusa, głoszone w palestyńskiej ziemi.

I może niema dla człowieka rzeczy pożyteczniejszej, przyjemniejszej, jak wpatrywać się, zagłębiać w tę

wspaniałą księgę przyrody, studjować jej dziwnie piękne stronice, bo ileż tam, na tych kartach światła, siły, radości, rozkoszy! — Czego ludziom może najbardziej brakuje na tym świecie, to szczerych, zdecydowanych pojęć; wielu żyje wśród udręki, utrapień, zwątpień, nie wiedząc, czego się chwycić, o co zaczepić, ich myśl zmęczona błąka się wśród dręczących niepewności, jak dziecko wsród ciemnej nocy, a za tem idzie, że i serce zimne, oschłe, omdlałe, stąd nie dziw, że ludzie w takiej atmosferze, w takiej pustce duchowej żyjący, stają się sami dla siebie ciężarem nie do zniesienia, rozpaczliwie nudni.

Kto przywykł na łonie natury spoczywać, jej pięknem się zachwycać, temu dni życia płyną pogodnie, równo, a jeśli jakieś zboczenia, wykolejenia się trafią, to na krótko, bo harmonja, muzyka przyrody, z jej czarującemi wdziękami, jej niewysłowionym urokiem, rozprasza ciemności umysłu, rozwesela serce; dowodem tego są geniusze, którzy lepiej niż inni umieli czytać w księdze przyrody, którzy z pewnemi zastrzeżeniami moralnej, religijnej natury, byli spokojni, zrównoważeni, dzięki temu, że umieli się dopasować, dostroić do harmonji przyrody i pić jej słodki nektar.

Jednakowoż natura nie świadczyła nikomu tyle cennych usług co Świętym, oni ją studjowali, oni ją kochali nie w sposób gruby, po ziemsku, lecz z czcią religijną, po bożemu; w duchowym związku z przyrodą rozumieli lepiej tajemnice Opatrzności; ta przyroda była dla nich źródłem zachwytu i czystej radości, pobudzała do pobożnego życia. Ich zaślubiny z przyrodą miały jeszcze ten skutek, że ich świętość miała w sobie coś szczególnie sympatycznego, coś pociągającego; jakże miłym jest np. św. Filip Nere-

usz, gdy przechadzając się po ogrodzie, szedł w zawody, prześcigał się z kwiatami w chwaleniu Boga, a gdy mu się zdawało, że one go przewyższają w tej czci i chwale, uderzał je z lekka laseczką trzymaną w ręce i mówił „Bądźcie cicho, dajcie pokój, pozwólcie, niech i ja także chwalę Boga".

Ale pod tym względem przewyższył wszystkich Świętych Seraficki Patrjarcha, jemu należy się tutaj pierwszeństwo; poezji i piękna przyrody nikt tak nie odczuł jak on, na to zdawał się być urodzony, by jej piękno odczuwać, niem się zachwycać, w niem gustować, niem się upijać aż do zapamiętania, a przedewszystkiem na skrzydłach tej poezji, tego piękna przyrody wzlatywać coraz wyżej ku Bogu. Z tego punktu patrzeć na Seraf. Ojca jest nietylko pouczającem ale i bardzo przyjemnem. I my to uczynimy w niniejszej konferencji, przedstawiając Franciszka nie jako głębokiego, uczonego geologa, doszukującego się w ziemi niezbadanych tajemnic, nie jako bystrego astronoma, śledzącego bieg gwiazd i odkrywającego nowe konstelacje, ale jako namiętnego wielbiciela przyrody, jako człowieka o głębokiem sercu, kochającego wszechstworzenie z naiwnością dziecka ale zarazem z siłą olbrzyma.

Już natchniony autor Księgi Mądrości powiedział, że „Nierozumni są ci, którzy nie mają poznania Boga, i którzy z rzeczy, co im się wydają drobne, nie potrafili wznieść się ku Boga, ani mogli patrzeć na dzieła, a odkryć ich Sprawcę, bo z wielkości rzeczy stworzonych słusznie należy wnosić o istnieniu ich Stwórzyciela". A Paweł Apostoł pisząc do Rzymian, mówi; „Rzeczy niewidzialne, Boga, można poznać łacno z tych, które przez Niego zostały stworzone, jak również

można poznać jego wszechmoc i Boskość, tak, że nie mają żadnej wymówki ci, którzy Boga nie uznają".

Ślady ręki Bożej widać wszędzie, czy w ogromie niebios, gdzie wszystko jest siłą, światłem, porządkiem, czy w niezmierzonej przestrzeni ziemi, mającej na powierzchni czy we wnętrzu swem nieprzeliczoną rozmaitość istot o niezrównanej piękności, czarującej harmonji, czy w bezmiarze mórz, niby spokojnych na oko, a przejmujących grozą swych spienionych, wzburzonych bałwanów; słowem, wszędzie, gdzie rzucić okiem, widzi się namacalnie nieskończoną wszechmoc i mądrość; słońce, gwiazdy, zwierzęta, rośliny, kamienie, woda, opowiadają, jak mówi psalm, chwałę Boga, mówią do nas językiem wiary, która do Boga prowadzi, językiem miłości, która z Bogiem łączy, językiem wesela i radości, który każe cieszyć się Bogiem.

Filozofja i teologja chrześcijańska pouczają nas, w jaki sposób drogą naturalną, przyrodzonem światłem rozumu, dochodzi się do poznania Boga, ale dowody, któremi te nauki się posługują, są tak długie a czasem tak zawiłe, trudne, że mniej wprawny umysł nurzą, męczą — gdy przeciwnie przyroda widziana okiem pogodnem, nieuprzedzonem, przemawia językiem tak prostym, jasnym, że odrazu się ją rozumie i jest się przekonanym o prawdzie, i chyba tylko ten jej nie rozumie, kto rozumieć nie chce, kto ma serce grzechami obciążone, zatrute, kogo na czystą radość i miłość nie stać.

Że tak jest, tego dowodem niezbitym było całe życie Serafic. Ojca i Patrjarchy; przyroda była dla niego nietylko drabiną, po której wspinał się ku Bogu,

ale była niewyczerpanem źródłem pociech, radości, poetycznych natchnień, miłosnych zachwytów.

Da Celano tak o tem pisze: „Franciszek niecierpliwy, by jak najprędzej wyjść ze świata, tego miejsca tułaczki i wygnania, — jednak w rzeczach tegoż świata czerpał tak dużo pociechy i umocnienia; z drugiej strony, tj. w stosunku do Boga, przedstawiał mu się tenże świat jako najczystsze zwierciadło Bożej dobroci. W każdem dziele sztuki chwalił artystę, co widział w dziełach stworzenia, odnosił do Stwórcy, każda rzecz go cieszyła, bo dostrzegał w niej odblask, odbicie wszechmocy Bożej; wesołe widowiska zajmowały go o tyle, o ile widział w nich promieniujące życie Boże, we wszystkiem, co dobre i piękne, umiał odnaleźć Tego, który jest najpiękniejszy i najlepszy, we wszystkiem, na co się natknął, widział ślady Boże, z każdej rzeczy robił sobie stopnie prowadzące do Bożego tronu; z uczuciem rzewnej pobożności odnosił się do każdej rzeczy, rozmawiając z nią o Bogu, prosząc ją, by mu o Bogu mówiła".

Te słowa jakże dobrze, żywo, plastycznie przedstawiają życie naszego Świętego ze strony jego umiłowania przyrody! A równocześnie zadają kłam twierdzeniom niektórych pisarzy współczesnych i dawniejszych, którzy we Franciszku chcieliby widzieć jakiegoś panteistę ubóstwiającego, podziwiającego, uwielbiającego przyrodę, ale nie wznoszącego się wyżej ku Temu, który tej przyrody jest Panem i Stwórcą.

Od kiedy Franciszek uczuł się powołanym do wejścia na drogę doskonałości, widzimy go, jak zamyślony ale spokojny, błąka się po podmiejskich polach Assyża, biorąc sobie do towarzystwa nieznanego w okolicach tego miasta przyjaciela, który, wedle

prawdopodobnych domysłów historyków, był późniejszym bratem Eljaszem, na tych to polach, oblanych światłem słońca, pokrytych bujną, rozrzutną zielenią, spędzał w milczeniu długie godziny, duch jego fizycznie i moralnie zmęczony, unudzony tym światem, potrzebował odpoczynku, tak, jak podróżny po skwarnym dniu drogi i ten odpoczynek, ten spokój znajdywał, siedząc czy to na polach pod cieniem drzew, czy nad urwistym brzegiem jakiegoś potoka i słuchał szmeru wody, śpiewu ptaków, oddychał wonią pachniących kwiatów i ziół, wodził wzrokiem po szerokich umbryjskich dolinach, lekkich pagórkach uśmiechających się do niego. Na pola, na puste miejsca może dlatego uciekał, by nie słyszeć hałasu miasta, by zapomnieć o miejscach dawnych wesołych, pustych zabaw, ale przedewszystkiem dlatego, by na świeżem powietrzu przesyconem wonią polnych kwiatów i ziela, odnaleźć siebie samego, wznosić serce ku Bogu, by w milczeniu, samotności przygotować się do wielkich dzieł, jakie zamierzał przedsięwziąść.

Dla duszy Franciszka poetycznej a zarazem tak ascetycznej odpowiadała bardzo urocza dolina umbryjska, tam stawiał pierwsze kroki świętości doprowadzonej do wysokich, zawrotnych szczytów, tam także zawarł ślub z przyrodą, nawiązał z nią serdeczne braterstwo i przyjaźń. Tam rozmawiał językiem dotąd niesłyszanym, z bratem słońcem, z bratem księżycem, z bratem ogniem, z siostrą wodą, z siostrą rosą, z braćmi kwiatami itd.

To nam pozwala zrozumieć, dlaczego żywot Franciszka, od początku do końca, pełnym jest przemiłych anegdot, opowieści, osnutych o przyrodę, tchnących z jednej strony prawdziwie dziecięcą pro-

stotą i naiwnością, a z drugiej odsłaniających serce czułe i miłością obejmujące wszystko, co istnieje.

Pomijamy dla krótkości jego troskliwość o to, by w ogrodach Braci były zawsze pielęgnowane kwiaty, nie mówimy o tem, jak zabraniał w ogrodach kopać z korzeniami drzewka i krzewy, z obawy, by nie wyginęły, lub zanadto obcinać im gałązki, by nie zaszkodzić ich rośnięciu i owocowaniu, ale zwrócimy szczególniejszą uwagę na miłość, jaką żywił dla zwierząt, na sympatję, z jaką otaczał zwłaszcza ptaszęta i baranki.

Do miejscowości Bevagna, położonej w dolinie umbryjskiej, wybrał się pewnego razu Seraf. Ojciec z kazaniem i będąc już niedaleko tej wioski, spostrzega, ze zdziwieniem, jak wielkie mnóstwo ptaków różnych zlatuje się w jedno miejsce, napełniając je ogłuszającym spiewem, zbliża się więc do nich, one zaś nic się nie bojąc, otoczyły go kołem, by wysłuchać następującego kazania... „Bracia i siostry, ptaszki, jesteście bardzo zobowiązane oddawać waszemu Panu i Stwórcy cześć i chwałę i spiewać Mu wszędzie, gdziekolwiek jesteście za to, że wam pozwolił latać, gdzie chcecie, i w tak piękne, strojne piórka was ubrał; prócz tego, choć nie siejecie ani nie żniecie, a jednak Bóg was żywi, a w rzekach i potokach daje wam wodę do picia i kąpieli, w górach, rozpadlinach dał wam schronienie, a na drzewach gałązki i liście, byście mogły budować wasze gniazdka i chociaż nie umiecie ani szyć ani prząść, Bóg ubiera, odziewa was i wasze dzieci; te wszystkie dobrodziejstwa są dowodem, jak was kocha, więc pamiętajcie, bracia i siostry, byście nie ustały dziękować Mu waszym śpiewem". Po takim „kazaniu" pogłaskał ptaszęta bliżej niego będące, pobłogosławił je i odszedł do Bevagna z kazaniem

do ludzi, ptactwo zaś uleciawszy w powietrze, śpiewało dalej hymn chwały Bogu i Franciszkowi.

W innej miejscowości Umbrji, Alviano, miał Franciszek spotkanie z jaskółkami. — Mówiąc do ludzi kazanie na otwartem placu, widzi jak mnóstwo jaskółek się zleciało, posiadały na dachu pobliskiego domu i zaczęły tak zawzięcie świegotać, że ludzie nie mogli dobrze kazania słyszeć. Franciszek zwraca się do nich i mówi „Moje siostry, jaskółeczki, jużeście się dosyć nagadały, uciszcie się, pozwólcie teraz mnie mówić, słuchajcie słowa Bożego, póki nie skończę". Na ten rozkaz, niby na komendę, umilkły wszystkie, słuchając z uwagą kazania.

Będąc na górze Alwernji, Franciszek wśród gęstego lasu przepędza noce na modlitwie, rozmyślaniu. Pewnego wieczora, przy wschodzie księżyca spostrzega latającego niedaleko siebie słowika, który siada opodal na gałązce i zaczyna wywodzić dziwnie piękne melodje. Franciszek wzruszony, podniecony tym śpiewem, zaczyna sam śpiewać, jakby chciał iść w zawody z skrzydlatym artystą. I tak obydwa śpiewali przez kilka godzin, mieszając na przemian swe głosy, aż wreszcie Franciszek pierwszy ustał, nie dlatego, jakoby mu ze zmęczenia brakło w gardle głosu, ale z powodu żaru miłości Bożej, jaka mu rozsadzała piersi, w końcu przywołał słowika zaśpiewanego ciągle do siebie, wziął go do ręki, pogłaskał, pochwalił za gorliwość w opowiadaniu chwały Bożej, a potem rzekł do brata Leona: „dajmy co jeść naszemu bratu słowikowi, gdyż na to zasłużył bardziej niż ja".

W kronikach franciszkańskich istnieją żywe wspomnienia o „bracie" sokole, który tak był obłaskawiony przez św. Franciszka, że w każdą noc, punktu-

alnie o oznaczonej godzinie, budził go na modlitwę; również w tych kronikach jest zachowaną pamięć o „bracie“ bażancie, który podczas niobecności, nawet dłuższej, św. Patrjarchy nie przyjmował żadnego pokarmu, podawanego mu przez innych Braci, także sympatyczną jest wzmianka o „siostrach“ synogarlicach czy turkawkach, które Franciszek wykupił z rąk nielitościwego dręczyciela tych ptasząt, urządził im gniazdko i własnemi rękami je karmił.

Ale wyjątkowe upodobanie miał nasz Święty w jagniętach i barankach dlatego, że one lepiej niż inne zwierzęta, symbolizowały, przedstawiały Chrystusa, Baranka zabitego na okup grzechów świata; do tych żywych, czworonożnych obrazów pokory, cichości, niewinności, takie miał przywiązanie Seraficki Ojciec, że nawet w podróży będąc, brał do swego towarzystwa jagnię. Gdy był w Rzymie, r. 1222, chciał to miłe stworzenie zaprowadzić do Watykanu, na pokoje papieża Honorjusza, ale rodzina nie pozwoliła mu na to. W klasztorze Porcjunkuli miał owieczkę, która wszędzie za nim chodziła, nawet do chóru, — bywało nieraz, że Franciszek przychodził do rzeźników, by od śmierci ocalić baranki, za które odstępował swój płaszcz zakonny — choć z tej zamiany rzeźnicy właściciele nie zawsze byli zadowoleni. Z tem samem upodobaniem odnosił się do innych zwierząt, jak np. do sławnego wilka w Gubio, do zajęcy, ryb, pszczół, koników polnych itd.

Choćbyśmy nawet przyznali, że nie wszystko w tych legendach jest prawdą, że w nich są dodatki zmyślone dla upiększenia opowieści, w każdym razie przebija z nich słodki charakter, czuła fizjognomja Franciszka, zupełnie wyjątkowe umiłowanie przyrody,

nie spotykane w tym stopniu u żadnego ze Swiętych. Kto przeczyta „Hymn do stworzeń“ ułożony przez św. Franciszka przy ogródku kwiatów św. Klary, ten zrozumie, jak można, jak trzeba przez ukochanie stworzeń wznieść się do miłości Boga i zachęcić się do oddawania Mu czci i chwały.

Gdyby Franciszek był zdolny do wyrażenia wierszami Dantego poezji swej duszy, jej nastroje i miłość dla stworzeń, mógłby godnie stanąć obok nieśmiertelnego twórcy Boskiej Komedji i Kantyk ułożony przez „Serafina“ miłości, musiałby być czemś niepośledniem, skoro jego autor nieraz przez kilka dni z rzędu nic innego nie robił, tylko śpiewał te wiersze z takim zapałem i przejęciem, że o brewiarzu zapominał.

Gdybyśmy i my, Bracia i siostry Zakonu III, w ślady Patrjarchy assyzkiego wstępując, więcej się wczuwali w piękno przyrody, gdybyśmy z lepszem zrozumieniem umieli czytać tę tajemniczą, pełną mądrości księgę, bylibyśmy niewątpliwie na tym świecie szczęśliwsi i choćby o jeden krok bliżsi nieba, Wszechświat mieści w sobie tyle czarownych dziwów, a my ich nie widzimy — on, tylu ustami, ile jest istot, opowiada chwałę Boga, a my tego opowiadania nie słyszymy, — wszechświat jest nieustającem źródłem, niewyczerpaną krynicą czystych, jasnych radości i pociech, rozkoszy, a my z tego źródła nie pijemy, giniemy z pragnienia.

Nierozumni! Z wysokości niebios, gdzie z Bogiem króluje, otoczony stworzeniem, które tak ukochał, Franciszek, woła do nas: „Chwalcie, wysławiajcie Boga w przedziwnych dziełach Jego i służcie Mu z wielką pokorą i miłością“. — Amen.

Konferencja XII.

Z św. Franciszkiem na drodze pokory.

Czytamy w historji franciszkańskiej, że błogosł. Pacyfikowi, zostało objawione w zachwycie ekstatycznym, iż Seraficki Ojciec, w nagrodę za swoją pokorę, zajął w niebie miejsce opróżnione przez Lucyfera. Nam nie jest trudno w to wierzyć, bo wiemy, iż pokora św. Franciszka była tak wielką, że zasługiwała na to wywyższenie; Kościół śpiewa o nim „Franciszek ubogi i pokorny wchodzi do nieba bogaty, hymnami niebieskiemi zaszczycony“, poucza nas przez to tenże Kościół, że cnotami najdroższemi jego sercu były: ubóstwo i pokora.

W życiu wewnętrznem możnaby pokorę nazwać odbudową duszy, tak jak pychę tejże duszy ruiną; historja tego jest krótka ale niewymownie straszna. Pismo św. opowiada, że Bóg, stworzywszy aniołów, wystawił ich na próbę, żądając, by uznali nad sobą Jego władzę; i oto przeciw temu rozkazowi zbuntowała się pewna ich część z Lucyferem na czele, który, dumny ze swej doskonałości, rzekł w myśli: „Wstąpię ponad obłoki, tam założę, usadowię mój tron, będę podobny Najwyższemu“. Takie były słowa pychy, wyrzeczone przez szatana, naszego największego nieprzyjaciela, który nie mogąc pokonać Stwórcy bronią,

jaką rozporządzał, wypowiedział, przez nienawiść i zemstę, zaciekłą wojnę ludziom, chcąc ich nakłonić do buntu przeciw Bogu i sprowadzić na nich upadek, któremu sam uległ. I ten piekielny pomysł, niestety, mu się udał. Zaledwie zostali stworzeni nasi prarodzice Adam i Ewa, zbliżył się do nich w postaci węża, potępieńczy duch i podstępnie radzi im, zachęca, by spożyli owoc z drzewa zakazanego, obiecując im przytem kłamliwie, że się staną podobni do samego Boga, że poznają, co dobre a co złe. Ta wielka, fałszywa obietnica skusiła niebaczną pierwszą parę ludzi do przestąpienia, pogwałcenia nakazu Bożego; owoc zakazany spożyli, by się przypodobnić Bogu, a tymczasem zamiast tego ściągnęli na siebie i swoje całe potomstwo przekleństwo boże, karę potępienia, — szatan na ruinach królestwa bożego założył królestwo swoje i rozwinął nad niem triumfalnie swój sztandar.

Przeciw temu buntowi podniósł swój głos Chrystus Jezus, przysłany na świat dla odkupienia ludzkości; świat spodlony, zrujnowany pychą szatana, miał być odkupiony, naprawiony pokorą Syna Bożego. Jak szatan rzucił ludziom hasło: nie słuchajcie, zbuntujcie się, i tem ich zgubił, tak Jezus Chrystus rzekł: Bądźcie pokorni, i tem ich zbawił. Wystarczy znać choćby trochę naukę Ewangelji, by zrozumieć, jakie zasady i prawidła podał Zbawiciel Boski, by swój cel naprawy ludzkości osiągnąć, jak On tę swoją naukę i przykazania nietylko głosił słowem, ale przykładem życia stwierdzał. Jego życie od Betleemu do Kalwarji było jednem nieprzerwanem pasmem upokorzeń tak wielkich, niepojętych, niewypowiedzianych, że wprawiają w osłupienie, a to, co nam rozświetla te przepastne, zawrotne tajemnice pokory przesłaniającej Majestat

Bóstwa Chrystusowego, to są własne Jego słowa: „Kto się poniży, będzie wywyższony!

Kto nie wie o tem, jak wielką ma doniosłość, jak ważną jest w życiu dochownem pokora, ten na drodze doskonałości nie postąpi kroku naprzód, w pochodzie do nieba pycha wstrzyma, udaremni każdy jego wysiłek; wszyscy to dobrze wiemy, jak nasza dusza, cała nasza istota, jest jakby omotana, spowita przędzą pychy o różnych formach i postaciach — ona nas zaślepia, dręczy, dławi, krępuje swobodę ducha, odbiera wolność, podbija w niewolę samolubstwa, odwraca myśl od Boga, nieraz wyciska z oczu łzy, oddala od celu, przyprawia o rozpacz.

Stąd to wielka potrzeba, byśmy się nad przeciwieństwem pychy, nad pokorą, zastanowili, idąc śladami Seraficiego Ojca, który był niezrównanym mistrzem tej cnoty. Przyznać trzeba, że pokora jest cnotą dopiero w chrześcijaństwie i przez chrześcijaństwo zrodzoną i jeżeli poganie mieli o pokorze jakieś pojęcie, jeśli o niej pisali, to pewnem jest, że jej w życiu nie praktykowali. Ludziom żyjącym przed Chrystusem mówić było o tem, że z dobrych swoich zalet i przymiotów nie należy robić wystawy i publicznie się z nich przechwalać, że zaszczytami, honorami, poklaskami trzeba gardzić, to znaczyło mówić o rzeczy dla nich niezrozumiałej, uważanej przez nich za niedorzeczność, za absurd. Jak można było wyobrazić sobie ludzką społeczność wykluczającą, potępiającą zarozumiałość i dumę? Jak mógł być szczęśliwym człowiek, któremu zabraniało się nosić na czole wieniec ambicji i chwały? Takich pytań świat pogański nie rozumiał, więc nic dziwnego, że cnota pokory była mu obcą.

Jezus Chrystus przyszedł na świat, nadał życiu

nowy kierunek, swoją naukę przeciwstawił pogańskim pojęciom; tej Jego nauce opartej na pokorze świat nie chciał się z początku poddać, gardził nią, zwalczał ją, ale ostatecznie zrozumiał, że ją przyjąć musi, skoro z ust Chrystusa padły słowa: „Ufajcie, jam zwyciężył świat."

Żeby lepiej zrozumieć, w jaki sposób i dlaczego Chrystus Jezus pokorą świat podbił, zwyciężył, przypatrzmy się bliżej tej pokorze, czem ona jest, jakie ma własności.

Pokora, w znaczeniu chrześcijańskiem, jest cnotą, która nie pozwala mieć o sobie, o swoich zaletach i przymiotach wysokiego rozumienia, jest cnotą, która poucza, wskazuje, że wobec własnego sumienia jesteśmy nędzarzami, a wobec Boga nicością, pokora nie jest próżną, nie broni się dla własnego osobistego interesu, nie szuka pochwał, aplauzów, jest cierpliwą i spokojną, nawet wtedy, gdy ją spotyka wzgarda i lekceważenie, ona jest jak kwiatek ukryty w trawie, o którym nikt nie wie, jak kolumna stojąca w samotnem pustkowiu, dla niej wielkim jest tylko Bóg i Jego dzieła. Pokora zwalcza samolubstwo, zwłaszcza to, które ma na celu pielęgnować i dogadzać zmysłom człowieka, z pominięciem wyższego szlachetniejszego pierwiastka — duszy, które o ziemię więcej dba niż o niebo i tu na ziemi stawia sobie podnóżek dla chwały i zaszczytów.

Takie ujęcie pokory otwiera szerokie horyzonty dla życia wewnętrznego i pozwala zrozumieć, jak wielką ma ona doniosłość w życiu duchowem, tak, że mistrze życia duchowego zowią ją bez przesady fundamentem i podwaliną tegoż życia, światłem, które oświeca, siłą, która podtrzymuje, balsamem, który leczy i uzdrawia.

W życiu Ojca Serafickiego mamy zdarzenie, które poręcza prawdziwość tego twierdzenia. Pewnego razu wracał z lasu, dokąd był się udał na modlitwę, gdy oto spotyka go br. Masseo, człowiek wielkiego ducha, i tak strofuje Franciszka: „Dlaczego za tobą? Dlaczego za tobą? Dlaczego za tobą?“ Franciszek nie rozumiejąc o co chodzi, co mają znaczyć te pytania, prosi o wyjaśnienie. Wówczas brat Masseo mówi: „Dlaczego za tobą cały świat idzie, dlaczego wszyscy chcą Ciebie widzieć, Ciebie słuchać, Ciebie podziwiać, przecież aniś ładny, ani uczony, ani szlachetnie urodzony, więc dlaczego porywasz wszystkich za sobą“ — Franciszek, skupiony w sobie jakby w zachwycie, podniósł oczy ku niebu, dzięki Bogu uczynił, a potem klęknąwszy, tak mówi do brata Masseo: „Jeśli chcesz wiedzieć dlaczego zamną, posłuchaj: Oko boże z wysokości niebios patrzy na ten świat, widzi wszędzie dobrych i złych; tak patrząc, nie znalazło większego grzesznika, gorszego człowieka odemnie, dla celów, które chce osiągnąć, nie znalazł Bóg podlejszego, niż ja, stworzenia, i właśnie mnie On wybrał, by wielkość, dumę, pychę, mądrość tego świata poniżyć, zawstydzić, aby świat zrozumiał, że wszelka cnota, wszelkie dobro od Niego pochodzi, a nie od stworzeń, aby żaden człowiek nie chlubił się, nie chełpił w sobie z siebie, ale by się chlubił w Bogu, któremu cześć i chwała na wieki“.

Z tej odpowiedzi Franciszka przebija głęboki mistycyzm, w którym znika człowiek, gubi się, uniczestwia miłość własna i jej nienasycone żądze, apetyty, a zato uwydatnia się, wybija na czoło wielkość i majestat Boga, który wszystko obejmuje, przenika, wszystkiem rządzi i do celu prowadzi. Takie ujęcie

pokory nie jest nowem, ale jakże duchowo piękne, wiecznie prawdziwe! Stworzenie dopiero wtedy jest wielkie, gdy się unicestwia i ma za nic wobec swego, Boga i Stworzyciela.

Dla ludzkiej pychy taka nauka jest twardą, trudną do pojęcia, bo trafia w samo sedno rzeczy, jednakowoż przyjąć się ją musi, jeśli się nie chce odwrócić moralnego porządku, bo i jakże odmówić Bogu tego, co mu się należy, albo jak stworzeniu przypisać to, co nie jest jego; miłość własna, samolubstwo człowieka porywa się na prawo boże, ale poto, by ostatecznie dać za wygraną, by dać się zgnieść i ulec tej wszechmocnej ręce, która pysznych poniża a pokornym łaskę daje.

Jednem z najsmutniejszych następstw szatana i prarodziców naszych Adama i Ewy, jest przyćmienie naszego umysłu do tego stopnia, że boże rzeczy pojmujemy z trudnością i tylko jakby przez mgłę; umysł nasz spowity temi ciemnościami sprawia nam przykrą udrękę; jakiemże szczęściem byłoby dla nas, gdybyśmy mogli tę mgłę rozprószyć; otóż możemy na szczęście, ale nie inaczej jak przez pokorę, która w prawdziwem świetle i na właściwem miejscu stawia Boga i nas; w tem świetle dusza się odradza i pojmuje, w jakiem znaczeniu Chrystus Jezus, w przyszłość patrząc, modlił się do Ojca niebieskiego temi słowy: Wyznaję Ci, Ojcze, Panie nieba i ziemi, żeś Twoje sprawy zakrył przed mądrymi, tj. pysznymi, a objawiłeś je maluczkim, tj. pokornym". W świetle pokory rozumiemy lepiej rzeczy boże i potrzeby naszej duszy.

Ale pokora jest też siłą, która umacnia i podtrzymuje, dowodem czego zwycięstwo odniesione przez Chrystusa nad światem. Kto zna obłędy umysłów

i kapryśne zachcianki serc współczesnych Chrystusowi ludzi, temu się może wydawać szaleństwem chcieć takich ludzi poprawić przez pokorę, tem bardziej, że te umysłowe zboczenia, to zepsucie serca, zdawały się być uświęcone zwyczajem, obyczajem wszystkich bez wyjątku narodów, a jednak pokora zwyciężyła. Gdy po wielu stuleciach od przyjścia Chrystusa, św. Franciszek został powołany do naprawy i odrodzenia ludzkich sumień, to pierwsza broń, jaką wziął do ręki, by cel osiągnąć, była pokora. On powiedział sobie tak: Chrystus Jezus chce, bym świat pozyskał i nawrócił przez najgłębsze uniżenie siebie, bym dusze pociągnął do Niego przykładem pokory, — wszystkich nawrócicie, bracia moi, jeśli słowem i czynem wobec wszystkich się uniżycie. Taką siłę i moc ma pokora sama z siebie, ona nato jest, by człowieka przyprowadzić do stóp Boga, do uznania Jego wielkości, a do wyznania swojej nędzy. Pokora opiera się na sprawiedliwości, która żąda, by każdemu oddano, co jest jego: Bogu cześć i chwałę, a stworzeniom poniżenie i nicość. Ludzka pycha buntuje się przeciw temu, ale rozum trzeźwy musi to przyjąć i uznać za prawdę, podobnie jak chory broni się przed gorżkiem lekarstwem i operacją, ale lekarzowi przyznaje słuszność, dlaczego takie lekarstwo przepisał lub operację uznał za wskazaną; toż i człowiek na pokorę dąsa się i gniewa, ale w duszy przyznaje jej słuszność.

Inna siła pokory tkwi w sposobie, w jaki nam się przedtsawia, bo popatrzmy; pokora nie jest arogancką, nie ma pretensji, jej słowa, spojrzenia są spokojne, słodkie, ona nie wysuwa się naprzód z żądaniami, nie domaga się przywilejów, specjalnych praw, nie kusi się o zysk ze szkodą drugich, nie jest zawistną.

a jeśli ją spotka krzywda, wzgarda, to nie wpada w gniew i nie oburza się; słowem, pokora przedstawia się jak piękna, jasna zorza o słodkiem wejrzeniu, z uśmiechem braterstwa, równości praw i obowiązków dla wszystkich, bez wynoszenia się, bez dumnego współzawodnictwa.

Ale skądinąd jeszcze pokora ma taką siłę i wartość i piękność; będąc czuła jakby matką dla swoich czcicieli i wyznawców, nie pozwala im żyć w duchowem lenistwie, marnieć w nędzy moralnej, ale zachęca do pracy, do wysiłków na drodze cnoty; pokorze ma człowiek do zawdzięczenia to poczucie, że w życiu moralnem ma dużo braków, że wiele mu pozostaje do zrobienia. Franciszek na drodze świętości szedł tak wielkiemi krokami, że stał się podziwem dla świata, jego prace apostolskie, jego cuda, jednały mu u ludzi szacunek, sławę; zewsząd otaczała go aureola czci i świętości, oczy wszystkich zwracały się na Assyż, Umbrję, wszyscy interesowali się życiem religijnem, wznowionem przez niego, on zaprawdę miał być z czego zadowolony, mógł spokojnie odpocząć na laurach, a tymczasem — nie, on, uczeń i wyznawca pokory napełnia miasta, wsie, pola, klasztory głośnem wołaniem: „Bracia, zacznijmy coś robić, gdyż dotąd niceśmy jeszcze nie zrobili!“ Oto krzyk prawdziwej wolnośic, krzyk tego, który, daleki od pychy, w pokorze głębokiej widział siłę nawołującą nie do odpoczynku, ale do pracy idącej wciąż naprzód.

Pokora wreszcie daje spokój i radość. Mówi się zazwyczaj, że na tym świecie pokora, jak wogóle cnota, nie jest dostatecznie wynagrodzona. I to jest prawdą, gdyż tu pracujemy w nadziei otrzymania nagrody po śmierci, tak, jak rolnik rzuca ziarno w ziemię

jednego roku, by na drugi rok, w lecie, zebrać plon. Jednak przyznać musimy, że cnota, jeśli jest prawdziwa, odbiera już tu obfitą zapłatę, trzeba to powiedzieć zwłaszcza o pokorze, która daje tyle wewnętrznego zadowolenia, pokoju, radości, że warto ją praktykować nawet do heroizmu. Zepsuta natura pcha człowieka do tego, by błyszczeć i nad drugich się wynosić, ona w uczuciu samolubnem przyprawia skrzydła, aby wzbijać się coraz wyżej i wyżej, ale ileż razy nie dochodzi do celu, nie osiąga tego, co człowiek zamierzył! Dumny pragnie, by mu się wszyscy kłaniali, ale oto byle żebrak przechodzi koło niego obojętnie, nic sobie z niego nie robi, gardzi nim w duszy, — zdobywał naukę dla sławy, tymczasem spotka go lekceważenie i spełnia się mądre przysłowie: że pycha wyjeżdza z domu na koniu, ale wraca pieszo! Po trudach, mozołach, wawnetrznej udręce, człowiek pychą nadęty przekonuje się o prawdziwości słów Ewangelji: że „kto się uniża, będzie wywyższony, a kto się wywyższa, będzie poniżony".

Całkiem inaczej ma rzecz się z pokornym; on bez wysokich pretensyj, nie szuka pochwał ni poklasków, jeśli go mało cenią, nie obraża się, jeśli go upominają, karcą, nie gniewa się, on zawsze równy, spokojny, niewzruszony jak skała, o którą uderzają fale morskie. Św. Franciszek zapytany raz, kto jest prawdziwym Bratem Mniejszym, dał takie wyjaśnienie: „Oto wybieram się, jak jest zwyczaj, na kapitułę Braci i znajduję ich zebranych razem, mówię do nich naukę, upominam, karcę nadużycia, — Bracia przeciw mnie powstają, oburzają się na mnie, mówiąc: nie jesteś odpowiedni na przełożonego, nie nadajesz się do rządzenia drugimi, bo jesteś prostakiem niedo-

kształconym, idjotą, wiedz o tem, że odtąd nie będziesz nam przewodził, następnie ośmieszonego, wzgardzonego wyrzucają mnie, bym sobie poszedł precz. Otóż wiedz Bracie towarzyszu, że gdybym takiego obejścia się ze mną nie zniósł z weselem ducha, gdybym się obraził, pogniewał, miał do nich za to urazę, wówczas nie uważałbym się za zakonnika, za prawdziwego Brata Mniejszego.

Oto nagroda obiecana pokornym już tu na ziemi; pokój, szczęście, radość doskonała, prawdziwa wolność nie w tem jest, by być wielkim apostołem, wielkim prorokiem, głośnym cudotwórcą, sławnym uczonym i wynalazcą, sławnym zdobywcą, ale w tem, by umieć cierpliwie znieść głód, zimno, obelgi, krzywdy, urazy. Rozumią to dobrze ci, co się kochają w pokorze, co pamiętają o tem, że wobec Bogą są niczem, którzy się cieszą z tego, gdy tę swoją nicość mogą pokazać niebu i ziemi, to jest heroizm cnoty, którą za wzorem Chrystusa, uniżonego aż do śmierci na krzyżu, przyświeca nam „Biedaczek“ assyzki, św. Franciszek.

Dałby Bóg, abyście wy, Bracia i Siostry III Zakonu usiłowali zbliżyć się choć nieco do tego ideału! Strzeżcie się, kochani tercjarze, pychy, bo to grzech prawdziwie szatański, który ludziom odbiera nietylko wewnętrzny spokój, nietylko jest powodem udręki, zawodów, łez, ale w oczach Boga a także i ludzi, jest czemś obrzydliwem, wstrętnen, odpychającem. Pokornym niech będzie wasz rozum, pokornemi niech będą wasze serca, a wywyższenie jako nagroda obiecana pokornym, będzie waszym udziałem. Amen.

Konferencja XIII.

Z św. Franciszkiem na drodze pokory.

Nie trzeba być bardzo głębokim znawcą życia duchownego, by zrozumieć, że pokora rzuca walny słup światła na duszę, by lepiej poznała swoją wartość i swój stosunek do Boga, do stworzeń. Pokora jest tą latarnią morską, która rozświetla horyzont i umożliwia widzenie rzeczy wokoło się znajdujących; bez cnoty pokory nie ma w życiu duchownem potrzebnej równowagi, ani jasnego poznania drogi doskonałości tak długiej a zarazem tak trudnej. Pokora jest tą dobrą przewodniczką, wskazującą pewną drogę, poprzez niebezpieczne, przejścia ona dodaje odwagi, by ze zmęczenia nie ustać ale iść dalej, owszem, by w same słabości i znużeniu znaleźć bodziec, zachętę do biegu ku mecie.

Komuś może się to wydać nieprawdopodobnem, czy nawet niedorzecznem, a jednak tak jest; pokorny mając na pamięci wielkość Boga a swoją niskość, małość, nie ulega pokusom pychy, ale na bożej drodze postępuje prosto, nie zbaczając ni na lewo ni na prawo, podoba się przez to Bogu, któremu oddaje cześć i w którym pokłada nadzieję, podoba się także ludziom przez swoją skromność i uprzejmość w obejściu wreszcie zadowolony jest sam ze siebie, gdyż jego wewnętrznego pokoju nie podgryza robak pychy.

Z tego punktu wychodząc, zdawałoby się, że pokora znajduje łatwy przystęp do serca człowieka; tymczasem jest inaczej, bo czegoż to nie dokazuje miłość własna, zwana egoizmem, samolubstwem, by pokory do serca nie dopuścić! Ileż to razy wstydzimy się tego, cośmy za podszeptem pychy zrobili, a z jaką szkodą dla pokory? Wiemy np. że umiemy mało albo nic, a jednak gdy się ktoś odważy to nam w oczy powiedzieć lub o tem choćby tylko wątpić, to nas gniewa, wyprowadza z równowagi. Wiemy, że nie jesteśmy cnotliwi tak, jakbyśmy być powinni, ale niech nam kto zrobi z tego zarzut, zaraz doznajemy wewnętrznego wzburzenia, czujemy urazę; jesteśmy o tem przekonani, że nieraz zasługujemy na upomnienie, skarcenie, a gdy nam je zrobią, tośmy niezadowoleni, obrażamy się. Przywiązujemy wagę do błahostek, do bagateli, które schlebiają miłości własnej, łechcą próżność, a gdy tym naszym zachciankom, nieraz naprawdę dziecinnym, nie stanie się zadość, wpadamy w smutek, przygnębienie, w zły humor, układamy plany odwetu, myślimy o zemście. A uganianie się za pochwałami, za pokłaskami, w sposób nieraz bezczelny, kosztem wstydu, upokorzeń, czy to nie jest nierozum? — Otóż to wszystko jest dziełem pychy, tego prawdziwego naszego wroga, naszego szkodnika, truciciela naszych myśli, słów, postępków.

Tego wroga żeby poskromić, żeby mu kark ugiąć, trzeba się chwycić jedynie skutecznej broni — pokory, tak, jak to uczynił Jezus Chrystus, a po nim św. Franciszek, którzy pokorą świat zwyciężyli. I nie trzeba myśleć, Bracia i Siostry Zakonu III, że praktykowanie cnoty pokory jest obowiązkiem jedynie ludzi żyjących w klasztorach, odosobnionych od świata, —

nie, osoby zakonne pokora obowiązuje ściślej, surowiej, w stopniu wyższym, to prawda, ale ta cnota potrzebna jest wszystkim bez wyjątku i różnicy, jako podstawa i fundament moralnego życia.

Czasy, w których Franciszek się narodził, były pełne zepsucia, przewrotów i zaburzeń społecznych, grożących katastrofą lada chwila, to, co ludziom dawało się najbardziej odczuwać, co było nie do zniesienia, nie do wytrzymania, był feudalizm, przez który nieliczna garstka wybranych opływała w dostatki, używała wszystkiego, podczas gdy ogół żył pogrążony w brutalnej niewoli, jęczał w skrajnej nędzy. Cechą charakterystyczną, jakby swoistą fizjognomią owych smutnych czasów, była rycerskość — la cavalleria — która była marzeniem, celem zabiegów i największą uciechą, rozrywką tych, którzy się jej mogli poświęcić. Ten rodzaj arystokratycznego rzemiosła polegał na śmiałych przedsięwzięciach, na awanturniczych wyprawach, na igrzyskach, podróżach urozmaicanych śpiewem, poezją układaną na cześć wybranych dam. Franciszek — trzeba to przyznać — miał z natury żyłkę, skłonność do takiego życia; rodzice jego byli, bądź co bądź, bogaci, dbający o to, by swój dom, swój ród utrzymać na odpowiedniej stopie społeczno-towarzyskiej, duma, ambicja Piotra Bernardone przeszła do historji jako jego szczególny rys, jego przysłowiowa chciwość i skąpstwo umiały pełnemi garściami rzucić pieniądze tam, gdzie było potrzeba się pokazać i zaznaczyć rodową, klasową odrębność. Wobec tego nie trzeba się dziwić, że swego syna chciał wychować na spadkobiercę nietylko swego majątku, ale swych przekonań, swego ducha, swoich familijnych tradycyj, w rzeczy samej nie czytamy nigdzie, by kiedy karcił

swego syna za młodzieńcze, puste wybryki, za hojne rozrzucanie pieniędzy na prawo i lewo. Piotr Bernardone był zadowolony i cieszył się, widząc w swym synie eleganckiego trubadura, śpiewającego poezje na temat miłości i awanturniczych przygód.

Ale to trwało niedługo, bo oto widzimy Franciszka całkiem innego, zmienionego nie do poznania, wyrzeka się majątku, zostawia, porzuca uciechy świata, żegna towarzyszów pustych zabaw, a szuka samotności, umartwienia. Zapytać możemy, skąd, dlaczego taka zmiana? Oto pokorą odniosł triumf nad próżnością i złudną ambicją; Franciszek jeszcze wczoraj bogaty, wesoły, rozbawiony, dziś już ubogi, skupiony, umartwiony. Ojciec jego gniewa się, oburza na tę dziwną, niezrozumiałą dla siebie odmianę syna, przeklina go, złorzeczy mu, chce go za wszelką cenę utrzymać przy dawnym światowym trybie życia, ale daremnie, — Franciszka to nie przeraża ani smuci, gdyż on już przedtem w sercu był się wydziedziczył sam. Co więcej, by okazać, jak dalece wyzbył się wszelkiej żądzy posiadania, publicznie, wobec biskupa miasta Assyża zdjął z siebie świeckie ubranie, rzucił je pod nogi ojca i odziany worem, przepasany grubym sznurem, bosy, z ogoloną głową, wyszedł na ulicę miasta, by stać się przedmiotem śmiechu, szyderstw i urągań ludu, a zwłaszcza towarzyszów dawnych zabaw; — ludzie palcem na niego wskazując, mówili: „patrzcie, co to za błazen, obłąkaniec". On zaś, teraz dopiero naprawdę wolny, z uradowanem sercem chodził o żebranym chlebie, po miejscach dawnych rozrywek, odwiedzał często kościółek św. Damiana, rozmyślał o podboju dusz, o piękności i rozkoszach pani „Ubóstwa". Oto jaka przemiana dokonała się we Fran-

ciszku! pycha zrobiła go niewolnikiem dostatków, miłośnikiem zabaw i publicznych widowisk, marzycielem uganiającym się za sławą, aż oto przychodzi pokora i odmienia go zupełnie, robi z niego żebraka bez pieniędzy, bez domu, ubranego byle jak, pragnącego szyderstw, pogardy, upokorzonego wspomnieniami dawnych światowych zbytków.

Nie opowiadałbym wam, Bracia i Siostry, tych rzeczy, gdyby mi to nie było potrzebnem do wprowadzenia was na wielkie, szerokie pole praktyki pokory, która na pierwszem miejscu i przedewszystkiem odnosi się do wewnętrznego duchownego życia przez to, że trzyma na wodzy uczucia i żądze człowieka, choć na drugiem miejscu uwzględnia i zewnętrzną stronę tegoż życia, przez którą pokora, jak każda inna cnota, objawia się na swój sposób; tej zewnętrznej strony pokory nie brać w rachubę, znaczyłoby stawiać przeszkodę w nabyciu tejże cnoty tym, których myśli, uczucia, serce, nie mają w duchownem życiu dostatecznego wyrobienia. — Toż i św. Franciszek naprzód zrezygnował z bogactw, wyrzekł się majątku i rozkoszy świata, rozumiejąc, że bez tego nie mógłby nabyć ducha prawdziwej pokory, ten przykład jest wskazówką, że jednym z fundamentalnych warunków pokory jest: wyrzec się zbytku i przywiązania doczesności.

Kto zna życie, ten wie, jak zatruwa serce i jakie robi w duszy spustoszenie, przywiązanie do bogactw i rozkoszy. Są ludzie, którzy żyją wyłącznie dla tego, by świata użyć, którzy uważają siebie za rodzaj bożyszcza, dla którego należy poświęcić wszystko: prace, trudy, zabiegi choćby największe, byle to bożyszcze zadowolnić, jego samolubną pychę nasycić; jest to pewnego rodzaju zboczenie, którego skutki nieobli-

czalne sięgają aż w samą wieczność. A czyż jest możliwem, by do serca opancerzonego złotem, zacementowanego - używaniem, przedostała się pokora? Wierzyć w to, byłoby niedorzecznością, pokora chce serca wolnego od śmieci i barłogu, ona jest tak skromna, że stroni, ucieka od tego, co chce błyszczeć i pokazywać się, pokora nie lubi się bratać i chodzić pod ramię z tem, co się kocha w kadzidłach i wawrzynach. — Nie chcemy bynajmniej przez to powiedzieć, żeby bogaty nie mógł być pokornym lub żeby pokorny musiał chodzić w brudnych łachmanach, nie, pokora może mieć miejsce i wśród dostatków i używania, ale pod warunkiem, że do nich nie będzie przywiązane serce, a przyjemności życia będzie się używało zgodnie z rozumną naturą człowieka, z wolą bożą, również nie sprzeciwia się ubieranie porządne, przyzwoite, zastosowane do stanowiska i położenia zajmowanego w społeczeństwie; to, co się z pokorą nie da pogodzić, jest robienie sobie z majątku i używania życia schodków, drabiny, po których wspina się do góry pycha. — Oto, kochani tercjarze, powód, dlaczego Franciszek wybrał ubóstwo, wyrzekł się posiadania majątku, obłókł się w szatę pokutną, chciał przez to utorować drogę pokorze, a zamknąć ją raz na zawsze dla pychy.

Drugą regułą w praktyce pokory — choć co do ważności pierwszą by być powinna — jest: mało o sobie rozumieć, o swoich zaletach, przymiotach nie mówić, z nich się nie przechwalać. „Gdybyś był nie wiedzieć jak mądry, są słowa św. Franciszka, i posiadał wszelką naukę, mówił wszystkimi językami, gdybyś się znał na biegu i ruchach ciał niebieskich, to nie powinienbyś być z tego pysznym; i choćbyś

był człowiekiem wielkiej urody, posiadał wielki majątek, choćbyś nawet cuda czynił i miał władze nad czartami, to z tego nie powinienbyś się wynosić, bo to wszystko nie twoje".

Wspaniałe słowa, warte, by je postawić na czele nauki o pokorze! Majątek, uroda, siła już niejednego przyprawiły o zawrót głowy i moralną ruinę, oraz dały do zrozumienia, że człowiek nie ma z czego być dumny, gdyż to, co miał lub ma, to dary boże darmo dane. Samolubstwo, miłość swojego „ja", ten odwieczny wróg człowieka, zasłania, zaciemnia poznanie prawdziwej wewnętrznej wartości, natomiast karmi człowieka złudą, mamidłami; serce ludzkie ma bezsprzecznie wiele piękna i dobra w sobie, ale to są dary bożej dobroci, bożej łaski, za które dziękować należy, wynoszenie się zaś z tych darów, przypisywanie ich sobie, jest pychą, zarozumiałością, kłamstwem, jest przywłaszczeniem sobie rzeczy cudzej, zabraniem czegoś, co nie jest nasze. „Nic do ciebie nie należy, mówi św. Ojciec Franciszek, zatem z niczego nie powinieneś się wynosić". Ta zasada jest w życiu duchownem niesłychanie ważną i nie wolno zapominać o niej teraz, kto na burzliwem morzu pychy nie chce się rozbić i kto nie chce narażać się na niebezpieczeństwo, by Bóg mu odebrał te dary, których używał do podsycania i karmienia pychy. Iluż ludzi powaliła o ziemię prawica karzącego Boga za to, że się pysznili, wynosili, chełpili ze zdrowia, z urody, z talentów, z dobrego powodzenia, ten Bóg mocny, który za pychę strącił szatana w otchłań piekła, pierwszych rodziców wygnał z raju, uderza w pyszałków jak grom wśród burzy, przewraca, wyrywa z korzeniami i obala drzewa i kładzie na ziemię pokotem.

Historją zna wiele narodów i państw, które za grzech pychy prawdziwie djabelskiej, wołający do nieba o zemstę, zostały upokorzone, zmiażdzone, starte z oblicza ziemi.

To niech będzie dla nas upomnieniem, byśmy sobie nie przypisywali zalet, których nie posiadamy, a z tych, które mamy, byśmy się nie pysznili, ale Boga za nie chwalili i Mu dziękowali.

Dalszą, trzecią regułą pokory jest: nie mieć się za lepszych od drugich i to z wielu względów. Naprzód dla tego, że miłość własna może nas tu bardzo łatwo wprowadzić w błąd, kazując nam widzieć w sobie zalety i przymioty raczej urojone niż rzeczywiste, natomiast nie widzieć ich u drugich lub im ich odmawiać, nawet wtedy, gdy oni te zalety i przymioty rzeczywiście posiadają, ale przez pokorę, przez nakaz Ewangelji ukrywają je przed okiem ludzkiem.

Powtóre, jest rzeczą niebezpieczną, narażającą na grzeszne pomyłki, sądzić, cenzurować duchową, wewnętrzną wartość bliźnich naszych, poprostu dlatego, że nie wiemy, ile i jakie talenty i dary otrzymali od Boga, w jakim stopniu zasługi i odpowiedzialności wobec Boga się znajdują. „Gdyby Bóg, mawiał św. Patrjarcha, dał był największemu łotrowi tyle łask, co mnie, o wiele lepiej byłby z nich skorzystał i byłby został większym świętym niż ja". Te słowa jakże bardzo upokarzają naszą miłość własną i jak nas czynią ostrożnymi we wydawaniu sądu o drugich!

Ostatnią regułą pokory jest: nie smucić się, gdy nas mało cenią, upominają, karcą, obmawiają, potwarze i oszczerstwa rzucają. Seraficki Ojciec zachował nad podziw tę regułę surową pokory w swem życiu, doprowadził ją do wyżyn bohaterskiej, heroicznej cnoty.

Z rozmów, jakie na ten temat miewał z br. Leonem, poznajemy, do jakiego stopnia on — Franciszek, był wprost zakochany w tem, gdy nim ludzie gardzili, lekceważyli go, nic sobie z niego nie robili, źle o nim mówili, i te twarde próby pokory, które zwyczajnych śmiertelników wyprowadzają z równowagi, oburzają, wydają się ponad ludzką możność i siły, były dla Franciszka pożądaną rozkoszą, były czemś, w czem on się lubował, czego szukał.

Nas, Bracia i siostry Zakonu III na tak wysoką cnotę nie stać, ale naszym obowiązkiem jest zrozumieć i ocenić, jak należy, lekcje pokory daną nam przez Seraf. Ojca, wszak nasze życiowe doświadczenie potwierdza nam raz poraz tę prawdę, że przeważna część naszych niepokojów, nieporuzumień, wewnętrznych rozterek, wynika właśnie z tego, że nam się wydaje, iż za mało nas inni cenią, za mało szanują, nie dosyć chwalą, za dużo upominają i poprawiają. Miłość własna podszyta pychą tego nie znosi, tego nie lubi, temu wypowiada wojnę, co staje w jakikolwiek sposób na przeszkodzie w dogodzeniu samolubnym upodobaniom; rzeczą pokory niech będzie przeciwstawić się tym zapędom i zachciankom miłości własnej, działającej zawsze na szkodę postępu doskonałości.

Sumienie pogodne, nieuprzedzone, uświadomione zdaje sobie sprawę z tego, cośmy o pokorze tutaj powiedzieli, ono patrzy trzeźwo na oszukańcze sposoby, któremi pycha zwykła się posługiwać, ono zna drogi kręte, ciemne, zawiłe, podstępne, któremi ona lubi chodzić, to sumienie wie, jak ona używa dla swych celów dóbr czysto materjalnych czy duchowych, danych człowiekowi od Boga, niechże to samo sumienie oświecone nadprzyrodzonem światłem umocnione siłą

z wysoka, stanie do walki z pychą na wzór Jezusa Chrystusa, który w pokorze uniżył się aż do śmierci na krzyżu.

Seraficki Ojciec nie pozwolił się nikomu przewyższyć w pokorze, za pokorę w nagrodę dostał w niebie miejsce opróżnione przez Lucyfera; niebo i ziemia nucą mu pieśń triumfalną za zwycięstwo odniesione nad pychą przez pokorę

Postać „Biedaczka“ z Assyżu, chodzącego po zielonych kwiecistych dolinach Umbrji, odzianego worem, przepasanego powrozem, z ogoloną głową, bosemi nogami, wychudłą twarzą, mówi do nas — duchowych synów i córek — słodkim, miękkim głosem „Bądźcie pokorni“ Amen.

Konferencja XIV.

Z św. Franciszkiem na drodze posłuszeństwa.

Rozum człowieka nie uprzedzony, nie przyćmiony namiętnościami, dobrze sobie to uświadamia i jasno zdaje sprawę z tego, że najzawziętszym wrogiem życia duchowego jest pycha, ta pycha, która jak bluszcz powija się wokoło myśli, uczuć, pragnień, słów i czynów. Podczas gdy inne namiętności atakują człowieka zwykle z jednej tylko strony, dając mu czasem jakieś wytchnienie, spokój — to pycha napada go ze wszystkich stron i zawsze — nawet wtedy, gdy człowiek nie robi nic, odpoczywa, to ona ukryta, drzemiąca w głębi jego istoty, rusza się, odzywa, dopomina o swoje prawa, z człowieczego „ja“ robi bożyszcze, wstrzykuje, wsącza jad pogardy dla drugich, podnosi bunt.

Kto nie chce stać się pastwą tego niespokojnego potwora, musi, jak to już powiedzieliśmy w poprzednich konferencjach, uzbroić się w pokorę, pokora to jedyna broń, której się pycha boi, przed którą ustępuje — pokorne rozumienie o sobie a wysokie rozumienie o drugich, szacunek dla drugich, prowadzi i toruje drogę do posłuszeństwa, które jest matką porządku i ładu.

Pokora i posłuszeństwo to dwie cnoty idące ze sobą w parze, jedna obok drugiej, one, jak dwie siostry, prowadzą się pod rękę; pokora rodzi posłuszeństwo, gdy urośnie, dojrzeje, staje się karmą pokory.

W ascezie chrześcijańskiej każda z tych cnót ma osobną, swoistą fizjognomję, odrębne pole działania, ale w duchownym rozwoju są te dwie cnoty tak ze sobą spojone, tak do siebie podobne, jak dwie krople wody; różnią się od siebie tem, że pokora do rozumu się odnosi, posłuszeństwo do woli, pokora w sercu się ukrywa, zaś przez posłuszeństwo wchodzi człowiek w stosunek z Bogiem, z rodziną, ze społeczeństwem; ta jednak różnica w niczem nie osłabia tego mistycznego związku obydwu cnót, idących poprzez świat niby dwie piękne boginie, niby dwie słodkie matki. — I jeżeli pokora jest konieczna w doskonaleniu ducha, to nie mniej, koniecznem jest posłuszeństwo w rozwoju, doskonaleniu rodziny i społeczeństwa, co łatwo możemy wywnioskować z tego, że żadnej z cnót tyle się ludziom nie przypomina, nie naucza, na żadną nie kładzie się takiego nacisku, co na posłuszeństwo. Jeszcześmy się na kolanach matek naszych bawili, a już nam mówiono, że mamy słuchać, wzrośliśmy wśród ustawicznego napominania i przypominania posłuszeństwa, karano nas, gdyśmy tych upomnień nie słuchali, poprzez lata wychowawczego okresu wyraz „posłuszeństwo“ grzmiał nam w uszach, jakby czarodziejska, magiczna siła, od której ma zależeć nasza teraźniejszość, przyszłość, nasze szczęście. To słowo „słuchać“ jest i teraz na ustach wszystkich, we wszystkich rodzinach, zakładach, instytucjach i wójt swojej gminie, generał wojsku, chlebodawca służbie, profesor uczniom, mąż żonie, żona

mężowi, rodzice dzieciom, mówią o posłuszeństwie, wymagają od nich posłuszeństwa. Niewątpliwie dobrą, piękną, w błogosławione skutki obfitującą rzeczą jest wykonanie, praktykowanie tego posłuszeństwa, podczas gdy pycha i zarozumiałość zatruwa życie ludziom, i sprowadza zamieszanie, anarchję, przewrót.

Przypatrzmy się jak w życiu Seraficiego Ojca wyglądała ta cnota i jak jej się mamy od niego uczyć. Nie trzeba się nad tem długo zastanawiać i tego dochodzić, z jakiem usposobieniem odnosił się św. Franciszek do świętej cnoty posłuszeństwa; znane aż nadto dobrze przykłady z jego życia pozwalają zrozumieć, jak cenił tę cnotę i jak wielką cenę do niej przywiązywał. Oto niektóre: Bratu Rufinowi rozkazuje św. Patrjarcha pod posłuszeństwem, by w samych tylko pantalonach, bez koszuli, poszedł do Assyża i tam powiedział kazanie. Bratu Masseowi poleca kręcić się wokoło siebie na rozstajnych drogach tak długo, dopóki tenże nie dostał zawrotu głowy i nie przewrócił się na ziemię. To znowu kandydatowi do zakonu, aby wypróbować jego powołanie, rozkazuje sadzić kapustę, ale liściami w ziemię, korzeniem w powietrze — te i inne zdarzenia opisane w kronikach franciszkańskich, świadczą dowodnie, jak ćwiczył w posłuszeństwie i do niego zaprawiał swych synów Seraficki Ojciec.

W początkach Zakonu, któreby można nazwać jego wiekiem złotym, posłuszeństwo i poszanowanie władzy były kamieniem węgielnym karności zakonnej. Sam Franciszek, jakkolwiek bardzo bolał nad niedomaganiami ówczesnego Kościoła, jednak dla władzy i zwierzchności tegoż Kościoła był z wszelką uległością i posłuszeństwem, chciał też, by jego bracia

zakonni byli podlegli i posłuszni rzymskiemu Kościołowi we wszystkiem, tak, jak żołnierze są podlegli swemu wodzowi, gdy ich wysyła na plac boju, za czem poszło, że pierwsze kadry Braci były naprawdę wojskiem silnie zwartem, karnem, dobrze uregulowanem, mogącem wyruszyć śmiało na podbój ludzkich dusz i liczyć na pewne zwycięstwo.

W dalszych wywodach o doniosłości i wadze posłuszeństwa, będziemy iść śladami Seraficiego Ojca, który w sposób godny podziwu umiał ująć krótko, zwięźle a dobitnie zalety tej wspaniałej cnoty. Mówi on tak: „Posłuszeństwo jest dziełem wiary, probierzem nadziei, dowodem miłości, matką pokory, rodzicielką pokoju bożego, przewyższającego wszelki zmysł".

Słowa te są tak pełne treści i wagi, że warto je szerzej rozebrać i głębiej się nad niemi zastanowić, by jeszcze lepiej poznać istotę posłuszeństwa, lepiej zrozumieć jaki zapał i umiłowanie miał dla tej cnoty Franciszek.

Posłuszeństwo jest dziełem wiary.

Jedną z najgroźniejszych namiętności człowieka jest chęć, skłonność wynoszenia się nad drugich; pycha unosi go zawsze gdzieś w górę, każe mu latać wysoko i dopiero wtedy jest zadowolona, gdy drugich widzi niżej siebie, a jeszcze lepiej, gdy pod sobą i biada temu, ktoby się odważył iść przed nią lub obniżyć ku ziemi tron, na którym ona wysoko, jak orle gniazdo, się rozsiadła, gotowa jest wtedy zmiażdżyć wszystko, co jej staje na drodze. Innemi słowy: pycha nie chce zależeć od nikogo, jej program brzmi: „wszyscy niech podlegają mnie, ja nikomu". — Za tem idzie, że pycha się buntuje przeciw wszystkim pra-

wom, boskim i ludzkim, rozumując tak: dlaczego ja mam słuchać innych? czyż oni nie są mnie równi? Krępować wolność człowieka, to niesprawiedliwość! Dla pychy w ten sposób rezonującej pozostaje jedna deska ratunku: uwierzyć, uznać, że jest Bóg, który może rozkazać i że są także ludzie przez Boga do tego upoważnieni, by drugim rozkazywać; kto tą zasadą żywo się przejmie, oprze ją na akcie wiary, ten swoją pychę upokarza, a wolę swoją ugina, poddaje pod jarzmo posłuszeństwa. — Apostoł narodów Paweł św. wyłożył tę rzecz, pisząc w liście do Rzymian tak: „Kto się sprzeciwia władzy, sprzeciwia się samemu Bogu", to znaczy, że posłuszeństwo jest nietylko obowiązkiem, ale jest czemś, co nas czyni przed Bogiem wielkimi, dostojnymi, bo sługami tego, który powiedział do zwierzchników: „Kto was słucha, mnie słucha!" — — I w tej wierze, że tak jest, zamyka się cały sekret posłuszeństwa u Świętych, oni mieli silne przekonanie o tem, że podmiot władzy, osoba przełożonego, ma od Boga samego upoważnienie, by rozkazywać, że jej rozkazów należy słuchać, im się poddać — i tylko pychą zaślepiony człowiek może twierdzić, że tak nie jest.

Posłuszeństwo jest probierzem wiary.

Wszyscy o tem wiedzą, — a co jest także podstawową zasadą etyki, że każdy prawodawca, ustanawiając prawo, opatruje je sankcją, tj. wyznacza nagrodę za zachowanie prawa, a karę za gwałcenie i przestąpienie tegoż i bez takiej sankcji prawo nie miałoby siły, mocy, nie miałoby dobrego sensu; ludzie nie są tak doskonali, by poświęcali swoją wolność bez żadnej za to nagrody, a z drugiej strony są zanadto zepsuci i do wolności przywiązani, by jej nie nadużyli

wtedy, gdy wiedzą, że ich za to nie spotka żadna kara. Otóż Bóg, najmądrzejszy prawodawca i źródło wszelkiej władzy, obwarował swoje przykazania nagrodą i karą, i tylko posłuszny poświęca swoją wolę dlatego i na to, by obiecaną nagrodę otrzymać, uniknąć kary. — Przeciwnie człowiek zły, przewrotny nie słucha, łamie rozkazy, gdyż ani kary się nie boi ani nagrody się nie spodziewa, ten ostatni podobny do chorego, który nie chce przyjąć lekarstwa w przekonaniu, że ono go nie uzdrowi, a może mu zaszkodzić.

Posłuszeństwo jest dowodem miłości.

Kochać Boga — co jest pierwszym i największym obowiązkiem człowieka, — znaczy, podlegać woli bożej i z nią się najzupełniej zgadzać; chcieć zbliżyć się do Boga inną drogą, w inny sposób, byłoby niedorzecznem, bo znaczyłoby to samo, co chcieć być równocześnie przyjacielem bożym. I tu właśnie poznaje się całą doniosłość i wagę cnoty posłuszeństwa: w życiu duchownem posłuszeństwo to ośrodek i kościec świętości, to najbardziej zasługująca ofiara, jaką stworzenie może ze siebie zrobić dla Stwórcy. — Bo i cóż przez posłuszeństwo my dajemy Bogu? dajemy Mu naszą wolę, to jest to, co mamy najdroższego, czem jesteśmy, dajemy Mu samych siebie. — Prawda, że Bóg do naszej woli ma prawo, boć nam ją dał przez stworzenie, ale jednak w naszej mocy zostawił tejże woli użycie, dobre lub złe, On tę naszą wolę szanuje, nie zadaje jej gwałtu, tak dalece, że w obrębie, w zakresie praw fizycznych, my możemy tej wolności woli użyć wedle upodobania, nawet dla zaspokojenia zdrożnych zachcianek z pogwałceniem najświętszych przykazań. Ale, gdy pomni na nasze obowiązki, składamy naszą wolę Bogu na ołtarzu poświęcenia, przez

posłuszeństwo, wówczas zrzekamy się korzystania z wolności z miłości ku Temu, który nam ją dał. Większego dowodu miłości ku Bogu nie możemy okazać, jak gdy przez posłuszeństwo poddajemy wolę naszą Jego świętej woli. „Lepsze jest posłuszeństwo niż ofiary".

Posłuszeństwo jest matką pokory.

Nie trudno się o tem przekonać — bo i któż znowu poddaje swoją wolę pod wolę drugich? — Oto pokorny, który nie ufając swemu rozumowi, niedowierzając swym poglądom i przekonaniom, pyta o radę drugich mądrzejszych, oświeceńszych od siebie. Człowiek pokorny nie przecenia siebie ani swoich sił i zdolności, wie, że jest omylnym i może łatwo zbłądzić, dlatego woli, by jego czyny, nim je wykona, były poddane pod sąd i kontrolę tych, którzy tu na ziemi zastępują miejsce Boga. Całkiem inaczej postępuje człowiek pyszny, biada temu, ktoby się odważył stanąć na drodze jego wolności i niekrępowaniu się, on chce wszystko robić, o wszystkiem decydować sam, on nie uznaje za potrzebne kogoś się o coś zapytać i dlatego popełnia błąd za błędem, stacza się w przepaść, łamie kark; jedno posłuszeństwo mogło było od upadku go uchronić, od zguby ocalić.

Wreszcie posłuszeństwo rodzi pokój.

Postępowanie wedle swej woli, podług swego widzimisię, jest czemś — trzeba to przyznać — co daje człowiekowi zadowolenie, ukontentowanie, co go cieszy; zapewne, że tak jest, gdy chodzi o pewne osobiste wygody, przyjemności, przyzwyczajenia, nie podpadające pod żadne wolne prawo i pozostawione naszej dobrej woli; taka swoboda podoba się ludziom, jest dla nich pożądaną. Ale, jeśli przez taką osobistą

wolność będziemy rozumieć wyłamywanie się z pod prawa, uchylanie się od przepisów, gwałcenie zakazów, wtedy zamiast pokoju i zadowolenia ma się niepokój, zgryzotę, wyrzuty sumienia, rozstrój. Życie dostarcza bardzo wiele przykładów na potwierdzenie tej prawdy, bo i czemże jest anarchia, rewolucja, jeśli nie dziełem, robotą ludzi, którzy wypowiedziawszy posłuszeństwo i uległość władzy, zdeptawszy zwierzchność, szerzą wśród ludzi zamieszanie, którzy z zaciśniętemi pięściami, z furją w oczach, ze słowami przekleństwa i złorzeczeń na ustach, podnoszą bunt przeciw tym, co rządzą i rozkazują — czy tacy mogą mieć pokój? chyba pokój Kaina.

Tacy nieposłuszni wywrotowcy podkopują, podważają to, bez czego rodzina, państwo ani się utworzyć ani istnieć nie może, a tem jest: uległość dla władzy, poszanowanie prawa. Opisać się nie da, ile klęsk i nieszczęść spadło na świat przez rzucone i przyjęte przez ludzi hasło: nie będziemy słuchać, nie będziemy służyć! I jeśli teraz jeszcze nie ma zgody i pokoju między państwami, narodami, to przyczyną tego smutnego zjawiska najważniejszą, bodaj czy nie jedyną, jest, że nikt nie chce słuchać władzy, ulegać zwierzchności, natomiast każdy chciałby rządzić i rozkazywać.

Seraficki Ojciec gdy mówił, że z posłuszeństwa rodzi się pokój, nie co innego miał na myśli, jak to niezliczone mnóstwo dusz, które, pociągnięte słodyczą pokoju, opuszczały wszystko, by słuchać jego rozkazów i oddać się zupełnie pod jego kierownictwo, — szeregi naśladowców Franciszka, uzbrojone w cnotę posłuszeństwa, gotowe na każde jego skinienie, mogły śmiało wystąpić do pracy w Królestwie Chrystusowem i liczyć na pewne zwycięstwo.

I my, Bracia i Siostry Zakonu III, jeśli chcemy pozyskać pokój dla siebie i drugich, uchylajmy pokornie czoło przed prawowitą władzą i zwierzchnością, nie dajmy posłuchu pysze, która radzi bunt, opór, obiecuje korzyści, zdobycze, które nie są niczem innem jak urojeniem, chwilową fantazją, a które, zamiast pokoju i szczęścia, sprowadzają na ludzi zamęt, klęski, rozczarowania. — To, co człowieka prawdziwie uszlachetnia, co pokój pożądany sprowadza, to posłuszeństwo; ono wymaga uległości, poświęcenia, zaparcia własnej woli, wystawia nieraz na ciężkie, twarde próby, miłość własną rani dotkliwie, ale w nagrodę oddaje coś, co przewyższa wszelki zmysł, a tem jest słodkie poczucie spełnionego obowiązku, świadectwo dobrego sumienia.

Kochajmy tę cnotę na wzór Seraf. Ojca, który widział w niej ostoję wiary, nadziei, pokory, pokoju i uważał ją za spoidło wiążące człowieka z Bogiem; — jak przez nieposłuszeństwo Adama utraciliśmy prawo do nieba, tak teraz zdobywajmy napowrót to prawo przez posłuszeństwo, od tego zależy nasze zbawienie.

Razu jednego — jak czytamy w Ewangelji, — Chrystus Pan modlił się w ogrodzie oliwnym, pogrążony w bezbrzeżnym smutku, spowity ciemnościami nocy; to była chwila, w której ważyły się losy ludzkości; Zbawiciel pochylony ku ziemi trwał w męce konania, z duszą tak pełną goryczy i trwogi, że na Jego bladą twarz wystąpiły krwawe krople potu; widzi przed sobą anioła posłanego od Ojca jak trzyma kielich mistyczny, symbol męki, w którym były: bicze, gwoździe, plwociny, szyderstwa, urągania, korona z cierni, krzyż, — ten oto kielich miał Jezus wypić,

jego natura ludzka wzdrygała się przez chwilę przed spełnieniem bolesnej czary, prosi o zwolnienie, jeśli to możliwe, ale w tym momencie spostrzega, że taka jest wola Ojca Jego, decyduje się i wypowiada słowo „Fiat", niech tak będzie, niech się tak stanie. Jak przez „Fiat" został świat stworzony, niech przez „Fiat" będzie odkupiony.

W kurczach bólu wyszedł Chrystus na Kalwarję, przybity do drzewa zawisnął między niebem a ziemią, wreszcie umarł, by dokonać posłuszeństwa względem woli Ojca.

O tym dramacie, zaczętym w Getsemanji, skończonym na Golgocie, nie wolno zapomnieć synom i córkom Serafina z Assyżu. Amen.

Konferencja XV.

Z św. Franciszkiem na drodze posłuszeństwa.

Nic się ludziom tak niepodoba, jak wolność. O niej śpiewają pasterze wśród gór, o niej deklamują artyści i poeci w teatrach, o wolności rozprawiają uczeni w bibljotekach i salach szkolnych, o wolności mówią kapłani z kazalnic, o wolności prawi lud na zgromadzeniach publicznych i wiecach, słowem, o tej bogini, pięknej z widzenia, czarującej w spojrzeniu, hałaśliwej marzycielce nadziei, obietnic, mówi wszystko, co się rusza i żyje. I trzeba przyznać, że prawo do wolności człowiek nabywa już z tytułu przyjścia na świat; można się urodzić pięknym lub brzydkim, zdrowym lub chorym, silnie lub słabo rozwiniętym, ale nie można urodzić się wolnym, jak długo tejże wolności zasadą pozostaje cel, do jakiego Bóg człowieka stworzył. Innym tworom mającym odmienne od człowieka przeznaczenie, wytyczył Bóg prawa bytowania i życia, od których nie mogą odstąpić, do których nie mogą się nie stosować; słońce świeci, słowik śpiewa, róża pachnie, ziemia rodzi drzewa, trawy, zioła, woda płynie swem łożyskiem i tak zawsze, bo takie jest prawo ich natury, bo nie mają rozumu i woli potrzebnej do tego, by się zastanawiać, wybierać, zmieniać, decy-

dować. Jeden człowiek posiada ten wzniosły, piękny przywilej wolności, który go czyni panem stworzenia widzialnego, panem swych czynów. W używaniu tego przywileju ma człowiek, z bożego daru, najzupełniejszą swobodę, nikt nie ma prawa mu jej odebrać, a nawet nie może odebrać choćby chciał, bo wolność woli jest człowiekowi czemś tak wewnętrznem, że choćby go krajać w kawałki, nie można go zmusić, by chciał, czego nie chce, lub by nie chciał tego, czego chce.

Jednakowoż, z tego wspaniałego daru nieba, z wolności, nie należy się człowiekowi pysznić, gdyż ten dar, jak z jednej strony jest wysoki i wzniosły, tak z drugiej strony jest straszny, dlatego bo wystawia człowieka na niebezpieczeństwo, sprzeciwiania się Bogu, walki z Bogiem, z tym Bogiem, który stwarzając nas wolnymi, musiał z natury rzeczy tę wolę naszą ograniczyć, skrępować więzami moralnemi, poddać nas prawu. „Przed człowiekiem, mówi Pismo św. (Ekkles) życie i śmierć, dobre i złe, ogień i woda, co chce, niech wybierze, to mu będzie dane“ — Oto w czem leży straszne niebezpieczeństwo ludzkiej wolności, od niej zależy nasz los, dobry lub zły, zależnie od tego, czy tej wolności użyjemy dobrze czy źle. O tem winni pamiętać ci, którzy deklamują o jakiejś absolutnej niezależności człowieka od jakiejkolwiek władzy czy prawa, który dla zachcianek i kaprysów ludzkich nie uznaje granic, tacy mogą wołać: niech żyje wolność, ale zarazem — chcąc nie chcąc — muszą uznać, że jednak są obowiązki względem Boga, rodziny, społeczeństwa, które te wolność krępują. Ludzkość pójdzie poprzez wieki z wypisanym na sztandarze słowem: „wolność“, będzie się uważała za niepodległą, ale obowiązki wyżej wspomniane, mimo

wszystko, zostaną i zostać muszą, bo nie da się zmazać ani zatrzeć tego, co na naturze wypisał palec boży.

Wstydem i hańbą jest walka, jaka na świecie się prowadzi pomiędzy wolnością z jednej, a władzą z drugiej strony, z dnia na dzień rośnie liczba buntowników, którzy szerząc anarchję, wnoszą rozkład w życie religijne, rodzinne, społeczne, być może, że do stworzenia tego smutnego stanu przyczyniła się sama władza, zwierzchność, która, nadużywając nieraz swych praw, zapominając o swoich obowiązkach, osłabiła, zdyskredytowała siebie samą; jednakowoż to jest pewnem i zaprzeczyć się nie da, że główną sprężyną, motorem anarchji jest w zasadzie pycha i jej hasło szatańskie: „nie będę służył", powtarzane bezustannie przez miljony ust.

Idąc za duchem i przykładem Serafic. Ojca, przypatrzmy się bardziej zbliska cnocie posłuszeństwa, a znając już z poprzedniej konferencji wielką wartość tej cnoty, obaczmy, jak ona wygląda w życiu praktycznem: komu, kiedy i jak mamy być posłuszni.

Już wyżej wspomnieliśmy o tem, że naszej wolności, zakreśla granice Bóg, rodzina, społeczeństwo, jako władza absolutna, a głowy rodzin i społeczeństw jako władze pochodne. Że wolność człowieka może Bóg ograniczyć, to nie ulega najmniejszej wątpliwości; człowiek powołany do bytu jako mała cząstka wszechświata, od Boga ma, cokolwiek ma, czy to w zakresie natury czy łaski, Bóg jest jego panem absolutnym, może mu rozkazać, co chce.

Ale tę wolność może ograniczyć człowiekowi rodzina i społeczeństwo: to także pewnik jasny, bo jeśli rodzina i społeczeństwo dają człowiekowi, jako narzędzia w ręku Boga, istnienie, wychowanie, pomoc,

opiekę, to z natury rzeczy wynika, by tenże człowiek miał względem nich pewne obowiązki czy to spra wiedliwości, czy choćby tylko wdzięczności, to jest zasada elementarna, którą wszyscy rozumią i oceniają i chyba tylko ludzka zarozumiałość mogłaby przeciw temu różne stawiać kruczki i sofizmaty, uciekać się do krętackich wybiegów, jednakowoż nie potrafi obalić faktu poręczonego przez naturę i tejże natury twórcę — Boga.

Jak długo istnieć będą rodziny i społeczeństwa, tak długo mieć będą swoje święte, nieprzedawnione prawa, a te prawa pochodzą od Boga, który chcąc, by ludzie dla własnego dobra i rozwoju żyli ze sobą społecznie, zagwarantował je swoją boską sankcją, udzielając zarazem ludziom cząstkę swej władzy, bez której społeczność jakakolwiek aniby się utworzyć aniby istnieć nie mogła, toż nikt z ludzi nie mógłby powiedzieć: jestem przełożonym, macie mnie słuchać. A ponieważ wszyscy ludzie na jednem prawie się rodzą, żyją, umierają, stąd władza, któraby nie pochodziła od Boga, byłaby przywłaszczeniem, uzurpacją; do ludzi należy podmiot władzy oznaczyć i określić, czy to przez naturalny fakt, jak jest w rodzinie, czy przez wzajemną umowę, jak w społeczności domowo-służebnej, czy wreszcie przez wybór dokonany najwyższą wolą ludu, jak to ma miejsce i dzieje się w ustroju społeczno-państwowym, we wszystkich tych wypadkach Bóg zlewa swoją władzę na ludzi wybranych, którym, z prawnego tytułu, należy się od podwładnych uległość i posłuszeństwo.

Że tak, nie inaczej, rzecz się ma, to wyraził dobitnie św. Paweł w liście do Rzymian, pisząc: „Nie ma zwierzchności jeno od Boga, a które są, od Boga

są postanowione, więc kto się zwierzchności sprzeciwia, ten się bożemu rozporządzeniu sprzeciwia".— Naodwrót, kto zwierzchności słucha, Boga samego słucha; chcieć władzę osądzić bez odniesienia jej do Boga jako do jej początku, byłoby tak samo nierozumnem, jak chcieć mieć wodę, któraby nie wypływała z jakiegoś źródła. — O tem pewniku tak często, niestety, teraz się zapomina, stąd nie dziw, że poczucie obowiązku podlegania i słuchania władzy, coraz bardziej słabnie, ludziom tak trudno patrzeć w niebo, skąd od Boga przychodzi i spływa wszelka powaga i władza, zaczem idzie lekceważenie zwierzchności, skąd łatwo przychodzi do niepokoju, zamieszania w rodzinach i szkołach, do rewolt i zaburzeń w korporacjach, związkach, stowarzyszeniach, tak mało jest ludzi, którzyby w rozkazach władzy ludzkiej chcieli dosłyszeć, wyczuć głos boży.

Doświadczenie codzienne stwierdza, że ludzie tak lubią i tak im to łatwo przychodzi, doszukiwać się, wynajdywać u tych, którzy władzę dzierżą, same ujemne strony, podpatrywać to tylko, co w nich jest ludzkiego, krytykować od rana do wieczora ich braki, uchybienia, zaniedbania, w tym celu jedynie, by osłabić ich powagę, podważyć autorytet; a nie patrzą na przełożonych z tej strony, z której oni są przedstawicielami Boga, bez względu na to, czy są mądrzy i wykształceni czy nie, czy dobrzy czy źli, czy dają dobry przykład swem życiem czy zgorszenie. Św. Piotr, Apostoł, pisze: „Słudzy, bądźcie poddani panom we wszelkiej bojaźni, nietylko dobrym i roztropnym, ale nawet niegodziwym". W tej samej myśli pisze Seraf. Ojciec: „Podwładny winien uznawać w swym przełożonym nie człowieka ale tego, dla miłości którego jest po-

słusznym i poddanym; owszem, im bardziej na wzgardę, lekceważenie zasługuje przełożony, zwierzchnik, tem większa jest pokora i zasługa tego, który go słucha".

Zapewne nieraz bywa, że przełożeni sami dają powód do tego, że podwładni lekceważą władzę, że przełożonych nie szanują; samolubstwo, egoizm, brak poczucia obowiązku, niesumienność, niesprawiedliwość szorstkość, opryskliwość w obchodzenin się z podwładnemi są powodem, czy okazją do nieposzanowania tych, którzy stoją na czele, ale mimo wszystko należy stwierdzić, że więcej winy jest po stronie podwładnych. Niewątpliwie, ludziom bez odpowiednich kwalifikacyj nie powinno się dawać władzy w ręce, ale skoro raz im ją dano, należy, jak długo lepszej władzy nie ma, uznać istniejącą, jaka jest i słuchać jej we wszystkiem, co nie jest bożym przykazaniom przeciwne, a dla dobra ogólnego nieszkodliwe; zdrowa, chrześcijańska moralność tylko wtedy pozwala władzy nie słuchać, stawić jej bierny opór, gdyby ta, nadużywając swych praw i prerogatyw, rozkazywała coś przeciwnego bożym przykazaniom, bez względu na to, jaka ta władza by była, czy świecka czy choćby nawet duchowna.

Skoro już wiemy kogo trzeba słuchać, zobaczmy jakiem posłuszeństwo być winno, a zacznijmy od przytoczenia wypadku, jaki miał miejsce w życiu św. Franciszka. Pewnego razu jeden z braci okazał się nieposłusznym względem przełożonego. Franciszek kazał mu zdjąć habit i położyć się do głębokiego na ten cel wykopanego rowu, a braciom innym polecił rzucać na niego grudę ziemi tak długo, dopóki mu nie będzie widać samej tylko głowy; na-

stępnie św. Patrjarcha przyszedłszy do niego, pyta: „Czy ty bracie, naprawdę jesteś już umarłym? ten odpowiedział: „tak“ — wtedy Franciszek mówi: „jeśli jesteś umarłym naprawdę, do wstań z tego grobu i bądź posłuszny twemu przełożonemu tak, jak powinieneś i ani na jotę, ani na jedną kropkę nie sprzeciwiaj się jego rozkazom, na podobieństwo umarłego, który pozwala ze sobą robić wszystko i niczemu się nie sprzeciwia; chcę, aby wszyscy moi uczniowie byli w ten sposób posłuszni“.

Że sam święty Franciszek był tak posłuszny, o tem wiemy z jego testamentu, napisanego na łożu śmierci. „Pragnę, — mówi on tam — być zupełnie posłusznym Ministrowi generalnemu tego Bractwa i temu gwardjanowi, którego by mu się spodobało dać mi i chcę być tak związany w jego rękach, abym nie mógł iść ani robić nic wbrew jego woli, bo wiem, ze moim panem jest“. Braciszkowi, który chciał się dowiedzieć, kto jest prawdziwie posłusznym, odpowiedział św. Patrjarcha tak: „Weź ciało bez duszy, t. j. trupa, kładź go, gdzie i jak chcesz, on się ani nie opiera, ani nie narzeka, że mu źle leżeć, ani się żali, gdy się samego zostawia; toż i ten brat jest prawdziwie posłusznym, który się nie pyta, dlaczego mu tam a nie gdzieindziej iść kazano, lub dlaczego taką pracę i zajęcie mu wyznaczono, ani nie prosi o przeniesienie do innego klasztoru“.

Innym razem znowu mówił Franciszek do swoich braci o posłuszeństwie: „Między wieloma łaskami, jakie mi dobroć boża w swem miłosierdziu udzieliła, jest ta, że równie chętnie byłbym posłusznym nowiciuszowi, który dopieroco wstąpił do Zakonu, gdyby mi go dano za gwardjana, jak i innemu Bratu naj-

starszemu i najpoważniejszemu". — Kto czyta kroniki franciszkańskie, ten się musi zdumieć, jak namiętnie kochał Franciszek cnotę posłuszeństwa i jak gorąco polecał ją swym duchownym synom.

On był tego zdania, że rozkaz przełożonego w klasztorze nie powinien podlegać żadnej dyskusji ani krytyce, że w spełnieniu zlecenia nie śmie być zwłoki, że przełożeni winni być bardzo surowi względem tych, którzy okazują choćby trochę tylko przywiązania do własnej woli i nie jeden raz zdarzyło się, że Seraf. Ojciec wydalił ze zakonu tych, którzy dla cnoty posłuszeństwa nie mieli należytego zrozumienia.

Z tego wszystkiego winniśmy, Bracia i Siostry Zakonu III, wyciągnąć dla siebie zbawienne nauki, my, którzyśmy przez zarozumiałość i fałszywą ambicję jeszcze się nie nauczyli być prawdziwie posłusznymi. — Przedewszystkiem żąda od nas Serafícki Ojciec, byśmy dla posłuszeństwa i przez posłuszeństwo byli do umarłych raczej podobni niż do żywych, wolę naszą stosowali do woli przełożonych, a zwalczali, stłumiali te uczucia miłości własnej, która, zanim usłucha, lubi rezonować, mędrkować.

Władze w dzisiejszych czasach dużo, może aż nadto dużo, się krytykuje; sądzi się, rozstrząsa nietylko jej czynności i rozporządzenia, ale nawet jej myśli i intencje; — wyszukuje się, sonduje ciemne, słabe strony tejże władzy, nie żeby ją ile można wytłumaczyć, z nią współczuć, ale żeby ją potępić, jej autorytet osłabić, z pod jej posłuszeństwa się wyłamać.

Zarządzenia, rozkazy władzy obrabia się, nicuje na wszystkie strony, tak, jak gdyby w tych rozkazach rozchodziło się zawsze o karę śmierci; takie zacho-

wanie się, postępowanie wobec władzy czegóż innego dowodzi, jeśli nie tego, że o właściwem, prawdziwem posłuszeństwie, nie ma się pojęcia, że w tem, co się robi, nie słucha się zwierzchności i władzy, ale się idzie za swoją wolą, za swojem upodobaniem i takie posłuszeństwo okaleczałe, kulawe, nie jest chyba cnotą i nie może sobie rościć pretensji do nagrody u Boga.

Według nauki św. Franciszka posłuszeństwo winno być skore, chętne, bez zwłoki: „Kto nie słucha zaraz, mówi Seraf. Ojciec, ten, o ileby nie miał słusznego powodu do ociągania się, lekceważy sobie ludzi, nie boi się Boga".

To upomnienie do tych zwłaszcza się odnosi, którzy nigdy nie mają czasu na wypełnienie rozkazów, a ile razy je spełniają to tak, jakby mieli ręce ze żelaza, a nogi z ołowiu. Do cnoty posłuszeństwa należy spełniać polecenia dokładnie, akuratnie, to znaczy w ten sposób, jak sobie przełożeni życzą, aby były spełnione. Wykonać rozkaz, ale nie po myśli przełożonego, to znaczy wykonać go źle, to znaczy lekceważyć sobie władze, obrażać sumienie, jest to tylko pozór cnoty posłuszeństwa, nie jej rzeczywistą istotą.

Do was, Bracia i Siostry Zakonu III, należy świecić tutaj przykładem, wy wśród wyznawców wiary Chrystusowej na świecie żyjących stanowicie czołowe, przednie szeregi, na które wszystkich oczy są zwrócone i religja, rodziny, społeczeństwo oczekują tego po was, tego od was żądają.

Wszak wiecie, że anarchiści, rewolucjoniści wszystkich czasów, nie wyłączając obecnych, występują pod hasłem wolności, nie w innym celu, jak aby przez wypowiedzenie posłuszeństwa zwierzchności i władzy, zburzyć istniejący porządek i przyprowadzić państwo

do upadku i ruiny, a tej piekielnej, niszczycielskiej robocie zapobiec może i przeciwstawić się jedynie posłuszeństwo, uległość dla prawowitej zwierzchności, tylko przez zachowanie tej cnoty możliwy jest na świecie między ludźmi porządek i pokój.

Syn Boży, Chrystus Jezus, posłuszny Ojcu niebieskiemu, posłuszny w Nazarecie Józefowi i Marji, posłuszny w tajemnicach swej męki i śmierci na krzyżu, wskazuje nam, że zadatkiem, rękojmią pokoju, szczęścia, zbawienia rodzin i całego społeczeństwa jest, obok wiary, nadziei i miłości, pokora i posłuszeństwo. Amen.

Konferencja XVI.

Z św. Franciszkiem na drodze ubóstwa.

Ludziom XX wieku mówić o ubóstwie, zachęcać ich do niego, wydaje się na pierwszy rzut oka, bolesną ironją; bo gdziekolwiek zwrócimy oczy, nie widzimy nic innego, jak braki, nędzę, ubóstwo, pod ciężarem których jęczy większa część ludzi; wszędzie, gdzie spojrzeć, widzi się ludzkie postacie strzępami odziane, wychudłe, głodem przymierające, to są ofiary ubóstwa, które zawsze było i będzie jednym z problemów, najbardziej ludzkość interesujących. Takie ubóstwo nie zalecać, ale zwalczać należy, bo ono nie jest cnotą, ale hańbą ludzkości; kto głodny, temu trzeba dać chleba, kto nagi, trzeba go okryć, dla bezdomnych należy się postarać o dach nad głową — takim ubogim mówić o zamiłowaniu ubóstwa, byłoby — powtarzamy jeszcze raz — krwawą ironją, okrutnem szyderstwem.

Ale to niedosyć polecać, zachwalać ubóstwo wszystkim w ogóle, nawet tym, którzy w życiu nigdy ubóstwa nie zaznali i wiedzą o niem tylko z widzenia, ze słuchu, to byłoby czemś daremnem, utopią. Bo i któżby się odważył i poco, podnosić głos przeciw tym miljonom, które z zapartym oddechem uganiają się za osiągnięciem, zdobyciem bożyszcza ze

złota, srebra, niklu, a choćby tylko z papieru, a które to bożyszcze nazywa się pieniądzem? Czyż nie wszyscy pracujemy gorączkowo nad tem, żeby ubóstwo od siebie jak najdalej usunąć? Czy to nie my jesteśmy, którzy chwalimy, podziwiamy zabiegi, poświęcenia, prace, zręczność, przedsiębiorczość tych, którzy doszli do większego lub mniejszego majątku? Musimy przyznać, że głód złota trapi wszystkich i nikt sobie nie robi skrupułu, choćby poza granicą tego, co słuszne i uczciwe, ten głód zaspokoić, jak może i umie najlepiej; ktoby się kusił ludzi przekonać, że nie tak, ale inaczej postępować należy, ten byłby marzycielem, fantastą.

Więc wobec tego powie może niejeden, — ubóstwo przestało być i nie jest już tą perłą ewangeliczną, którą Chrystus ukazał światu, polecił nabywać, którą Święci za tak drogą cenę kupowali? I owszem, jest nią, jeśli się ją ogląda, ocenia z punktu jej prawdziwej wartości. Ubóstwo, które obowiązuje człowieka pozbyć się tego, co ma, które zabrania mu starać się o to, by coś miał, takie ubóstwo — mając na względzie obecny stan rzeczy — nie jest, powtarzamy, dla wszystkich; na to godzą się nawet ci, którzy dla tradycji apostolskich, dla rad ewangelicznych mają wiele pietyzmu, nawet oni uznają, że ubóstwo w tym sensie pojęte nie może być nakazem obowiązującym wszystkich.

Natomiast nie przywiązywać serca do tego, co się posiada, to, co zbywa po zaspokojeniu własnych potrzeb, rozdzielać, rozdawać między tych, co nic nie mają, wspierać nędzarzy, nie pozwalać sobie na zbytki podsycające żądze, to jest ubóstwo, do którego są obowiązani ludzie każdego wieku, każdego stanu, takie ubóstwo jest zadatkiem nietylko duchowych dóbr, ale nawet doczesnego, materjalnego powodzenia.

Takie ubóstwo polecić, do takiego ubóstwa zachęcić chcemy w niniejszej konferencji wszystkich ludzi wogóle, a tercjarzy w szczególności, — tercjarzy, którzy pod banderą Seraf. Ojca służąc, winni bardziej niż ktokolwiek jaśnieć, odznaczać się tą cnotą ubóstwa, tak ukochanego przez ich Patrjarchę. On poprzez wieki nosi miano „Biedaczyny“ z Assyżu, nie dlaczego innego, tylko, że w aureoli cnót okalającej jego skronie najjaśniej widnieje ta, którą wypielęgnował, wyhodował w ogrodzie ubóstwa. Osiągnąć te wyżyny ubóstwa, do których on doszedł, kusić się nie możemy, ale stawiać za nim kroki, choćby nieśmiało i z daleka, na to powinniby się zdobyć pobożni jego naśladowcy, do których w pierwszym rzędzie należą tercjarze.

Żeby zrozumieć to najwyższe ubóstwo Franciszkowe, trzeba się postawić na tym punkcie, na którym on się postawił, mianowicie, z prostej rady ewangelicznej, przez Jezusa Chrystusa zaleconej, on zrobił sobie nakaz, zaprzysiężony ślubem, — przykłady tej cnoty, jakie dawał, trzeba nazwać heroicznemi, one zasługują na to, by je przedstawić jego duchownym synom i córkom w tym celu, aby swoje serca coraz więcej odrywali od ziemi, a zapalali pożądaniem rzeczy niebieskich.

Pewnego razu stanął przed Chrystusem Panem młodzieniec z bogatego rodu i zapytał: „Mistrzu, co mam czynić, ażebym osiągnął żywot wieczny?“ a Jezus mu odpowiedział: „Jeśli chcesz dostać się do nieba, chowaj przykazania“. Na to młodzieniec mówi: „Przykazania zachowałem od młodości mojej, chciałbym jeszcze wiedzieć, czego mi nie dostaje?“ A Pan Jezus na to odrzekł: „Jeśli chcesz być doskonałym,

idź, sprzedaj, co masz, rozdaj pieniądze ubogim, a potem przyjdź i naśladuj mnie".

Oto słowa, któremi Jezus Chrystus założył na ziemi królestwo dobrowolnego ubóstwa, dając mu równocześnie najwyższe pochwały. Przed przyjściem Chrystusa na świat ubóstwo było w pogardzie, w poniewierce, uważano je za nieszczęście, niemal za hańbę i poniżenie człowieka, pierwszy Chrystus Jezus przywrócił ubóstwu honorowe, zaszczytne miejsce i poślubił je sobie w żłóbku betlejemskim.

Po Jezusie Chrystusie, w ślady jego wstępując, zbratało się z ubóstwem wiele odważnych i gorących dusz, dochodząc w jego zachowaniu do szczytów bohaterstwa; ale tym, który, niby orzeł, wzniósł się ponad wszystkich, był bezsprzecznie Seraf. Ojciec Franciszek; w jego życiu nie ma nic tak wspaniałego, tak pełnego poezji, jak miłość dla „pani" ubóstwa.

Opierając się na tem, co wiemy o życiu Franciszka, musimy stwierdzić, że do tej cnoty miał jakby wrodzoną skłonność, matka-natura obdarzyła go sercem bogatem w uczucie miękkie, delikatne, wrażliwe; wiadomo, że od dziecka, kiedy nawet marzyć jeszcze nie mógł o tem, że ubóstwo obierze sobie kiedyś za oblubienicę, miał wiele sympatyj dla ubogich i dużo okazywał im współczucia, lubiał wśród nich przebywać, ich towarzystwo było mu miłe, hojnie rozdzielał jałmużny, nie szczędził dla nich słów serdecznej pociechy. Jednego dnia, gdy w sklepie swego ojca rozmawiał z kljentami, przyszedł ubogi, prosząc o jałmużnę w imię Boga. Franciszek zniecierpliwiony odprawił go z niczem, ale zaraz, wyrzucając sobie takie niegodne obejście się z żebrakiem, pomyślał sobie: „Czegobym nie zrobił, gdyby ten człowiek przyszedł

był prosić o coś w imię hrabiego lub barona, tymczasem ja odepchnąłem człowieka proszącego w imię Boga, postąpiłem jak ordynarny prostak.“ I natychmiast, zostawiwszy samych kljentów w sklepie, pobiegł za ubogim i obdarzył go hojnie jałmużną. Ani on sam, ani drudzy przypuszczali, że to były pierwsze kroki do zalotów skierowanych ku „pani ubóstwu. A jednak tak było istotnie, jego współczucie dla biednych miało się w krótkim czasie rozwinąć w potężną, głęboką miłość dla wzgardzonego, przeklętego od ludzi ubóstwa; powoli, w miarę jak zzuwał ze siebie starego człowieka, rozrastała się, olbrzymiała w jego sercu miłość dla zapoznanej cnoty. Ustawicznie o tem myślał, a nawet bywało szukał rozrywki wśród wesołej drużyny, by na chwilę przerwać myśli, ale naprożno, te same myśli wracały i prześladowały go wprost tak, że z zabaw wracał zdegustowany do domu, nareszcie zrozumiał, że z przeszłością trzeba zerwać stanowczo i pójść tam, dokąd go wołało uczucie i tak też zrobił.

Pewnego wieczora zaprosił towarzyszy swych zabaw na bankiet do siebie, przyszli chętnie, nie tyle, aby się zabawić, lecz aby wybadać zamiary i projekty Franciszka, który od jakiegoś czasu stał się milczący, tajemniczy, zamknięty w sobie i myśleli przez chwilę, że uczta będzie wstępem do jakichś nowych, wesołych przedsięwzięć i już naprzód życzyli mu dobrego powodzenia, ale niestety, zawiedli się. Po uczcie, która się przeciągnęła do późnej nocy, wyszli na ulice rozbawieni, śpiewając i grając zwyczajem trubadurów, aż oto uszedłszy kawałek drogi, spostrzegają ze zdziwieniem, że Franciszka nie ma między nimi, wracają z powrotem smutni, szukają go i znajdują w kącie

domu, opartego o ścianę, pogrążonego jakby w ekstazie, nie wiedzącego, co się wokoło niego dzieje, ruszają go, budzą i pytają, co mu jest i słyszą jakiś tajemniczy głos mówiący: „Czy nie słyszycie, nie widzicie, że on myśli o wstąpieniu w związek małżeński?“ a Franciszek oprzytomniawszy, mówi: „Rzeczywiście tak jest, myślę o zaślubieniu pani tak pięknej, czystej, bogatej, że sobie tego wyobrazić nie potraficie“, a mówił to z taką miną, z takim uśmiechem na ustach, jakiego dotąd nigdy u niego nie widzieli.

Pani ubóstwo odniosła triumf nad jego sercem; mistyczne zaślubiny były zrobione, brakowało tylko jeszcze pewnych, zewnętrznych formalności, to znaczy: wyrzec się ojcowskiego dziedzictwa, zrzucić ze siebie drogie, wytworne ubranie, zamieszkać w grocie czy szałasie, nie przyjmować pieniędzy, żyć o żebranym chlebie, nie żalić się, nie skarżyć na żadne braki. Takie obietnice dopełnić postanowił, przyrzekł Franciszek swej pani ubóstwu, by się jej bardziej spodobać, więcej ją do siebie przywiązać.

Za jaki miesiąc widzimy go na pobożnej pielgrzymce w Rzymie, jak na placu św. Piotra rozprawia z żebrakami, patrzy na ich podarte ubranie, wychudłe twarze, na ręce wyciągające się po jałmużnę i myśli, jak wielką przyjemność zrobiłby swej „pani“, gdyby do tych dziadów przystał, a jednemu z nich gdyby odstąpił swoje lepsze ubranie. I tak też zrobił; przebrawszy się za dziada, w łachmanach prosił przez cały dzień przechodniów o wsparcie, a twarz miał przytem rozpromienioną od radości, że nad pychą, nad samolubnem przywiązaniem do świata, odniósł takie zwycięstwo, obiecując sobie jeszcze większe odnieść w przyszłości.

Po powrocie do Assyża widzi, że jego ojciec jest bardzo zły na to, iż syn, nie dbając o honor, reputację rodziny, oddaje się dziwacznemu, wzgardliwemu życiu, że się wystawia na śmiech i szyderstwo ludzi, w przystępie gniewu skazał syna na kilkudniowy, domowy areszt, z którego matka Pika, korzystając z chwilowej nieobecności męża, Franciszka uwolniła. Piotra Bernardone rozgniewało to jeszcze bardziej, porwany furją pozywa syna przed sąd assyzkiego biskupa, żądając, aby on albo wymógł na Franciszku przyrzeczenie żyć tak, jak dawniej, albo, gdyby się na to nie zgodził, aby zrezygnował z prawa do majątku ojcowskiego; pierwszego nie mógł biskup od Franciszka żądać bez pogwałcenia prawa osobistej wolności, ale zażądał warunku drugiego, na który Franciszek zgodził się bardzo chętnie. On z dóbr doczesnych zrezygnował w swem sercu już wtedy, gdy „panią“ ubóstwo zaślubiał, teraz zaś był zadowolony, że mógł to zrobić publicznie, urzędowo, wobec władzy duchownej i całego mieszczaństwa, które było ciekawe usłyszeć wyrok biskupa. Franciszek zapytany, czy zrzeka się dziedzictwa ojca, odpowiedział: „tak“, a nawet zdjął ze siebie ubranie i oddał ojcu, by wszyscy zrozumieli, że ten krok, ta zmiana życia Franciszka, jest początkiem wielkich, nadzwyczajnych rzeczy.

Od tego przełomowego dnia Franciszek był spokojniejszy, mógł swobodnie oddać się wewnętrznemu życiu, całe godziny spędzał w samotności, przeważnie wśród pól, gdzie modlił się, śpiewał kancony do swojej ukochanej „pani“ mistycznie poślubionej, jego poetycki, trubadurski duch, który był się nieco stępił w walce, jaką staczał ze sobą, teraz odżył, obudził się na nowo, po zwycięskim kryzysie, po mistycznem

weselu z panią ubóstwem, rozkwieciły się poetyckie jego nastroje i wzloty.

W kościółku Porcjunkuli, u stóp Matki Boskiej Anielskiej, dokąd uczęszczał na msze św. otrzymał potwierdzenie, aprobatę tego, co uczynił dla swej „pani", bo oto słyszy kapłana czytającego z Ewangelji te słowa Chrystusa: „Królestwo niebieskie się przybliżyło, idźcie, opowiadajcie Ewangelję, uzdrawiajcie chorych, oczyszczajcie trędowatych, wskrzeszajcie umarłych, wypędzajcie czartów z opętanych; darmoście otrzymali, darmo rozdajcie, nie czyńcie sobie skarbów ze złota, srebra, nie zbierajcie monety do mieszków waszych, w podróży nie miejcie ani trzosów, ani dwóch tunik ani butów, ani laski, bowiem robotnik godny jest swej strawy."

Te słowa były dla Franciszka nowem objawieniem, były potwierdzeniem postanowień już uczynionych, a zarazem programem pracy na przyszłość, wyzuwa obuwie, przyodziewa grubą ostrą tunikę i biedny jak ptak niebieski, puścił się w świat opowiadać wesołą nowinę. — Życie jego nie było długie, ale pełne prac, trudów, cierpień, dokuczały mu różne choroby, nieraz śmiertelne, mimo to, opowiadał Ewangelję, kierował Zakonem z gorliwością nadzwyczajną, troskliwy o zachowanie reguły i postęp duchowny swych Braci; swej „pani" nie sprzeniewierzył się nigdy mimo, że niektórzy, jak brat Eljasz, prosili go, by przepisy dotyczące ubóstwa nieco złagodził, pod tym względem Franciszek był uparty, nieustępliwy, on na ubóstwo był bardziej chciwy i łakomy, niż ludzie na złoto. — W jednej jedynej tunice chodził do śmierci, a gdy mu czego brakowało, mówił sobie dla pociechy: „Synowi

Bożemu brakowało miejsca, na którem mógłby oprzeć swą głowę, — Bóg mój i wszystko".

Nie możemy sobie odmówić przyjemności przytoczenia tutaj modlitwy, ułożonej na cześć ubóstwa przez Seraf. Ojca: „Boże litościwy, miej miłosierdzie nademną i nad „panią" ubóstwem, z miłości dla której ja tak cierpię, że spokoju nie mogę nigdzie znaleźć, ani dać sobie rady. Ty, o Boże, w niej mnie zakochałeś, ona taka biedna, przez ludzi opuszczona, odepchnięta, ona, królowa cnót, siedzi smutna jak wdowa opłakująca swego męża, siedzi na śmietnisku i płacze, że przyjaciele ją opuścili, i jakże za to wszystko jej nie kochać! — Najuboższy Jezusie, proszę Cię, daj mi ten najdroższy klejnot, ubogać mnie tym skarbem tu na ziemi i w wieczności: Amen." Oto niebotyczne wzloty duszy natchnionej, zakochanej w ubóstwie aż do zapamiętania, aż do obłędu.

Gdy o ubóstwie mówił Franciszek do Braci jako o drogiej perle zapoznanej przez ludzi, wtedy twarz jego rozpromieniała się, nabierała blasku, oczy się ożywiały, z ust padały słowa entuzjastycznego natchnienia, gorącego pragnienia, by jego Zakon spoczywał osadzony na ewangelicznem ubóstwie jak na niewzruszonej skale, na co też w regule położył szczególny nacisk.

Od śmierci św. Franciszka upłynęło 7 wieków i jeśli Zakon jego, poprzez różne, dobre i złe, koleje losów przetrwał do dziś dnia i w Kościele Chrystusowym niepoślednie zajmuje miejsce, to tylko dzięki ubóstwu, to jego sekret, to jego cecha charakterystyczna jednająca mu podziw i sympatje. „Usuńcie z mego Zakonu ubóstwo, mówił Seraf. Ojciec, a rozpadnie się w gruzy, pójdzie w ruinę." Szczytem jego miłości dla

ubóstwa było to, że umierając prosił, by szatę z niego zdjęto i na gołej ziemi położono, wtedy dusza, nic wspólnego nie mająca z tem, co ziemskie, swobodnie uleciała w otchłań przepastną błogosławionej wieczności.

Ludziom przywiązanym do dóbr tego świata wydadzą się rzeczy tu opowiedziane trudnemi do wiary, a jeszcze trudniejszemi do naśladowania, to prawda, ale dla tych, co noszą habit św. Franciszka a jego regułę mają za drogowskaz życia, jest zrozumiałem, że ich Patrjarcha jest tak wysoko w niebie za to, że tu na ziemi był pokorny i ubogi, że walczył z żądzą posiadania bogactw, że do ubóstwa zachęcał słowem i przykładem.

Kto patrzy na nieśmiertelne freski Giotta i czyta poezje Dantego, opiewające pokorę i ubóstwo Serafina z Assyżu, temu nie trudno zrozumieć, odczuć i pokochać słowa Ewangelji „Błogosławieni ubodzy, bowiem ich jest Królestwo niebieskie.“ Amen.

Konferencja XVII.

Z św. Franciszkiem na drodze ubóstwa.

Żeby się nie lękać ubóstwa wogóle, a ubóstwa św. Franciszka w szczególności, trzeba mieć oczy duszy czyste, głęboko patrzące, oglądające rzeczy z wielu punktów, nie wyłączając punktu duchowego. Ubóstwo widziane rzutem oka, jakby z lotu ptaka, nie przedstawia się wcale ani obiecująco ani pociągająco. Żebrak chudy, wynędzniały, w brudnych, podartych łachmanach, nie sprawia dla oka bynajmniej miłego widoku, ludzie nie spoglądają chętnie tam, gdzie niedostatek i cierpienie. Ale skoro się raz dowiedzą, że ofiara, poświęcenie, zaparcie się, wyrzeczenie się, są rękojmią, zadatkiem wyższych, duchowych, nieśmiertelnych dóbr, nieprzemijającego szczęścia, wówczas przestają się uprzedzać do tych, którzy się zaciągają, pod sztandar ubóstwa, nabierają przekonania, że ubóstwo pod niepozorną wzgardliwą szatą, kryje nieprzebrane skarby, że jego apostolstwo niesie ze sobą szczęście, pokój i wolność, że ono jest rzeczywiście tą perłą ewangeliczną o nieocenionej wartości.

Ubóstwo z tego punktu widziane, przestaje być strasznem, owszem przedstawia się jako coś bardzo korzystnego, pożądanego, godnego miłości tych, którzy nie chcą być niewolnikami tego, co posiadają, nie chcą

podlegać tyrańskim, kapryśnym żądzom i namiętnościom, nie chcą skarbów nieba utracić kosztem przywiązania serca do dóbr doczesnych.

Przykład tego daje Seraf. Ojciec, któremu nie wymowne pociechy sprawiało to, że „panią“ ubóstwo miał za swoją oblubienicę. Jednakowoż, powtarzamy, kto chce zrozumieć wyższość ubóstwa nad bogactwa tej ziemi, ten oko duszy musi mieć głęboko patrzące i czyste, nie przyćmione mgłą żadnej namiętności, wolne od żądzy złota i srebra, która człowieka ciągnie tam, gdzie jest udręka duszy i grób prawdziwej wolności i szczęścia.

My, co się szczycimy mianem spadkobierców ducha Seraf. Ojca, patrzymy na ubóstwo i na bogactwa okiem pogodnem, nie zamąconem jakąkolwiek pasją, oraz tuszymy sobie, że umiemy należycie ocenić rzetelną wartość tak jednych, jak drugich — że, jak z jednej strony nie chwalimy przesadnie ubóstwa, pogardzając bogactwem, tak z drugiej strony nie wynosimy, nie przeceniamy bogactwa, potępiając ubóstwo; każdemu chcemy oddać, co jest jego.

Bogactwa są czemś dobrem czy złem? Mogą być jednem i drugiem, zależnie od tego, jak się ich używa, w każdym razie nie wolno człowiekowi być niewolnikiem bogactw ani żyć wyłącznie dla nich, niegodnym nieba jest ten, kto żyje przykuty do ziemi. — A ubóstwo znowu, czy jest ścisłym obowiązkiem chrześcijanina czy nie? Nie, — w tem znaczeniu, aby potrzeba było wyrzec się majątku, czy to odziedziczonego w spadku, czy uzyskanego, zdobytego pracą własną i przemysłem lub darowizną; natomiast jest obowiązkiem nakazem, nie przywiązywać serca do tego, co się posiada; katolicka teologja wypowiada

się jasno w tym względzie, mając na myśli ubóstwo ducha, któremu Jezus Chrystus obiecuje w nagrodę królestwo niebieskie. Do takiego ubóstwa są obowiązani wszyscy chrześcijanie, ale w sposób szczególny jesteście obowiązani wy, synowie i córki Seraf. Ojca, i o tem oderwaniu serca od dóbr ziemskich, o tem ubóstwie duchowem chcę do Was przemówić w niniejszej konferencji, odkładając do następnej odpowiedź na pytanie, jak należy używać dóbr otrzymanych z rąk Opatrzności.

Jeden więcej, drugi mniej, jeden to, drugi owo, ale każdy z was coś kocha na tym świecie; to uczucie miłości dane nam jest od natury, która stworzyła w nas potrzeby, bez których nie możemy się obejść; w miłości bywają różne stopnie i napięcia, ale fibry serca drgają zawsze, nie można ich zmusić do milczenia. Z rzeczy, z któremi się stykamy, jedne uderzają wprost do serca i działają nań tak, że uczucie miłości zrywa się, wybucha jak fala wezbranego potoka — inne znowu, zanim się dostaną do serca, przechodzą przez alembik rozumu, który je krytykuje, analizuje, bada, czy są godne kochania, czy zasługują na miłość; a jeśli tak jest, to miłość w ten sposób zrodzona jest wyrachowaną, na pozór zimną, ale tak głęboką i mocną, że przetrwa do śmierci. Otóż miłość, jaką dla ubóstwa mieć winniśmy, należy do tego drugiego rodzaju, w umyśle poczęta, na rozumie osadzona, jest dlatego, by się następnie w sercu rozwinąć; ubóstwo nie należy do tych rzeczy, któreby nas wprost porywały, trzeba je naprzód przemyśleć, przestudjować, rozważyć jego naturę i skutki, a przedewszystkiem poszukać na kartach Ewangelji, a wtedy dopiero się widzi, jako ono ku sobie pociąga i zapala.

Ten, który przyszedł na ten świat nas odkupić, był ubogim w najwyższym stopniu, narodził się w stajni, gdzie za kołyskę służył mu żłób, za posłanie trochę siana, za ogrzanie oddech bydląt, był pozbawiony wszystkich wygód. Takie przyjście na ziemię wybrał Ten, który świat stworzył i który jednym aktem woli, jednem skinieniem wszechmocnem mógł wyprowadzić z nicości oceany dóbr wszelakich; wybrał jednak ubóstwo, by nas nauczyć i przekonać, że zbawienie nie polega na obfitości złota i srebra, ale na ubóstwie i cierpieniu. Jak się urodził w ubóstwie, tak w ubóstwie żył; chłopięciem, pacholem będąc w domu nazareckim pomaga swemu opiekunowi rzemiosłem zarabiać na codzienny chleb i skromne potrzeby życiowe, a gdy Nazaret opuścił, by rozpocząć misję apostolską, zleconą sobie przez Ojca, to uczynił to pod hasłem takiego ubóstwa, że mógł powiedzieć: „Lisy mają swoje jamy, ptaki gniazda, a Syn człowieczy nie ma, gdzieby mógł głowę położyć". Wsi i miasta przebiega w Galilei, głosząc wesołą nowinę bez pieniędzy, ubogo ubrany, głód zaspakaja jałmużną; chociaż bogactwa byłyby mu ułatwiły pracę, zjednały większy wpływ, więcej pozyskiwałyby zwolenników dla jego nauki, On jednak wybrał ubóstwo, by pokazać, że królestwo jego nie jest z tego świata, że nie na złocie i srebrze spoczywa. Po dokonaniu dzieła wychodzi na Kalwarję, by umrzeć ubogo, nago, tak, jak ubogo i nago się na świat narodził, dóbr materjalnych nie zapisał ludziom w testamencie żadnych, spuścizną nieocenionej wartości ale duchową były słowa wypowiedziane z krzyża, — a to wszystko dlatego, by zatwiedzić prawdę słów psalmisty: „Błogosławiony mąż, który nie poszedł za złotem i srebrem i który nie pokładał nadziei w pieniądzach i skarbach".

Nauka, jaką P. Jezus głosił o ubóstwie, była pełną prostoty i niezrównanej piękności: „Błogosławieni ubodzy duchem, bo ich jest królestwo niebieskie“. Te słowa znaczą, że kto reflektuje na niebo, kto chce się zbawić, ten nie powinien być przywiązanym do dóbr ziemskich tak dalece, że wedle słów tegoż samego Chrystusa: „łatwiej byłoby przejść wielbłądowi przez ucho igły, niż mającemu przywiązanie do bogactw dostać się do nieba“. Podobieństwo przeraźliwe, groźne, ale nieubłaganie logiczne, bo mówmy prawdę! Kto z nas nie wie, jak wielki, straszny wpływ wywierają na człowieka dobra tej ziemi? Doświadczenie smutne potwierdza aż nadto, że kto zatopił serce swoje w doczesnych posiadłościach, oddał się ich gromadzeniu, ten przestał myśleś i pracować dla nieba. — „Złoto potrafi otworzyć wszystkie bramy z wyjątkiem tej, która do nieba prowadzi“, — mówi mądre przysłowie. Żądza, namiętność posiadania ma to do siebie, że kogo opanowała, kto się jej poddał, ten nie jest zdolny do pojęcia, do zrozumienia dóbr duchowych, ten mniej jest zdolny, by o te dobra się starał, by je nabył, za czem idzie, że one stają się bożyszczem serca człowieka, któremu poświęca się wszystko, któremu służy wszystko, a biada! jeśli zaspokojeniu tej ubóstwionej żądzy stanie coś na przeszkodzie. Wówczas człowiek zdolny jest do wszystkich zbrodni, nawet do tej ostatniej, największej; odebrania sobie i drugim życia. Historja ludzkich namiętności tyle tragedyj już zapisała i jeszcze zapisuje na większą hańbę ludzkości.

Ludzie, których celem życia jest majątek i używanie, oczywiście nie zdają sobie sprawy z niebezpieczeństwa na jakie wystawioną jest ich dusza, ale to

pojmuje i rozumie ten, komu żądze i namiętności nie przyćmiły rozumu do tego stopnia, by nie potrafił ocenić prawdziwej wartości i sensu życia. Nie dla ziemi, a dla nieba jesteśmy stworzeni, więc ku niebu dążyć winniśmy, poniechawszy rzeczy ziemskie. „Nie mamy tu, mówi św. Paweł, trwałego miejsca pobytu, ale czekamy na obiecane nam w przyszłości". W tych słowach jest wyrażone wskazanie, że w pierwszym rzędzie nie o rzeczy doczesne zabiegać nam trzeba, ale o niebo, do którego wezwani jesteśmy, by żyć wiecznie.

Życie widziane z tego punktu pozwala również zrozumieć, jak bardzo niebezpieczną i groźną jest dla zbawienia rzeczą, niehamowana, nieposkromiona żądza i namiętność bogactw; że to jest ogromnie ciężki bagaż, który w drodze do nieba jest straszliwą zaporą i dlatego każdemu, kto o niebo kompetuje, zwłaszcza jeśli jest synem, córką św. Franciszka, winno być drogiem, cennem ubóstwo ducha, ono bowiem ułatwia pochód do nieba, dodaje skrzydeł.

I tutaj trzeba wyznać, że ubóstwo, nawet z materjalnej strony wzięte, pomijając jego stronę duchową — więcej przynosi korzyści, niż same bogactwa, bowiem ubóstwo uwalnia od tych trosk i kłopotów zatruwających ludziom życie, nienasycona chęć posiadania coraz więcej jest tym gryzącym robakiem, nie dającym nigdy spokoju ni we dnie ni w nocy, stąd niczyje życie nie jest tak pełne goryczy, niepokojów, obaw, co ludzi skąpych i łakomych, i miał słuszność jeden z siedmiu greckich mędrców, gdy mówił: „bogactwo jest zarzewiem wszystkiego złego".

Błędem jest wierzyć, że im więcej się ma, tem się jest szczęśliwszym. Prawda, że na ogół biorąc, ludzie uwa-

żają majątek za szczęście, ale i oni, w chwilach rozwagi i spokojnej refleksji, muszą przyznać, że dobra doczesne, ich nabycie, ich utrzymanie są dla życia duchowego udręką, są wielką przeszkodą na bożej drodze, o czem mogliby powiedzieć coś bogacze, którym ani we dnie ani w nocy nie daje spokoju myśl, w jaki sposób, jakimi środkami mogliby jeszcze więcej nabyć, niż mają; robak żądzy posiadania gryzie, niepokoi, odbiera swobodę myśli, krępuje wolność ducha, trzyma w niewoli, a gdzie niewola, tam nie ma pokoju i szczęścia. W jednym z listów apostoła Pawła są słowa wypowiedziane pod adresem ubogich w duchu, pełne głębokich myśli: „Nic nie mający, a wszystko posiadający". Słowa na pozór sprzeczne ale jakże prawdziwe! Nie posiadać doczesnych dóbr, nie mieć przywiązanego do nich serca, nie podlegać żądzy chciwości, ale za to mieć Boga i jego obietnice, cóż to za wspaniała wolność i niezależność ducha, co za pokój serca, nie dający się opisać! — Wyrazem tych nadziemskich skarbów są słowa tak często przez Seraf. Ojca powtarzane, a będące zarazem dewizą jego Zakonu: „Bóg mój i wszystko".

Razu jednego ganił biskup Assyża Franciszka za to, że siebie i swoich Braci zobowiązał do tak twardego ubóstwa, na co Franciszek odrzekł: „Księże biskupie, gdybyśmy mieli majątki, musielibyśmy mieć ludzi i broń do ochrony tychże przed złodziejami i bandytami, a to byłoby wielką przeszkodą w miłowaniu Boga i ludzi i dlatego nie chcemy nic posiadać na tym świecie". — Takiej mowy nie rozumie dzisiejsze społeczeństwo które chęć i żądzę posiadania wynosi nieomal do godności cnoty, a majątek uważa za największą nagrodę swych prac; bożek pieniądz jest dla dzisiejszych ludzi

tem, na czem spoczywa i od czego zawisnął społeczny ład i porządek, ludzie w swem zaślepieniu wierzą, że pomyślność narodu i państwa zależy od nagromadzenia jak największej ilości złota i srebra. Złudzenie świata zmaterjalizowanego godne pożałowania! — Ot, ileż lepiej byłoby na świecie, gdyby każdy, zamiast pieniędzy, dostawał za swoją pracę to i tyle, czego i ile mu potrzeba do życia, ileż spokojniejsi i szczęśliwsi byliby ludzie, gdyby nie zaślepieni mamidłami bogactw, stworzyli taki stan ekonomiczno-społeczny, któryby każdemu zapewniał chleb powszedni i utrzymanie nawet wtedy, gdyby przez chorobę lub starość stał się niezdolnym do pracy. Wszyscy to pojmują, że tak byłoby dobrze, że tak by być powinno, ale cóż, kiedy „święty głód złota“ udaremnia i obraca w niwecz szlachetne myśli, zamiary, przedsięwzięcia; może kiedyś w przyszłości nastaną takie czasy, że ludzie zapanowawszy nad chciwością i zachłannością bogacenia się, zaprowadzą więcej równomierny podział dóbr do życia potrzebnych, usuną krzywdzący, niesprawiedliwy rozdział ludzi na bogaczy i nędzarzy i w ten sposób stworzą podstawę do zaistnienia prawdziwego braterstwa wśród narodów.

Pierwszym jednak warunkiem do stworzenia takiego raju na ziemi jest, jak się powiedziało, opanowanie, zduszenie żądzy chciwości, będącej, wedle nauki św. Pawła, korzeniem wszystkiego złego, — do równowagi społecznej przyjdzie wtedy, gdy ludzkość we wspólnym chórze wniesie przed tron Boga modlitwę: Salomona: „Panie, nie daj mi ani ubóstwa ani bogactwa, ale to tylko, co mi do życia konieczne“. Zbyteczne dodawać, że na taką modlitwę może się zdobyć jedynie ludzkość pojmująca życie tak, jak chce Chry-

stus i jego kościół, mówiący przez usta Apostoła narodów: „żeśmy na tym świecie jak podróżujący pielgrzymi, którym nie wolno przywiązywać się do rzeczy doczesnych, a tylko ich używać na czas pobytu na tej ziemi". W życiu tak pojętem i urządzonem na modłę Chrystusowych przykazań nie byłoby miejsca dla kwestji społecznej, która od tysięcy lat czeka na załatwienie i jest w dalszym ciągu ropiącym wrzodem na organizmie schorzałej ludzkości; wrzód ten zagoiłby się bez reszty, gdyby chciano zrozumieć, że nie nauka, nie sztuka, nie wynalazki, nie udogodnienie życia na tym świecie posunięte nieraz do wyrafinowanych zbytków, sprowadzają szczęście i spokój, ale usłuchanie i pójście za słowami Chrystusa: „Jam jest droga, prawda i życie; chleb, który Ja daję, jest żywotem dla świata".

Razu jednego Franciszek, w towarzystwie brata Masseo podążał ku francuskiej prowincji, celem zwizytowania Braci Zakonnych: przechodząc przez puste pola napotkali źródło czystej wody a opodal wielki, płaski kamień, — na którym złożyli parę kawałków chleba po drodze użebranych. Franciszek uradowany w duchu rzecze: „Nie jesteśmy, Bracie, godni takich skarbów, takiej wystawnej uczty". — Towarzysz nieco zdziwiony temi słowami, mówi: „ani obsługi tu nie ma, ani nakrycia, ani potraw smacznych, ani szklanek na wino, jeno kawałki chleba na prostym kamieniu, a ty bracie Franciszku, nazywasz to wystawną ucztą; „toż to najwyższe ubóstwo". „Wówczas Franciszek odpowiada: „Właśnie ucztą jest wszystko, co tu widzisz, bo nie ręka ludzka, nie ludzki dowcip tę ucztę sporządziły, ale wszechmocna Opatrzność boża". Jakież zamiłowanie ubóstwa, jaka poezja przebija się w tych

słowach! — Niestety tak mało ludzi, którzyby tę mowę rozumieli! może jej nie rozumią dlatego, bo im to nie zostało dane, ale niechby przynajmniej pojęli to, że obowiązkiem nakazanym przez Chrystusa jest nie przywiązywać serca do bogactw, nie pokładać w nich szczęścia, że mu kto mniej przywiązany do ziemi, tem bliższy jest Boga i nieba.

Ubóstwo Seraf. Ojca niech będzie nam drogowskazem życia, pokochajmy tę cnotę, praktykujmy ją, jeśli nie w tym stopniu co on, to choć w jakiemś przybliżeniu; ubóstwo uczyni nam życie znośniejszem, ułatwi nam przejście przez burzliwe morze tego świata pełne żądz i namiętności, uwolni nas od wielu niepotrzebnych, przykrych trosk i kłopotów, a co najważniejsze, zapewni nam osiągnięcie celu ostatecznego, wyrażonego w słowach Chrystusa: „Błogosławieni ubodzy, albowiem ich jest królestwo niebieskie“. Amen.

Konferencja XVIII.

Z św. Franciszkiem na drodze ubóstwa.

Mijałby się z prawdą, ktoby twierdził, że dziś na świecie panuje spokój i zadowolenie; gdziekolwiek się zwrócimy wszędzie słychać narzekania, skargi na istniejący porządek rzeczy, a tym żalom, temu krytykowaniu wszystkiego towarzyszy nierzadko złowrogi pomruk, wywrotowe hasła podawane z ust do ust, drukowane w dziennikach i dające niedwuznacznie do zrozumienia, że tego stanu gwałcącego sprawiedliwość, prowokującego ludzi, nie można dłużej wytrzymać. I tych ludzi tak buntowniczo i niespokojnie usposobionych nie jest mała garstka, ale całe masy zorganizowane, zwarte, które w imię pewnych haseł, głoszonych słowem i piórem wzniecają ruchawki i zaburzenia społeczne. Tym masom, po części nieuświadomionym należycie, ale będącym tylko narzędziem w rękach kliki krzykaczy - demagogów, nie można zawsze wierzyć, przyznawać racji, brać w rachubę ich żądania; ale w każdym razie z tym ich krzykiem, hałasem, z postulatami należy się liczyć, brać je pod rozwagę, o ile są słuszne i na prawie oparte. Socjologom nie jest tajnem, że w ustroju państwowym ekonomiczno-społecznym dużo jest ustaw, które z elementarną sprawiedliwością pogodzić się nie dadzą,

a już co najmniej są niezdolne do zaradzenia potrzebom, mającym pierwszorzędną wagę i znaczenie dla życia zbiorowego. Żeby tylko dla przykładu wspomnieć i zapytać, jak ustawowo jest zabezpieczone położenie i los klasy robotniczej? Ileż tam niesprawiedliwości i pogwałcenia nieprzedawnionych, najświętszych praw! Albo znowu inne pytanie: jak rząd i społeczeństwo dbają o chorych, o sieroty, o wdowy? Czy istnieją jakie przepisy i ustawy gwarantujące im stałą i pewną opiekę prawną? A jednak takie ustawy powinnyby istnieć, gdyby hasła ewangeliczne o wolności, równości i braterstwie były nietylko na ustach i papierze, ale także i w życiu.

Są, co prawda, na ten cel stworzone dzieła dobroczynności publicznej i prywatnej, ale jakże mała, niewystarczająca jest ich liczba w stosunku do potrzeb! w dodatku pomoc, jaką te dzieła świadczą, ma charakter przeważnie jałmużny, która człowieka poniża i upokarza, zamiast co powinnaby być zagwarantowana prawem i to ściśle wykonywanem.

Ale to są rzeczy, które, jak na teraz, pozostać muszą w sferze pobożnych życzeń i może przyjdzie dzień, gdy cierpiąca, upośledzona, bezrobotna lub źle wynagrodzona warstwa ludzi da lepiej odczuć i zrozumieć konieczną potrzebę zajęcia się jej losem i przyznania jej należnych praw.

Na razie koniecznem jest, aby dobra wola i chrześcijańskim duchem ożywieni ludzie skupili swoje siły obmyśleli środki przyjścia z doraźną pomocą w rozpaczliwem położeniu kroci tysięcy głodujących i Bóg i natura wzywają nas do tego braterskiego apostolstwa, które jak z jednej strony wymaga dużo pracy i ofiarnych poświęceń, tak z drugiej tyle przynieść może błogosławionych owoców.

W poprzedniej konferencji była mowa o tem, że naszych serc nie powinniśmy przywiązywać do dóbr ziemskich, że nam nie godzi się zostawać w niewoli żądzy będącej trucizną i kałem naszych dusz i grobem naszej miłości, ale to niedosyć, potrzeba, byśmy nasze dobra dzielili między potrzebujących braci, wtedy zwłaszcza, gdy to czynić możemy bez szkody i uszczerbku dla siebie; nauka ta nie jest moja, ale samego Jezusa Chrystusa, wyrażona w dziwnie dobitnych słowach Ewangielji: „To, co wam zbywa, dajcie ubogim". Wystarczyłoby te słowa wprowadzić w czyn, aby uzyskać społeczną równowagę i uspokoić umysły patrzące z goryczą na nadużycia popełniane przez klasę ludzi bogatych; poskromienie żądzy bogacenia się, byłoby zaspokojeniem koniecznych potrzeb klasy ubogich. Niestety, o tem wskazaniu ewangelicznem albo się nie wie albo się tłumaczy i przekręca dowolnie, także w życiu praktycznem ono przestaje mieć znaczenie i jakikolwiek wpływ. Co więcej, w objaśnieniach tego nakazu, o świadczeniu jałmużny spotyka się nawet u teologów tyle zastrzeżeń, wyjątków, takich objaśnień, że to przykazanie traci dużo na swej sile, piękności, uroku, a jest to rzeczą mniej godną, żeby nie powiedzieć niesprawiedliwą, iść na przekór woli bożej i oszukiwać własne sumienia ze szkodą bliźnich.

Jako katolicy mamy obowiązek dzielić się tem, co nam zbywa od istotnych potrzeb, tego żąda Bóg, tego żąda natura, tego od was tercjarze, domaga się św. Franciszek.

Przykazanie chrześcijańskiej miłości opiera się na wspólnem pochodzeniu, jednakowym początku wszystkich ludzi od Boga, Ojca stworzyciela; ludzkość jest

jedną wielką rodziną, której głową jest Bóg, a my członkami: ta rodzina, by mogła w zgodzie i spokoju dążyć do celu swego przeznaczenia, musi być spojona węzłem jedności i tak złączyć, sharmonizować swoje siły fizyczne i duchowe, by każdy z tych członków rodziny mógł posiąść te dobra, jakie mu są do życia i rozwoju potrzebne, a których, sam sobie zostawiony, nie byłby w stanie zdobyć. Ten sam Ojciec niebieski chcąc, by Jego rodzina osiągnęła swój cel, dał nowe przykazanie miłości, która ma łączyć serca i duszę dzieci w braterskim uścisku i prócz tego polecił świadczyć sobie nawzajem pomoc materjalną, rozciągającą się na wszystkie potrzeby cielesne człowieka, a nad rodziną tak uorganizowaną widnieją bez przestanku jasne promienie bożej opatrzności i dobroci. Ludzie nie mogą się skarzyć, użalać na Ojca niebieskiego, który tyle na świecie stworzył rzeczy pięknych i pożytecznych jedynie w tym celu, by ludzką rodzinę ubogacić i uszczęśliwić i począwszy od gwiazd, co błyszczą na firmamencie aż do najdrobniejszej roślinki, najmniejszego robaczka. — Całe stworzenie stanowi niezmierne, przebogate dziedzictwo, niewyczerpany szpichlerz ludziom zostawiony do użytku i dyspozycji. Bóg chce, by każdy z ludzi czerpał z tych nieprzebranych skarbów, by nikomu nie brakowało nic, co mu do życia potrzebne i wszyscy do tego mają prawo, bo wszyscy są dziećmi Boga, a między sobą braćmi.

Ale jeśli Bóg tego chce, to temsamem zakazuje każdemu przywłaszczać sobie to, co dla niego zbyteczne, czego mu nie potrzeba, zakazuje zaś raz dlatego, by nie podsycać żądzy zepsutej natury, powtóre, by zapobiec rozrywaniu braterskiej jedności przez

nadmierne zbieranie i gromadzenie dóbr przez jednych ze szkodą dla drugich, pokój między ludźmi nie byłby wtedy możliwy, skoro nie każdy mógłby posiadać tyle, ile mu do życia jest koniecznie potrzebne. Wiemy z doświadczenia, ile zaciętych sporów i kłótni powstaje w rodzinach z powodu nierównego podziału majątku między członków tejże, wiemy także, co potrafi i do czego doprowadza nieposkromiona zachłanność ludzka i ogromne kapitały w jednych rękach gromadzone trwoni się i marnuje, zamiast, coby powinny służyć do utrzymania setek tysięcy ludzi. Z tego powodu Jezus Chrystus rozkazał to, co zbywa, rozdzielić między ubogich i bardziej potrzebujących, a zachęcając do tej ofiary na rzecz ubogich, dodał: „Lepiej jest dawać niż brać".

Ewangelja św. przytacza charakterystyczny opis sądu ostatecznego, który się zakończy wspaniałą apologją miłości. Do wybranych stojących po prawej stronie powie Jezus; „Pójdźcie błogosławieni Ojca mego, weźcie w posiadanie królestwo zgotowane wam od założenia świata, albowiem byłem głodny, a daliście mi jeść, byłem spragniony, a daliście mi się napić, byłem podróżnym, a przyjęliście mnie do domu, byłem nagim, a odzialiście mnie, chorym a odwiedziście mnie, byłem w więzieniu, a przyszliście do mnie". Wtedy sprawiedliwi zapytają: „Kiedyż, Panie, my to wszystko Ci uczyniliśmy?" A Jezus odpowie: „Zaprawdę wam powiadam, ilekroć razy toście uczynili jednemu z tych moich braci najmniejszych, to jakby mnie samemu uczyniliście".

Następnie zwróci się do potępionych, stojących po lewicy i wyda wyrok skazujący ich na wieczną karę za to, że dla ubogich nie mieli miłosierdzia, że się nie podzielili tem z nimi, co posiadali.

Z tego możemy wyprowadzić ten wniosek, że nikt nie jest absolutnym panem tego, co ma, ale tylko użytkującym w miarę swoich potrzeb, zaś reszta, która mu zbywa, należy do tych, którzy nie mają, którzy potrzebują; Takie dzielenie się z ubogimi nie jest radą tylko, ale ścisłym obowiązkiem, nałożonym przez Boga, obowiązkiem gwarantującym sprawiedliwość i miłość między ludźmi.

Katolicka teologja, strzegąca i przechowująca w swoim depozycie nauki Chrystusa i przypominająca je ludziom, sformułowała kanon, streszczający w sobie myśl, jaką tu rozwijamy, a brzmi on tak: „w ostateczniej potrzebie wszystko jest wspólne", to znaczy: rzecz konieczna do uratowania życia bliźniego przestaje być własnością i należy do tego, który jej potrzebuje do zachowania życia. Stąd Ojcowie święci nazywają wprost złodziejami tych, którzy mają więcej, niż im potrzeba, nie rozdają między ubogich zbywającej im reszty.

Tego ducha Chrystusowego nikt lepiej nie pojął, jak św. Franciszek: jego życie było ciągłem poświęcaniem się dla drugich w uczuciu wielkiej dla bliźnich miłości zapominał o sobie, by o biednych pamiętać. Raz będąc w pobliżu Sienny napotkał ubogiego, który swym opłakanym widokiem obudził we Franciszku gorące współczucie; zwraca się do swego towarzysza i mówi: „Bracie, temu człowiekowi muszę oddać płaszcz, jaki mam na sobie, gdyż on do niego należy, albowiem otrzymałem go od dobrodzieja na tak długo, dopóki nie znajdę kogoś biedniejszego odemnie". „Ależ, Ojcze, mówi towarzysz, ty sam tego płaszcza bardzo potrzebujesz i byłoby nieroztropnem dawać go komu innemu". A Franciszek odrzekł: „Wielki

jałmużnik Chrystus, wziąłby mi to za złe, gdybym nie dał mego płaszcza temu, który go bardziej, niż ja potrzebuje i to powiedziawszy zdjął ze siebie płaszcz i okrył nim ramiona żebraka.

W taki prosty sposób rozwiązywał nasz św. Patrjarcha kwestją ekonomiczno-społeczną, nad rozwiązaniem której tyle się w naszych czasach wysila, wysusza mózgów, tyle pracuje głów i rąk i, jak widzimy, dotąd nadaremnie, a to dlatego, bo samolubne żądze tych, co posiadają więcej, niż im potrzeba, nie chcą przyznać, że ubodzy mają nieprzedawnione prawo do tego, co z bywa innym. Tem się tłumaczy zjawisko powszechnie spotykane, że bogaci to wszystko, co posiadają uważają za należące do „potrzeb" życia, z których nic nie mają do oddania na rzecz ubogich. Gdy tymczasem to nie jest nic innego, jak zaślepienie przez żądzę, nie mówiącą nigdy: „dosyć". Kto chce wypełnić przykazanie Chrystusa o miłości bliźniego, musi pamiętać, że to, co zbywa po zaspokojeniu rzeczywistych, godziwych, dozwolonych potrzeb, jest tą nadwyżką, która do ubogich należy. Któż był biedniejszym od św. Franciszka? a jednak on umiał zawsze znaleźć u siebie coś, co uważał za niepotrzebne, za zbyteczne i to odstępował ubogim. „Bracia, mawiał często, ograniczajcie się do tego i tem się kontentujcie, co koniecznie potrzebne z jadła i odzienia, bo co do mnie, to wyznaję i za to Bogu dziękuję, że jałmużny otrzymanej od ludzi nigdy nie nadużywałem ponadto, co mi było niezbędne, bałem się, by inni ubodzy nie byli przez to pozbawieni należącej im się porcji i nie posądzali mnie o to, że ich okradam, że naruszam ich własność, gwałcę ich prawo". Jest rzeczą jasną, że przeciw człowiekowi postępującemu wedle

tak surowych zasad, żaden ubogi nie śmiałby podnieść protestu lub mieć do niego jakikolwiek żal.

To nam zarazem tłumaczy, dlaczego Franciszek był taki hojny, niewyczerpany w niesieniu biedakom pomocy, rozdawaniu jałmużny... „Wiem o tem dobrze, mawiał, że jałmużnę przez ręce ubogiego świadczy się jakby Bogu samemu, który zobowiązał się być za nią dłużnikiem i oddawcą wielkiej nagrody, tylko w ubogich może być Bóg potrzebującym i na tem właśnie polega wielkie szczęście człowieka miłosiernego, że przez ubogich może coś dać ze swego Temu, który niczego nie potrzebuje i wszystkich dobrami obdarza. Wdowa ewangeliczna wrzuciła do skarbony kościelnej drobny grosz, na więcej nie było ją stać, ale ponieważ tę ofiarę na ubogich złożyła w dobrej intencji, z gorącem sercem, dlatego Chrystus Pan pochwalił ją za to publicznie, i stwierdził, że dała więcej niż inni, gdyż przez swój datek pozbyła się nawet tego, co mogła dla siebie zatrzymać jako potrzebne dla życia. Otóż i my chętnem sercem oddajmy na rzecz ubogich te nasze kruche, niestałe, zwodnicze posiadłości, nabywając sobie za nie dobra tak długo trwające jak sam Bóg; jałmużna jest dziedzictwem ubogich wystawionem dla wszystkich, przez wielkiego naszego brata, Chrystusa Jezusa, — podczas gdy wszystko, co tu na ziemi posiada człowiek, przepada i ginie dla niego w chwili śmierci, jedna jedyna jałmużna, którą świadczył za życia zawsze zielenieje i kwitnie. Co tu na ziemi, żyjąc, rozdamy ubogim, to w postaci dóbr wiecznych, odnajdziemy i odzyskamy w niebie".

Oto słowa podyktowane sercem wielkiem, pełnem bezmiernego współczucia dla ludzkich cierpień. Nie-

zwykle sympatyczna, przemiła postać Franciszka zyskuje jeszcze więcej przez to, że zapoznaną wartość jałmużny postawił na honorowem należącem się jej miejscu, że przypomniał ludziom, iż ona jest bramą do nieba, naprawicielką sprawiedliwości, węzłem łączącym ludzi ze sobą i usuwającym ten przedział, jaki żądza i chciwość żłobią między jedną klasą a drugą. Ubóstwo w ustach Franciszka to jakby nadobna, piękna bogini, która z czułością i troskliwością matki łagodzi ludzkie bóle, to anioł pocieszenia chroniący od rozpaczy.

„Pani“ ubóstwo, taka pełna poezji, w jednem się Franciszkowi sprzeniewierzała i wyrządzała mu przykrość, mianowicie wtedy, kiedy on, spotkawszy ubogiego, nie miał mu co dać, bo sam nic nie miał; jednak wówczas umiał na to znaleźć radę, szedł od drzwi do drzwi, prosił, zbierał jałmużnę, by ją następnie rozdzielić między ubogich; to samo polecił robić swoim braciom, których gościnność i wspieranie biednych znane są po całym świecie. Gdyby ten duch ożywił serca dzisiejszego pokolenia, jakże bardzo zmniejszyłaby się na świecie nędza, ileż osuszyłoby się łez, jaki nastałby pokój między ludźmi! Niestety, tego ducha nie ma, natomiast widzi się rozrzutność, zbytki, zabawy, marnotrawstwo posunięte nieraz aż do bezwstydu; ludzkie uczucia wysubtelniły się aż do przesady nie na to i nie w tem, by drugim dobrze świadczyć, ale by w sposób wyrafinowany przyjemności używać i w tem jest największa niesprawiedliwość, aką dzisiejsze społeczeństwo popełnia względem tych, co cierpią nie z własnej winy, których nieszczęścia, niby jakieś fatum, stale prześladują, dla nich nie ma się współczucia, choć to nasi bracia, choć to tak, jak

i my, dzieci Ojca niebieskiego; tego braku politowania dla nieszczęśliwych powinniby się ludzie więcej wstydzić i nareszcie się niemi zaopiekować, wziąć ich w obronę.

By królestwo braterstwa między ludźmi zaistniało, utrwaliło się na świecie, należy zakładać, ogranizować dzieła publicznej i prywatnej dobroczynności, tak, jak zawiązują ludzie między sobą różne stowarzyszenia naukowe, spółki handlowo-przemysłowe, koła sportowe i t. p. — tak niechby się łączyli w Związki mające na celu zaopatrywać w pożywienie tych, co cierpią głód, w odzież tych, co nie mają okrycia, w mieszkania i domy dla tych, co nie mają dachu nad głową, w lekarstwa dla tych, co chorują — na każdego z nas ciąży obowiązek zrobić jakieś poświęcenie, jakąś ofiarę dla bliźnich potrzebujących z tego, co mamy, tego wymaga po nas Bóg, którego wolą jest, by między członkami Jego wielkiej rodziny była miłość.

Ten nakaz weźcie sobie do serca specjalnie Wy Bracia i Siostry Tercjarze, żyjący pod godłem i sztandarem Serafina z Assyżu — jak jesteście obowiązani, więcej, niż kto inny, mieć ducha ubóstwa; serca oderwane od ziemi, nieprzywiązane do dóbr doczesnych, tak w stworzeniu dzieł dobroczynności nie powinniście dać się nikomu wyprzedzić — społeczeństwo ogląda się na was tak, jak sternik okrętu zaskoczonego burzą patrzy na morską latarnię, więc nie udaremniajcie ich nadziei, odwiedzajcie domy ubogich, zbliżcie się do łoża chorych z pomocą materjalną i słowem pociechy; dla opuszczonych wdów i sierot bądźcie aniołami pocieszenia. Amen.

Konferencja XIX.

Z św. Franciszkiem na drodze umartwienia.

W naszej sferze czyha się prawie zawsze o zawrzyma a niebezpieczeństwo to domowym wrogu, mającym w życiu codziennem bardzo poważną przewagę, bo jest jeszcze takim wrogiem jest ciało i jego zapędy zmysłowości ciągnące człowieka tam, gdzie go ciała zgubą, — wreszcie drugich znowu takim nieprzyjacielem jest tenże sam duch człowieka, który zostawszy pewnego moralnego zachwiania z powodu grzechu, zwanego pierworodnym, utracił jasność poznania swych obowiązków a w razie wykonaniu odczuwa pewną niemoc i opieszałość.

Na takie prawdy są podobno ci, którzy twierdzą, że tym wrogiem jest ciało i dusza razem wzięte; ciało podaje duchowi zatruty puhar, duch znowu ulega zaraz tak łatwo i prędko tym zmysłowym pokusom, by się nie narazić swemu nierozłącznemu towarzyszowi, nie rozgniewać go jedno i drugie, dusza i ciało, które ze sobą złączone w jedną istotę zwaną człowiekiem, mają ze sobą umowę, spółkę, kontrakt, wzajemnie się wyrzekają wzajemnie sobie pomagają. — I w tem właśnie porozumieniu tych dwóch wspólników, kryje się dla człowieka straszliwe niebezpieczeństwo, występujące pod maską, powszechnie używaną

nazwą, samolubstwa, egoizmu, miłości własnej; to jest ten wróg domowy, którego nosimy ze sobą i w sobie, którym jesteśmy my sami. Istnienie tego wroga jest faktem, niepodlegającym najmniejszej wątpliwości czujemy się owinięci, omotani jego splotami, uświadamiamy sobie jego wymogi, żądania, pretensje występujące w różnych formach i postaciach czy to zmysłowej przyjemności, cielesnego zadowolenia, czy próżności, ambicji, pychy, wynoszenia się nad innych, czy wreszcie zazdrości i łakomstwa, zmierzających nie do czego innego, tylko, by nam było miło, słodko, wygodnie.

To nam pozwala zrozumieć dlaczego Święci i wogóle wszyscy, co chcieli prowadzić pobożne, prawdziwe chrześcijańskie życie, nieubłaganą wypowiadali walkę temu wrogowi miłości własnej; oni pojmowali jasno, że kto nie chce się stać niewolnikiem samolubstwa, musi ustawicznie zwalczać, paraliżować tego wroga uroszczenia, zachcianki, będące prawie zawsze w przeciwieństwie do praw, które mają rządzić naturą rozumną człowieka. W tym celu umartwiali ciało, by mu nie pozwolić nad sobą panować, ale raczej służyć, umartwiali też ducha, by on, uniesiony pychą, nie targnął się na prawa boże, by nie poniewierał, nie deptał praw swoich współbliźnich.

My, jeśli nie chcemy, aby nas zdusiła żelazna obręcz samolubstwa, musimy mu wypowiedzieć walkę na śmierć i życie, inaczej czeka nas zguba; a ponieważ tu się rozchodzi o rzecz nietylko ważną, doniosłą, ale w swojej istocie bardzo skomplikowaną, dlatego ta walka musi być prowadzona umiejętnie, według strategicznego planu; wroga naszego nie możemy ani zanadto kokietować i mu schlebiać, ani go atakować

zanadto ostro, ponadto co słuszne, by przypadkiem nie zareagował w sposób dla nas szkodliwy. Byli i są tacy, którzy na polu walki z miłością własną, doszli do nadzwyczajnych wyników, do heroizmu i takich nie naśladować a raczej podziwiać możemy, oni zawsze będą należeć do wyjątków stwierdzających regułę przeciwną; — dla ogółu ludzi nie można wskazać innego prawidła, innej normy walki z miłością własną tj. umartwiania się, jak tę, która się zamyka w granicach zachowania prawa bożego; ono, bądź co bądź, było i pozostanie jarzmem, wędzidłem zbawczem dla ludzkiego samolubstwa.

Pisząc dla tercjarzy, od których się wymaga życia chrześcijańskiego w stopniu wyższym, pragnąłbym zwrócić ich uwagę na umartwienie, — na walkę ze samolubstwem — w znaczeniu nieco ściślejszem, o ile ono mianowicie zamyka w sobie coś więcej ponadto, do czego ogół chrześcjan - katolików jest obowiązany, oni, tercjarze, winni więcej od innych być gorliwi w umartwieniu i na ołtarzu całopalenia więcej spalać mirry umartwienia i pokuty.

W najogólniejszem znaczeniu należy przez umartwienie rozumieć ten wysiłek i gwałt zadany sobie w tym celu, by dotrzymać Bogu wierności w rzeczach nam nakazanych, bo choć być posłusznym Bogu jest czemś w najwyższem stopniu rozumnem i naszej naturze odpowiedniem, to jednak słuchać Boga nie możemy bez walki, bez opierania się buntowniczemu samolubstwu — doświadczenie przekonuje nas nie raz jeden o tem, że, aby spełnić obowiązek, wykonać moralną powinność, zdobyć się musimy na wielki trud, ciężki mozoł, że nieraz walkę ze sobą trzeba stoczyć, by pacierz dobrze zmówić, — innemi słowy, musimy

pokonać odważnie, stanowczo kaprysy, zachcianki miłości własnej, stojącej w poprzek moralnemu prawu, czyli musimy się umartwić.

W znaczeniu ściślejszem, można przez umartwienie rozumieć te odmawiania sobią czegoś, obywania się bez czegoś, jakie sobie sami nakładamy dla ćwiczenia się w cnocie lub też pewne surowości podejmowane w tym celu, by ciało trzymać łatwiej na wodzy i uczynić je posłuszniejszem, powolniejszem duchowi. Umartwienie wzięte w tem znaczeniu jest rzeczą zależną od woli każdego. Każdy może je praktykować w mniejszym lub większym stopniu, w ten czy inny sposób, stosownie do upodobania czy wyższego stopnia doskonałości, jaki chce osiągnąć; takie umartwienie może niekiedy stać się ścisłym obowiązkiem, wtedy mianowicie, gdy jest jedynym środkiem do zwalczenia, do stłumienia grzesznej żadzy lub też jest wymagane z tytułu osobnego powołania, któremu bez umartwienia nie można uczynić zadość.

Że umartwienie, o którem mówimy, jest jednym z bardzo ważnych czynników chrześcijańskiej doskonałości, to wiemy z nauki i przykładu życia Jezusa Chrystusa, wystarczy wspomnieć żłóbek i krzyż i słowa, któremi potępiał i gromił życie miękkie, zniewieściałe. „Kto chce iść za Mną, niech zaprze siebie samego, weźmie krzyż i naśladuje Mnie, niech idzie za Mną", lub inne słowa tegoż Jezusa Chrystusa, rozumiane w przenośni: „Jeśli twoja noga lub ręka gorszą cię, (tj. są okazją do grzechu) odetnij je, odrzuć od siebie, albowiem lepiej jest dla ciebie dostać się do nieba o jednej ręce lub o jednej nodze, niż mając obie ręce, obie nogi, być wrzuconym w ogień wieczny".

Tę naukę Chrystusa głosili Apostołowie po całym

świecie, i chociaż wydawała się ludziom zanadto twarda, to jednak w życiu pierwszych wyznawców Chrystusa wyżłobiła głębokie ślady tak dalece, że zdziwienie nas ogarnia, gdy czytamy, jak pierwsi chrześcijanie się umartwiali. Postami, włosiennicami i innego rodzaju umartwieniami karcili, chłostali ciało, którego żądze i skłonności uważali za największego wroga cnót, niektórzy dochodzili pod tym względem do heroizmu, który nie naśladować, ale podziwiać i chwalić tylko możemy.

Seraficki Ojciec Franciszek zdawałby się, na pierwszy rzut oka, należeć do tych, którzy dręczą i męczą bez litości swoje ciało i obchodzą się z niem okrutnie, tak nie jest, on swego ciała nie pieścił, ale też nad niem się nie znęcał zbytecznie. Swoją naukę i zapatrywanie, dotyczące umartwienia ciała, wyłożył braciom w tych słowach: „Każdy niech baczy na swoje zdrowie i kompleksje, bo chociaż niejeden może poprzestać na małem i niewiele potrzebuje pokarmu, to jednak ja nie chcę, aby który z was odmawiał sobie obfitszego jedzenia dlatego, że drugi brat go sobie odmawia; — stosownie do potrzeb niech każdy da swemu ciału to, co mu potrzebne, a jak z jednej strony należy unikać zbytniego jedzenia, które duszy i ciału szkodzi, tak z drugiej niech unika zbytniego odmawiania sobie, wstrzymywania się od potraw; Bogu więcej się podoba miłosierdzie niż ofiary". Jakaż pobłażliwość i wyrozumiałość dla ludzkiej słabości przebija się w tych słowach! jeśli mimo to był Franciszek dla siebie bardzo surowy i słusznie uchodzi za jednego z najsurowszych pokutników średniowiecznych, to chyba tylko, żeby swojej „pani" ubóstwu więcej się przypodobać.

Cokolwiekby się chciało powiedzieć o umartwie-

niu chrześcjańskiem jako cnocie, to jest pewnem, że w granicach podyktowanych roztropnością i stosownie do usposobienia i temperamentu danego człowieka, jest ono czemś koniecznem do osiągnięcia doskonałości.

Mistrze życia duchownego są zgodni w tem, że kto chce na duchu się odnowić, musi przedewszystkiem usunąć ruiny, naprawić spustoszenia spowodowane przez grzech pierworodny, a następnie, na gruncie odpowiednio przygotowanym szczepić cnoty chrześcjańskie. Racji takiego postępowania należy szukać w tem, że ciało człowieka po upadku Adama, zostało zepsute w swych żądzach i popędach, rozum przyćmiony, a wola osłabiona w dążeniu do dobrego, tak, że praca nad nabyciem cnót stała się trudną, mozolną, stąd to ciągłe u człowieka nachylanie się ku złemu, opór ku dobremu, stąd to bezustanne zmagania się z trudnościami, przeszkodami, jakie na drodze do nieba napotykamy ze strony zniepraw ionych skłonności. Apostoł narodów św. Paweł pisząc do Rzymian, wskazuje na tę walkę i mówi ze łzami w oczach: „Czuję inne prawo w moich członkach, sprzeciwiające się prawu mego umysłu, chcące mnie ujarzmić w niewolę grzechu, nieszczęsny ja człowiek, kto mnie wybawi z ciała tej śmierci?“.

Wszyscy Święci i nieświęci skarzą się na skutki tego przewrotu, jaki w ludzkiej naturze się stał przez grzech pierworodny, wszyscy doznają na sobie opłakanych skutków tego pierwszego upadku, o dobro, o prawo muszą walczyć przeciw złemu, przeciw miłości własnej. Ale jak uczynić tę walkę mniej ciężką, jak jej zapewnić zwycięstwo? Ludzie światowi, zapominając o tem, że życie ziemskie jest tylko czasem

próby, chcieliby te przykrości, kłopoty i nudy życia sobie uprzyjemnić puszczeniem folgi namiętnościom i popędom, ale naśladowcy Chrystusa inne mają poglądy na życie. Oni twierdzą, że od kiedy człowiek zbuntował się przeciw Bogu, natura jego stała się ślepą, kapryśną przewodniczką, której losów naszych nie możemy powierzyć, ani się jej pozwolić prowadzić gdzie chce, jeśli nie mamy ryzykować zbawienia i zarazem dodają, że wówczas tylko możemy liczyć na zwycięstwo, gdy przy pomocy umartwienia chrześcijańskiego opanujemy miłość własną, a właśnie na tem opanowaniu siebie samych na rzecz służby bożej, polega nasze ocalenie od zguby.

Że tak jest, o tem łatwo możemy się przekonać z codziennego doświadczenia, bo czyż nie prawda, że nasze sumienie lepiej wyglądało, ile razy w czemś się umartwiliśmy, odmówiliśmy sobie czegoś, co schlebia samolubstwu? czuliśmy się wtedy panami siebie samych, z większą łatwością spełnialiśmy nasze obowiązki, musimy przyznać, jeśli chcemy być szczerymi, że dzięki umartwieniu łatwiej nam przychodziło skupić się, zapanować nad rozprószeniem. — Z tego możemy wyprowadzić ten wniosek, że jedną z pierwszych najważniejszych korzyści umartwienia chrześcijańskiego jest wprowadzenie równowagi między ciałem a duszą, równowagi między człowiekiem a prawem i choć jesteśmy przekonani, że nawet umartwiający się ludzie muszą nie raz jeden powtarzać słowa Ewangelji: „Duch wprawdzie ochoczy ale ciało mdłe“, jednak nie możemy zaprzeczyć, że pod względem duchowym stoją ci, co się umartwiają, o wiele wyżej od tych, którzy idą za swemi skłonnościami i nie odmawiają sobie niczego.

Inna korzyść chrześcijańskiego umartwienia polega na tem, że ono naszym cnotom dodaje spoistości i siły; tak, jak żołnierz dopiero na placu boju, w potyczce pokazuje, co warta i czem jest, tak dusza człowieka nabiera wyrazu zdecydowanej i określonej fizjonomji przez umartwienie — ono jest jakby areną, na której rozwijają się ukryte energje duchowe, na której, przez ćwiczenie, nabywa się łatwości i wprawy we walce z przeszkodami religijnego życia. — Człowiek umartwiony temsamem bardziej podoba się Bogu, ile że jego pobożność zamiast być jakąś anemiczną, bladą, nabiera wyrazu, staje się wyrobioną, odporną nawet wśród burz i przeciwności.

Umartwienie roztropne, rozumne jeszcze ma i tę korzyść, że rozszerza widnokrąg, horyzont świata duchowego, pozwala lepiej rozumieć boże sprawy, co Apostoł Paweł św. wyraził w słowach: że „człowiek cielesny, zmysłowy, nie pojmuje spraw bożego ducha", a to z tej prostej przyczyny, że człowiek żyjący zmysłami, z trudnością tylko może wznieść umysł ku rzeczom niewidzialnym, duchowym, niedostrzegalnym poprzez opary miłości własnej; on uważa za iluzje to wszystko, co sięga ponad materję, ciało i zmysły; — nie trzeba dodawać, że takie życie będące w ustawicznej kłótni ze sumieniem, nie może mieć dobrego końca.

Czytając żywoty Świętych, widzi się jasno, jak całym sekretem i tajemnicą ich cnót wielkich było umartwienie, zaczynali od umartwienia ciała, miłości własnej, samolubstwa i powoli dochodzili do zupełnego opanowania zmysłowej natury, tak, że byli jej całkowitymi panami, tak, że rozkazywali jej i kierowali nią, jak sternik kieruje łodzią na spokojnej tafli wody. I nietylko to, ale Bóg w nagrodę za ich pracę zsyłał

na nich przeobfite światło, które im rozjaśniało drogę życia nadprzyrodzonego i prowadziło do wyżyn doskonałości.

Człowiek przez umartwienie panuje nad światem, nad tym światem, który nawet dla dusz wyższych, doskonalszych jest tak trudny do pokonania, z powodu tysiącznych sieci zastawianych na tysiące sposobów, by łowić dusze ludzkie; bronią najskuteczniejszą na tego rodzaju zasadzki jest, wedle świadectwa doświadczonych mistrzów, umartwienie.

Wreszcie umartwienie służy do oczyszczenia duszy z naleciałości światowych, z grzechowego pyłu, który z jakąś fatalną koniecznością na niej osiada i ją brudzi, czyni w oczach bożych obmierzłą. Otóż za ten brud grzechowy, w sakramencie pokuty z nas zmyty, wypłacamy się do reszty przez umartwienie, ono jest ekspjacją, na którą Bóg patrzy z upodobaniem, jest tym nieodzownym warunkiem, który spełnić musimy, by Bóg dopuścił nas do oglądania swego oblicza.

Więc z jakiejkolwiek strony patrzeć będziemy na umartwienie, ono nam przynosi niezmierne korzyści, których nie chcieć, z których rezygnować byłoby wielkim nierozsądkiem, stąd wszyscy, którym zależy na zbawieniu, powinni do cnoty umartwienia odnosić się z największą sympatją, z tem przekonaniem, że w życiu duchownem umartwienie jest koniecznością, jest jedyną obroną przeciw atakom ciała, świata, samolubstwa, że daremnie chciałby być żołnierzem Chrystusa ten, ktoby nie potrafił władać bronią umartwienia.

Przeto wysoko sobie cenmy tę cnotę dla korzyści, jakie ze sobą przynosi; o tem pamiętajmy, że Jezus Chrystus odkupił ludzi przez cierpienie, czyli przez

umartwienie, że ze źródeł cierpienia i umartwienia wytrysnęły te przeobfite łaski, z których i przez które czerpiemy zbawienie. Krzyż Chrystusa jest tem drzewem, którego owoce są wprawdzie gorżkie, ale zbawienie przynoszące; do kosztowania tych gorżkich owoców zaprasza nas Jezus Chrystus, On je zrosił swoją krwią, by im dać moc i siłę odrodzenia nas ku żywotowi wiecznemu. Ta myśl niech nas krzepi, umacnia, cieszy, ożywia na twardej drodze pokuty; kosztowną perłę królestwa niebieskiego zdobyć musimy ze łzami, życie nasze zaprawiać gorżką mirrą umartwienia, to jedyna rada, jedyna droga, by dostać się tam, dokąd nas wzywa boże przeznaczenie.

Wy, Bracia i Siosty trzeciego Zakonu kroczcie mężnie, śmiało, z zapałem po tej drodze, spotkacie się na niej z różnorakiem cierpieniem, które wam będzie wyciskać łzy z oczu, waszą pociechą niech będą słowa boskiego Nauczyciela, Ducha św: „kto sieje w płaczu, będzie, nie ustając, zbierał w radości".

Amen.

Konferencja XX.

Z św. Franciszkiem na drodze umartwienia.

Nie należy do rzeczy łatwych mówić w naszych czasach o umartwieniu, w czasach, w których u ludzi przytępiło się tak bardzo poczucie obowiązku, a dogadzanie zmysłom, uciechy, rozkosze ciała stanęły w otwartej, rażącej sprzeczności z prawem moralnem. Przeciw umartwieniu podnoszą jedni ten zarzut, że ducha ludzkiego nie należy krępować w jego wzlotach, aspiracjach, dążeniach, że nie należy odbierać mu wolności, wogóle ograniczać go w jakikolwiek sposób. Inni znowu twierdzą, że stawanie w poprzek naturalnym skłonnościom ciała, znaczy to samo, co zabijać w niem energję życiową i czynić je niezdolnem do pracy. Są nawet i tacy, którzy przeciw umartwieniu podnoszą tę trudność, że ono bywa często zamaskowaną hipokryzją, zamiast być wyrazem szczerej, prawdziwej pobożności; pobożność, mówią tacy, nie polega na zewnętrznych praktykach dręczenia ciała, ale na wewnętrznych aktach duszy.

Takie i tym podobne zarzuty o tyle są słuszne, zasługują na uwagę, o ile mają na względzie wyjątki, to znaczy ludzi z takim czy innym temperamentem i usposobieniem, żyjących w takich czy innych wa-

runkach i okolicznościach czasu i miejsca, ale dla ogółu ludzi przyznających się do katolicyzmu, umartwienie i pokuta pozostaną zawsze czemś nieodbicie koniecznem, one będą zawsze tą ewangeliczną sadzawką, w której się oczyszczają, odradzają ludzkie sumienia, będą tem, przez co pobożność chrześcijańska zyskuje na wartości, piękności i uroku. Umartwienie dopiero wtedy przestałoby być obowiązkiem, gdybyśmy zapomnieli o grzesznych naszych upadkach i gdybyśmy na drodze do nieba nie widzieli żadnych dla siebie niebezpieczeństw ze strony zepsutej, zmysłowej natury i miłości własnej, takiemu fatalnemu złudzeniu mógłby podlegać tylko ktoś o chorobliwym stanie duszy — ale kto jest o tem przekonany, że cierpienie jest czemś nieodłącznem od ludzkiego życia, że niebo zdobywać się musi przemocą i szturmem, ten przyzna, że umartwienie jest rzeczą konieczną i chętnie mu się odda, tak robili i myśleli Święci, w których ślady nam wstępować należy.

W poprzedniej konferencji mówiliśmy o istocie, konieczności, korzyściach umartwienia, w niniejszej pomówimy o tem, jakiem ma być, jak ma wyglądać to umartwienie w życiu praktycznem.

Przedewszystkiem zaznaczam, że piszę o tem z pewną nieśmiałością i obawą, dlatego, bo cnota umartwienia chrześcijańskiego ma ogromnie szerokie pole, zależnie od gustu, upodobania i potrzeb duszy każdego człowieka z osobna; umartwienie należy do tych cnót, których podobnie jak czułych, delikatnych kwiatów nie można wystawiać na słońce z obawy, by nie zwiędły, nie straciły właściwego sobie zapachu — umartwienie to kwiat zdobiący dusze, lubiące się chować przed okiem ludzkiem, nie pokazywać się na

zewnątrz, ale pozostawać w pokornem ukryciu. I w tem właśnie leży powód, dlaczego mówienie o umartwieniu jest rzeczą trudną, mimo to jednak będę o niem mówił w nadziei, że to, co powiemy, trafi komuś do przekonania, że będzie odpowiedniem zwłaszcza dla Braci i Sióstr Trzeciego Zakonu, dla których umartwienie, jakiekolwiek ono jest, jest nakazem ich reguły.

Umartwienie może być wewnętrzne i zewnętrzne: pierwsze odnosi się do duszy, drugie do ciała; a ponieważ tak w duszy jak i w ciele są skłonności mogące się stać niebezpiecznemi dla zbawienia, dlatego obowiązkiem naszym jest takowe umartwiać w sposób, jaki nam jest dostępny i jaki nam lepiej odpowiada. Ciało, ile że jest materją, należy trzymać na wodzy i poskramiać zapomocą materjalnych środków, duszę znowu zapomocą moralnych. Zmysły ciała: wzrok, słuch, smak, powonienie, czucie, umartwiamy w sposób na zmysły działający, tak, jak rozum i wolę umartwiamy na sposób im właściwy. Że umartwienie wewnętrzne jest doskonalsze i więcej zasługujące, na to godzą się wszyscy z tej racji, że ono ma za podmiot szlachetniejszą stronę człowieka t. j. rozum i wolę; te dwie władze duszy nam są drogie nad wszystko, ich praw i przywilejów nie pozwalamy drugim naruszać ani uszczuplać, a temu, ktoby sie na to odważył, odpowiadamy groźbą. Sam tylko człowiek może dla chwały bożej i dla dobra swej duszy złożyć w ofierze swój rozum, swoją wolność, wykonać na sobie, żeby tak się wyrazić, mistyczne samobójstwo, tego rodzaju akty są w życiu duchownem szlachetne, piękne, zasługujące.

Z tego jednak, że zewnętrzne umartwienie jest niższe od wewnetrznego, nie można wnosić, że to

zewnętrzne można lekceważyć, zaniechać tak, jak nie można obejść się bez picia, choć ono jest mniej konieczne niż jedzenie. Umartwienie zewnętrze ma doniosłą wartość i dlatego musi iść w parze z wewnętrznem, owszem, ponieważ umartwienie zewnętrzne pod wielu względami i w pewnej mierze jest łatwiejsze, dlatego od niego należy zacząć i pierwsze stawiać kroki, aby następnie przejść do umartwienia wewnętrznego, do panowania nad duchem. Innemi słowy, trzeba naprzód odnieść zwycięstwo nad ciałem, a potem nad duchem; takiej taktyki trzymali się Święci i nam ją wskazali do naśladowania.

Kiedy i jak należy umartwiać ciało?

Seraf. Ojciec zostawił nam w tym względzie bardzo cenne wskazówki, mówi on tak: „Bratu“ ciału trzeba dostarczyć tego — acz dyskretnie i pod miarą, co mu potrzeba, aby miał siły do pracy; stąd sługa boży jedzenia, picia, spania i innych wogóle rzeczy do życia potrzebnych używać może, aby był zdolny do czuwania, modlitwy, pracy; aby „brat“ ciało, nie miał powodu do szemrania, narzekania, że z powodu głodu nie może klęczeć, chodzić, dźwigać krzyża utrapień, drugim dobrze czynić. Jednakowoż, gdyby sługa boży, dawszy ciału to, co mu potrzeba, co mu się należy, zauważył, że ono jest niedbałe, leniwe, uparte, że mruczy, nie chce nosić ciężarów, natenczas trzeba je ćwiczyć, karcić, bić, tak, jak się bije, karci, ćwiczy zwierzę juczne, które najadłszy się, nie chce ciągnąć, pracować i wolałoby leżeć“.

W tych słowach jest pouczenie, że jak wszędzie, tak i w umartwieniu należy się trzymać złotego środka, mając na względzie nietylko zdrowie danego człowieka, ale czas, miejsce, rodzaj pracy, że nie branie w ra-

chubę tych okoliczności mogłoby spowodować, przynieść szkodę duszy, zamiast korzyści. Umartwienie ciała nie kierowane rozsądkiem, nie miarkowane roztropnością, zużywa siły, wyczerpuje energję, czyni człowieka niezdolnym do pracy nieraz tak potrzebnej dla społeczeństwa, nakazanej przez miłość, co więcej, umartwienie nie kierowane roztropnością może być szkodliwe dla duszy przez to, że ją naraża na niebezpieczeństwo uważania pobożności za jałową, czczą formę, zewnętrzne pozory, którym nie odpowiada żadna wewnętrzna treść.

Komuś czytającemu te słowa nasuwają się zapewne do głowy posty, biczowania, włosienice i nabierze odrazu wstrętu, odrary do umartnienia jako do rzeczy dla siebie niedostępnej, niemożliwej, opuści ręce i powie sobie: te rzeczy nie dla mnie. Otóż to jest grubym błędem, któremu podlega niejedna dusza; w celu uniknięcia go należy wyrobić sobie to przekonanie, że aby być prawdziwie umartwionym, nie potrzeba uciekać się do wyżej wymienionych sposobów umartwiania się, które podziwiamy u heroicznych dusz, u Świętych, nie, zwyczajni śmiertelnicy nie mają ani potrzeby ani nakazu wzbijania się do takich wyżyn, im wystarczy takie umartwienie, o jakiem zaraz będziemy dalej mówić.

Zwyczajne, powiedzmy pospolite umartwienie chrześcijańskie, dobre na codzień, nie powinno nikogo zrażać, odstraszać; bowiem nie chodzi tu o długie, surowe posty, jakie dawniej się praktykowały o chlebie i wodzie; chodzi o to, by nie dogadzać podniebieniu, smakowi, żołądkowi, przez wyszukane, kosztowne potrawy, które, choćby nawet ciału wprost nie szkodziły, co jest rzeczą więcej niż wątpliwą, w każdym razie są

dla życia czemś niekoniecznem, niepotrzebnem. Ktoś może powiedzieć, że go nie stać na noszenie ostrych, grubych włosienic, na opasywanie się drucianemi łańcuszkami, na biczowanie się rzemiennym harapem, ale nie wolno mu powiedzieć, że nie może lub nie powinien trzymać oczu na wodzy i nie spoglądać na nieskromne, nieprzyzwoite obrazy lub rzeźby, że nie może trzymać języka za zębami tj. milczeć wtedy, gdy mówienie jest oszczerstwem lub obmową, czy wogóle niepotrzebnem gadulstwem. To samo można zastosodo tysiąca innych rzeczy, które wypada i należy zrobić, a jeśli się ich nie robi, to nie dlatego, żeby były niemożliwe, ale dlatego, że się nie ma ducha umartwienia; one ciału z pewnością nie szkodzą, sił ludzkich nie niszczą, nie wyczerpują, więc nie ma żadnego powodu dyspenzowania się od nich; a jeśliby ktoś twierdził, że to są głupstwa, fraszki, któremi zajmować się nie warto, dałby tem do zrozumienia, że mu brakuje dobrej woli; na wielkie umartwienia go nie stać, bo są za przykre, za trudne, małe umartwienia uważa za bagatelę, więc nie zadaje sobie żadnych, podobnie jak ów sługa ewangeliczny, który zamiast dorabiać się groszem otrzymanym od pana, zakopał go w ziemię.

W rzeczy tak wielkiej wagi nie należy, drodzy bracia, pozwalać się oszukiwać miłości własnej; ciało nasze jest i pozostanie zawsze wielkim nieprzyjacielem postępu w życiu duchownem; ono zawsze będzie się domagać, aby było więcej niż syte, zawsze będzie się buntowało, ile razy mu się zechce nałożyć wędzidło, i, aby to ciało zadowolnić, mawiał Serat. Ojciec, nie wystarczy ani złoto ani przyjemności choćby całego świata, im więcej mu się daje, tem więcej chce mieć, tem bardziej jest nienasycone.

Zatem baczność przed tym frantem! Sztuczki, grymasy, kaprysy tego „osiołka“, jak Franciszek nazywał ludzkie ciało, warto dobrze poznać, aby wiedzieć: jak, kiedy i gdzie użyć go do służenia cnocie i pobożności, jakie mu zadać umartwienie, jak go ukarać w razie uporu.

W życiu Seraf. Ojca mamy przemiłe pogadanki, jakie prowadził ze swoje ciałem, „bratem“ osiołkiem; nie pozwalał mu mieć wygórowanych pretensyj, wielkich wymagań, radził mu przestawać na małem, cierpliwie dźwigać ciężar życia, nie żalić się na braki i niedostatki, nie narzekać, jeśli czasem z powodu lenistwa i niesforności dostanie baty i kije. Na łożu śmierci, gdy ciało „osiołka“ opuszczały resztki sił, Franciszek czuł się w obowiązku przepraszać go, że czasem za surowo z niem się obchodził, „za krótko go trzymał“. Ileż w tem wesoło — naiwnem powiedzeniu jest nauki!

Ojcowie duchowni, ile razy mówią o umartwieniu ciała, mają na myśli przedewszystkiem ten rodzaj umartwienia, który polega na odmawianiu mu tego, co mu sprawia przyjemność i rozkosz, a co do życia nie jest koniecznie potrzebne. Do takiego umartwienia np. należy cierpliwe znoszenie chorób i dolegliwości, zwyciężanie tych trudności, jakie z wypełnieniem moralnych obowiązków są nieodłącznie związane; tu należy także spokojne zrezygnowane czekanie na śmierć, gdziekolwiek i kiedykolwiek by się spodobało Bogu ją zesłać. Do takiego umartwienia w końcu zaliczyć trzeba prace w związkach, stowarzyszeniach, ochronach, szpitalach, zakładach, podejmowane na korzyść bliźnich biednych, opuszczonych, zaniedbanych. Z tego wszystkiego widzimy, jak niezmiernie obszernem jest

pole chrześcjańskiego umartwienia, jak obowiązującem, i bogacącem w zasługi wobec Boga.

W naszych zwłaszcza czasach takie umartwienie przedstawia się jako coś, na co warto zwrócić uwagę, czem się należy zainteresować, co można nawet pokochać. Przed innymi zaś winniby Bracia i Siostry Trzeciego Zakonu tego ducha umartwienia zrozumieć, nim się głęboko przejąć i przekonywać świat, że umartwianie ciała nie jest żadną bigoterją, ani przywilejem wybranych, ani wreszcie cechą charakterystyczną zakonnego życia, ale jest częścią istotną, składową pokuty, będacej nakazem odnoszącym się do wszystkich wyznawców Chrystusowej religji.

Z umartwieniem ciała należy łączyć umartwienie ducha, które choć jest wyższem i różnem od pierwszego, jak już wyżej powiedzieliśmy, jednak jest niemniej koniecznem, bo grzech pierworodny nietylko ciało zepsuł i mu zaszkodził, ale też i duchowi zadał rany.

Wskazując na potrzebę umartwienia zewnętrznego, starałem się być pobłażliwym, wyrozumiałym przez uwzględnienie okoliczności miejsca, czasu, osób, ale nie mogę tego uczynić, na takie wyjątki pozwolić, gdy chodzi o umartwienie wewnętrzne, duchowe, które się prowadzi, dokonuje między nami samemi, między nami a Bogiem. Wyliczone okoliczności nie mogą tutaj wchodzić w grę, ile że rozum i wola człowieka obracają się, działają na polu nieograniczonem, ni przestrzenią ni czasem, ale mogą sobie swobodnie bujać z szybkością błyskawiczną, bez obawy połamania sobie kości, na tem polu nie mogą nie co godzinę, ale co chwilę, co moment zbierać dla siebie zasługi z umartwienia.

W części duchowej naszego jestestwa czujemy

wszyscy jedno wielkie mrowisko skłonności, pasyj, namiętności, które nas atakują, nieraz gwałtownie tak, że nie umiemy sobie zdać sprawy ze wzruszeń, z poruszeń budzących się, powstających w nas. Okazje do tego mogą być różne: raz to będzie uwagą, upomnienie zrobione nam w tonie ostrzejszym, mniej taktownym, drugi raz lekceważenie naszej osoby, nie okazanie należącego się nam szacunku, a natomiast okazywanie go drugim mniej od nas na to zasługującym — innym razem jeszcze poruszy nas zazdrość, chciwość, nienawiść na widok lepszego powodzenia, większego szczęścia u drugich, to wreszcie choroba lub inne niezliczone braki obudzają w nas niecierpliwość, chęć do złorzeczenia, przeklinania, bluźnienia Bogu. Otóż wobec tych i tysiącznych innych wybuchów namiętności, duch musi stać w pogotowiu, by odparować atak, nie dopuścić, by namiętność wzięła górę nad nim i odniosła sromotne zwycięstwo.

I to jest oto umartwienie piękne, szlachetne, zasługujące, ale bardzo trudne; Święci odnosili w tym względzie rekordowe, zadziwiające zwycięstwa, ale też one nie przychodziły im łatwo, musieli wytężyć wszystkie siły, na jakie mogli się zdobyć, a do tego służyła im w przedziwny sposób dwojaka broń: pokora i posłuszeństwo. Wybryki rozumu pokonywali pokorą, a bunt woli ujarzmiali posłuszeństwem dla prawa. To jest wskazówka, jak w umartwieniu wewnętrznem postępować mamy, by z pomocą łaski bożej zwyciężyć, jeśli nie tak chwalebnie, jak to widzimy w Świętych, to choć o tyle, by nie dać się położyć na obie łopatki.

Praktykę umartwienia tak wewnętrznego jak zewnętrznego może nam dużo ułatwić odwaga i wielko-

duszność, z jaką należy występować przeciw groźnemu nieprzyjacielowi duchownego życia, tj. przeciw miłości własnej; nieprzyjaciel ten nie chce znać hamulca, nie chce się niczem krępować, a wiadomo, że niechybna zguba czeka człowieka, któryby z nim wszedł w kompromis i zdał się na jego łaskę. Zatem mężnie, stanowczo stawiajmy mu opór nie wchodźmy z nim w żadne układy, nie pozwólmy narzucać sobie kajdan, ale go zmuśmy do słuchania nakazów chrześcijańskiego sumienia.

Bracia tercjarze mają obowiązek świecić przykładem umartwienia, w myśl płomiennego hasła Seraf. Ojca Franciszka: „Taka jest nagroda, jaka mnie czeka w życiu przyszłem, że wszystkie cierpienia i dolegliwości niniejszego życia są dla mnie rozkoszą“! — To głos więźnia całującego kajdany, które mu zapewniają wejście do Ojczyzny. Amen.

Konferencja XXI.

Z św. Franciszkiem na drodze modlitwy.

Ewangelja św. opisuje, że Jezus Chrystus siedząc razu pewnego na wysokiej górze, przemawiał do otaczającej Go rzeszy ludu w te słowa: „Wy będziecie się tak modlić: Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się Imię Twoje, przyjdź Królestwo Twoje, bądź wola Twoja jak w niebie i tak na ziemi, chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj i odpuść nam nasze winy, jako i my oduszczamy naszym winowajcom i nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego".

W tych słowach podał Jezus Chrystus najwznioślejszą, najpiękniejszą, najsłodszą modlitwę, o jakiej ludzki umysł, ludzkie serce, nie mogłyby nawet marzyć. To była jakby urzędowa modlitwa, uświęcona powagą samego Boga. Aż dotąd modliła się ludzkość na tysiące sposobów, nie zawsze wiedząc, do kogo się modli i o co, ale oto nadeszła chwila, by modlitwie nadać jasno określoną, zdecydowaną formę, któraby nietylko oświeciła ludzi, ale także poprawiła, sprostowała, oczyściła ich serca, myśli, obyczaje i takiej właśnie modlitwy nauczył Pan Jezus, ona jest nietylko uwielbieniem i prośbą, ale przedziwnem streszczeniem wiary i pobożności.

Tę modlitwę przyjęli chrześcjanie z radością i czcią, jako wyraz miłosnego związku z Ojcem niebieskim, przez tę modlitwę świat stał się jakby jednym olbrzymim ołtarzem, z którego wznosiły się ku niebu czyste, wonne kadzidła wiary i ufności, umysły pogrążone dotąd w pogańskich zabobonach rozbłysły światłem, serca zimne dla Boga rozgorzały miłością, wznosząc ku Niemu uczucia czyste, prosząc Go o rzeczy, które Mu chwałę, a ludziom zaszczyt i szczęście przynoszą.

Człowiek w całej swej bezsilności i niemocy, odczuwa konieczną potrzebę związku i łączności z niebem. W życiu naszem jakże często jesteśmy naprawdę nędzni, słabi, godni politowania; moralne upadki ranią nas głęboko, wprowadzają do duszy, do sumienia niepokój, zamęt, namiętności dławią nas nieraz aż do odebrania nam tchu, aż do spazmów i paroksyzmu. W takich ciemnych, rozpacznych chwilach nieocenioną pociechą, niezrównanem pokrzepieniem jest wiedzieć, że w niebie mamy Ojca, który na nas patrzy, wszystko widzi, który nas słyszy nawet wtedy, gdy do Niego nie mówimy, który w swej niezmierzonej dobroci gotowy jest zawsze przyjść nam z pomocą i nas pocieszyć; o tem, że tak jest, nie można myśleć, nie odczuwając równocześnie radości rozpierającej pierś, nie dającej się wyrazić słowami.

Ale z naszej strony winniśmy baczyć, aby tego słodkiego węzła łączącego nas z Bogiem nie zerwać; jako stworzenia słabe, nieudolne, mamy często wznosić ku niebu hymn adoracji, modlitwy, — tej modlitwy, która jest tajemniczym związkiem między duszą a Bogiem, jest serdeczną z Nim rozmową. Ze względu na duchową korzyść winniśmy mieć wielkie

do modlitwy zamiłowanie, gdyż ona nam niebo otwiera, jedna u Boga miłosierdzie. Niestety, smutne doświadczenie każe stwiedzić, że ogół chrześcjan mało się modli lub modli się źle, to cudowne ożywcze źródło, z którego tryskają wody życia wiecznego, zdaje się jakby wyschło. Załamała się mistyczna drabina, łącząca niebo ze ziemią, więc za przykładem św. Franciszka obudźmy, wskrześmy wiarę i ufność w skuteczność modlitwy, uczmy się modlić dużo a dobrze.

W pojęciu chrześcjańskiem modlitwa niczem innem nie jest, jak podniesieniem duszy do Boga w tym celu, by Go uczcić, dziękować Mu i prosić Go o to, co nam potrzeba. Z tego określenia, wziętego w znaczeniu ogólnem, widzimy, że modlić się znaczy myśleć o Bogu jako naszym nadprzyrodzonym celu, zaś przez to myślenie nie należy rozumieć tego psychicznego aktu duszy, który się uiszcza, dokonywa w myśli, ale to wszystko, co mówimy, robimy z miłości ku Bogu, w interesie naszego duchowego dobra, w odniesieniu do celu nadprzyrodzonego, który jest sam Bóg.

Tak pojmowali modlitwę Święci, którzy w rzeczach najbardziej pospolitych, a nawet moralnie obojętnych umieli znaleźć tysiące sposobów wzniesienia się ku Bogu, uszlachetniając je czystością intencji. — Takie pojęcie modlitwy odpowiada więcej ludzkiej słabości, która, nie mówiąc oczywiście o wyjątkach, nie może przez dłuższy czas trwać w tem napięciu czy nastroju duszy, jakim jest modlitwa czy to ustna czy myślna wykonana w pewnym określonym czasie i miejscu. Modlitwa w tem szerszem znaczeniu wzięta, da się prędzej i łatwiej zastosować do nakazu słów Chrystusowych: „Zawsze się trzeba modlić i nigdy nie ustawać“.

Jednakowoż, czy w takiem czy w innem znaczeniu modlitwę weźmiemy, to jest pewnem, że o pomoc wzywać Ojca niebieskiego jesteśmy obowiązani, albowiem w miłościwych planach Bożej Opatrzności cały wszechświat ma być tym olbrzymim teatrem, z którego wznosić się powinny ku niebu bezustanne hymny chwały, prośby, dziękczynienia, a w tym chórze człowiek, jako król i pan stworzenia, do celu nadprzyrodzonego przeznaczony, ma zajmować pierwsze miejsce.

Tym obowiązkiem modlenia się, nikt może nie był tak przejęty, nikt tak dobrze go nie pojmował, jak św. Patrjarcha, Franciszek; choć 7 wieków od niego nas dzieli, zdaje się, jakbyśmy słyszeli zalatujące nas z doliny umbryjskiej echo jego natchnionych, gorących, modlitewnych pieśni, śpiewanych na cześć Boga, — zwiedzającym sanktuarja Porcjunkuli, św. Damiana i Alwernji, zdaje się, jakby czuli balsamiczną woń jego żarliwych modlitw, tego samego uczucia się doznaje, ile razy zwiedza się miejsca inne, góry, lasy, w które się krył, by sam na sam, bez świadków, na modlitwie z Bogiem rozmawiać. W życiu Franciszka była modlitwa najważniejszem, czołowem zadaniem, naczelnym punktem, była jakby duszą jego duszy.

Kto pojmuje jak należy bosko-ludzkie sprawy, ten bez trudności przyzna, że modlitwa jest najświętszym obowiązkiem człowieka, a na pierwszem miejscu modlitwa dziękczynienia.

Był czas, kiedy nas nie było, Bóg był tym, który nas wywołał z nicości, który ciało i dusze złączył w jedną ludzką istotę, dał rozum do poznawania, a serce do kochania. Ten sam Bóg stworzył słońce, księżyc, gwiazdy, by nam swięciły i nas ogrzewały,

stworzył zwierzęta, by nam służyły za pomoc i pokarm ziemi dał żyzność, by rodziła pożywienie, kwiaty, by nas rozweselały i wogóle miljony innych rzeczy, by nam służyły na pożytek i ozdobę. Wreszcie, przez niepojęty nadmiar miłości, tenże Bóg, w przyjętem Człowieczeństwie, uczy nas słowem i przykładem, jak mamy żyć; cierpi i umiera na krzyżu, by nas uwolnić od kary potępienia wiecznego, na którą przez grzech pierworodny i grzechy uczynkowe, osobiste, byliśmy skazani.

Oto dobrodziejstwa, za które być wdzięcznemi i dziękować należy; a ten obowiązek dziękczynienia wdzięczności jest całkiem naturalny, sam przez się zrozumiały. Bowiem z jednej strony mamy nędzarza wydziedziczonego, nieszczęśliwego, — a z drugiej Umysł nieskończony, pojmujący nieszczęście i przychodzący z pomocą. Ten obowiązek spełniają, acz nieświadomie, zwierzęta, okazując na swój sposób wdzięczność tym, od których dostają pożywienie, odbierają pieszczoty; tem bardziej winien się do wdzięczności poczuwać człowiek, który ten obowiązek rozumie i go sobie uświadamia, ma serce, które odczuwa.

Stąd niewdzięczność u ludzi jest czemś potwornem, trudnem do pojęcia; o jakże pięknie i zgodnie z naturą człowieka, śpiewa Kościół w prefacji: „Zaiste godną, słuszną, sprawiedliwą i zbawienną rzeczą jest, byśmy Tobie, o Boże, zawsze i wszędzie dzięki czynili".

Ale modlitwę, także jako prośbę, winniśmy Bogu; tego domaga się od nas nasza nicość, nasze nędze, nasze grzechy. Boga mamy prosić o powietrze, którem oddechamy, o ziemie, po której stąpamy, o pokarm

którym się żywimy, na nasze słabe siły nic nie możemy liczyć, gdyż bez Boga one nic nie potrafią zdziałać; na ludziach również nie możemy polegać, bo oni sami nie są w stanie dostarczyć nam tego, czego do życia potrzebujemy, a więc jedyna pozostaje ucieczka do Boga, który wszystko ma i wszystko może; od Niego prosić o pożywienie dla ciała, o pokarm dla duszy, o powodzenie w interesach, o cierpliwość w krzyżach i dolegliwościach, o pogodę i radość życia, o wieczną chwałę w niebie.

Jest powszechnem zdanie Świętych, że my bez modlitwy, nie możemy ani dobrze żyć, ani szczęśliwie umrzeć, wszechmocną bożą powołani do bytu z nicości, wrócilibyśmy do nicości, gdyby Bóg tego naszego istnienia nie podtrzymywał ustawicznie, zaś co do życia duszy byłoby niedorzecznością twierdzić, że moglibyśmy się obejść bez pomocy Boga. A więc prosić Go o to trzeba w modlitwie, nietylko wówczas, gdy nasze prośby wysłuchuje, ale i wtedy, gdy z powodów dla nas niezbadanych, przed nami zakrytych i tylko Jego mądrości znanych, nie udziela nam tego, o co prosimy; dosyć nam wiedzieć, że nasze modlitwy nie są daremne i że nagrodę im należną otrzymają od sprawiedliwego Boga.

Żeby nie pobłądzić we wyborze rzeczy, o które mamy prosić Boga, żeby nie podlegać złudzeniom tak łatwym tutaj, za wzorem Świętych prośmy przedewszystkiem o łaskę zgadzania się we wszystkiem z wolą bożą, zdając się na jego wyroki i przeznaczenie, taki jest rozkaz Chrystusa mówiącego: „Szukajcie naprzód królestwa bożego i sprawiedliwości jego, a reszta będzie wam przydana".

Następnie oddać winniśmy Bogu modlitwę chwały

i adoracji, gdyż On, największy, najświętszy, najpiękniejszy, daje początek wszelkiej stworzonej piękności, świętości, wielkości, On słowami: „Niech się stanie", stworzył słońce, gwiazdy, księżyc, ziemię, zwierzęta, rośliny, kwiaty. W tej swojej straszliwej wielkości, gdy spojrzy na niebiosa, to się uginają, gdy się popatrzy na słońce, to blednieje, gdy dotknie gór, to się mgłą przysłaniają; morze przed Jego wzrokiem wysycha, — Jego skinienia słuchają ptaki w powietrzu, ryby w morzu, drzy piekło, a weseli się i raduje niebo i ziemia. Dwadzieścia wieków temu ten wielki Bóg, tam w Judei, wskrzeszał umarłych, uzdrawiał chorych, ślepych, niemych, kulawych, głuchych, a w chwili swego konania na Krzyżu ściemnił słońce, zatrząsł ziemią na dowód, że jest Bogiem Abrahama, Izaka, Jakóba.

I któż przed tak wielkim Bogiem się nie ugnie, nie pochyli czoła? Jakkolwiek wielką byłaby ludzka pycha, musi, chcąc nie chcąc, uznać swoją nicość wobec niepojętej wielkości Stwórcy, musi w uczuciu tajemniczej trwogi i najniższej pokory, przyznać, że nieskończonemu Bogu nieskończona należy się chwała.

I tę chwałę, drodzy tercjarze, oddawać Mu winniśmy bez przestanku, dziękować równocześnie za dobrodziejstwa od Niego otrzymane, prosić o nowe dary, uwielbiać Jego nieogarniony Majestat; to będzie wyrazem waszego duchowego związku z Bogiem, dowodem waszego nadprzyrodzonego życia, przedsmakiem niebieskiego szczęścia.

O św. Ojcu Franciszku pisze jego biograf Tomasz z Celano: „Ciałem tylko od Boga oddzielony, duszą mieszkał w niebie ten święty człowiek, a stawszy się domownikiem i obywatelem aniołów, w rzeczywistości ciałem tylko się od nich różnił; całą duszą pragnął

Chrystusa, jemu poświęcał swe serce jak i wszystek czas swego życia; gdy się modlił w lasach i na pustkowiach, to tak, jakby słychać było echo jego pobożnych westchnień, jakby się czuło wilgoć ziemi zroszonej jego łzami; w skrytości, nie widziany, nie słyszany przez nikogo, bił się w piersi wezbrane żalem za przewiny, czule rozmawiał ze swoim Panem, sędzią, przyjacielem, oblubieńcem.

Ten przykład Seraf. Ojca niechże w nas obudz zamiłowanie do modlitwy; ze wszystkich stron ściska nas tyle potrzeb, więc pukajmy do bram nieba, skąd jedynie może nam przyjść pomoc, światło przeciw huraganom namiętności, burzom pokus. Święci nie znali lepszego, skuteczniejszego środka nad modlitwę, w modlitwie czerpali moc i siłę do walki z wzrogiem i odnosili zwycięstwo. Z tymi samymi wrogami mamy do walczenia i my, i jeśli chcemy, jak powinniśmy, zwyciężyć, trzeba nam modlić się dużo i dobrze. Dużo, nie pod względem ilości słów i czasu użytego na modlitwę, ani też według przepisów reguły i metody, bo te mogą być różne stosownie do osób, miejsca i innych okoliczności, ale dużo pod względem treści myśli, siły uczucia, napięcia woli. Modlić się dużo, znaczy składać Bogu w ofierze swe myśli szlachetne, podniosłe, gorące porywy serca do Niego kierować, prace i zajęcia wykonywać w intencji przypodobania się Mu, być gotowym, zdecydowanym, do woli bożej we wszystkiem się stosować, krótko mówiąc: modlić się dużo znaczy: żyć dla Boga i umierać dla Boga.

Modlitwa w tem znaczeniu wzięta jest dla ogółu chrześcjan i łatwiejszą i bardziej zasługującą; łatwiejszą, bo nie skrępowaną formułkami, regułami, często

zawiłemi, trudnemi a przytem jałowemi, suchemi — bardziej zasługującą jako ustawiczna ofiara, ciągłe poświęcenie Bogu swego życia.

I tutaj właśnie, na tem polu, pragnę, by tercjarze jak najwięcej zbierali zasług za żywot wieczny. Na to żyzne, urodzajne w cnoty i zasługi pole wzywa nas Seraf. Ojciec, którego życie było ustawicznem, nieprzerwanem podnoszeniem duszy do Boga, było ciągłem łączeniem się z Nim. Wystarczy czytać kantyk do stworzeń przez niego napisany, by się przekonać, i jakie były, gdzie były jego myśli i uczucia. Wiersze te on śpiewał prawie zawsze, tak że nieraz zapominał odmówić brewiarz, będący, jak wiadomo, urzędową modlitwą kościoła; szczęśliwi będziecie, tercjarze, jeśli dla takiej modlitwy, nie z innych powodów, przytrafi się wam kiedy zaniedbać brewiarzowe pacierze.

Ale czy taka czy inna będzie nasza modlitwa, starajmy się, by jej towarzyszyło zawsze skupienie, wiara, ufność i pokora; Bóg, do którego modląc się przemawiamy, jest straszliwie wielki, a to, co Go prosimy, jest bardzo ważnem, zatem w modlitwę wkładajmy całą duszę, całe serce; mówmy do Boga z wielką czcią, ale zarazem z wielką wiarą i miłością.

Oby nam Seraf. Ojciec wyprosił ten nastrój, to usposobienie, z jakiem stawać mamy przed naszym Stwórcą i Odkupicielem, by Go godnie chwalić i prosić. Niech z obfitości gorącego serca wychodzą, spływają na język, usta słowa modlitwy, niech się odbijają echem głośnem o niebieskie przybytki, a nasze całe życie niech będzie niemilknącym hymnem chwały i miłości dla trzykroć Świętego Boga. Amen.

Konferencja XXII.

Z św. Franciszkiem na drodze apostolstwa.

To, cośmy dotąd o św. Franciszku powiedzieli, odnosiło się przeważnie do życia wewnętrznego, do życia składającego się na to, co nazywamy świętością podtrzymywaną, karmioną wykonywaniem chrześcjańskich cnót. Ale ponieważ w praktyce jest rzeczą niemożliwą dokładnie odróżnić, ściśle oddzielić życie wewnętrzne od zewnętrznego, dlatego byliśmy zmuszeni, gdzie tego zachodziła potrzeba, mówić o życiu zewnętrznem Franciszka św. tj., o jego apostolstwie i już z poprzednich konferencji dostatecznie wiemy, że on był nietylko wielkim świętym ale i wielkim apostołem. Nie będzie więc bez pożytku, jeśli w głównych rysach podamy szkicowy obraz tego żyznego, bogatego w owoce apostolstwa, zapraszając tercjarzy, by w tem naśladowali swego Założyciela i Patrjarchę.

Dzisiaj, gdy świat robi na każdem polu, pod każdym względem szalone postępy, apostolstwo posiada wyjątkową doniosłość, pierwszorzędne znaczenie, można nawet powiedzieć że ono jest tem, co nadaje kierunek ludzkości, co stanowi jej pojemność. Jeżeli chcemy mieć naród silny, zdrowy szczęśliwy, musimy go zorganizować uobyczaić, zapalić, zachęcić do czynu;

nato nasze wezwanie on odpowie, będzie z wdzięcznością błogosławił naszym poczynaniom, podziękuje za prace podjęte dla jego dobra. Świat jest pełen ludzi posiadających nieprzebrany zasób energji i zdolności do czynu, ale których nie stać na inicjatywę, którzy sami nie potrafią rozpocząć pracy, ale czekają, by ich pchnąć, poruszyć, poprowadzić. Ludzkość stałaby do dziś dnia na martwym punkcie co do rozwoju i kultury, gdyby od czasu do czasu nie byli się pojawiali ludzie o wielkich talentach, o nadzwyczajnych zdolnościach, którzy stawali na czele i dawali początek wielkim ruchom, przewrotom politycznym, ekonomicznym, naukowym, moralnym.

Chluba, szczęściem państwa czy narodu jest, jeśli ma na czele takich światłych, genialnych przodowników, prowadzących ludzi na nowe tory, ku nowym zdobyczom, jednakowoż od takich pionierów-apostołów słusznie możemy się domagać i od nich żądać, aby ich poczynania, ich działalność była zdrowa, zbawienna, dodatnie korzyści dla narodu przynosząca, mająca na celu prawdziwe dobro ogółu, nie zaś, jak tego za dni naszych jesteśmy świadkami, apostołów fałszu, przewrotu, prywatnych interesów, osobistych czy partyjnych. Kto bacznie śledzi, jaki kierunek nadaje się dzisiaj szkole, prasie, polityce, ten się przekonuje, że nie zawsze dobrem, słusznem, sprawiedliwem jest to, co się głosi, uczy, przeprowadza, że zamiast zgody, ładu, pokoju, dobrobytu, wprowadza się między ludzi rozstrój, zatrucie sumień, bałamucenie umysłów, prowadzące do upadku.

Takiemu apostolstwu fałszu i kłamstwa należy przeciwstawić apostolstwo prawdy i miłości; z doborową, wypróbowaną bronią w rękach, winni ludzie

duchem bożym ożywieni, złączyć się razem i wystąpić do walki z ruchem antyspołecznym, antychrześcijańskim, mającym na swych usługach pokaźne zastępy zwolenników. Pierwsze szeregi w tej walce zająć winni tercjarze, jako przedstawiciele armji, stworzonej przez Franciszka dla dobra kościoła i społeczeństwa; ich obowiązkiem jest pokazać światu, że są nieodrodnymi, wiernymi spadkobiercami ducha swego Założyciela.

Jak wyglądało, jakiem było apostolstwo Seraf. Ojca, a jakiem ma być apostolstwo tercjarzy, oto treść niniejszej krótkiej konferencji.

O św. Franciszku głosi Kościół, że jego stara niem, jego dążeniem było, nie dla siebie tylko żyć ale dla bożej chwały, dla dobra ludzi, to było w zasadzie tą misją, jaką Chrystus ukrzyżowany zlecił mu w kościele św. Damiana, odnowić mianowicie Kościół i społeczeństwo, zapomocą apostolstwa, opartego na Ewangelji.

Jak z jednej strony jest rzeczą pewną, że nikt do świętości nie dojdzie, dla kogo dobro duchowe i materjalne bliźnich byłoby rzeczą obcą, tak z drugiej strony zdaje się nie ulegać wątpliwości, że nie wszyscy jednakowo i w równej mierze są obowiązani o to dobro się starać, ale tylko w miarę sił i zdolności i wyznaczonej im przez powołanie miary. Stąd widzimy, że nawet między Świętymi są różne stopnie i rodzaje: jedni dokonali życia świątobliwego wśród stepów i puszcz, albo wśród murów klasztornych znani jedynie Bogu, z daleka od ludzkiego gwaru; inni oddawali się pracy apostolskiej, ale w mierze ograniczonej do rzadkich i nadzwyczajnych wypadków, — inni wreszcie zdawali się żyć nie dla siebie ale wyłącznie dla drugich, i do tej ostatniej klasy

należy właśnie św. Franciszek; jemu zlecił Bóg podwójne posłannictwo: uświęcenia siebie samego i uświęcenia drugich: tego wielkiego dzieła podwójnego apostolstwa miał dokonać przez wiarę i czynną miłość bliźnich.

Już nieraz o tem wspominaliśmy, że czasy, w których się Franciszek narodził, były dla Kościoła i społeczeństwa pod wielu względami smutne; wszyscy godzą się na to, że ludzie trzynastego wieku, zapomniawszy o przykazaniach bożych, żyli w znacznej swej większości jak poganie, wiara, już i tak słaba, zanikała coraz więcej, ustępując miejsca najgłupszym zabobonom, słudzy wiary zajęci bardziej dobrami doczesnemi niż duszami ludzkiemi, nie starali się przeciwdziałać tej religijnej ciemnocie, zaczem szło, że herezje, błędnowierstwa szerzyły się w sposób niebywały, nienapotykając na skuteczny opór ze strony powołanych czynników kościelnych.

Pod względem obyczajów było jeszcze gorzej; swoboda i rozluźnienie życia, zwłaszcza wśród klas bogatych, nie znały żadnych granic, nie miały hamulca, lud był trzymany w niewoli, pozbawiony chleba i wszelkich praw. Zawzięte, krwawe walki jednych przeciw drugim, stały się czemś powszedniem, codziennem; miłosierdzie było zapoznane, bo żądza posiadania i używania zawładnęła ludźmi całkowicie, przysłowiowe ubóstwo i nędza trzynastego wieku miały swoje źródło, swój korzeń nie tyle w braku pracy czy nieurodzaju ziemi, co w zwyż wymienionej zachłanności posiadania jak najwięcej i nurzania się w zbytkach.

Franciszek św. był powołany temu złemu zaradzić — on miał być tym motorem poruszającym u-

mysły i serca ludzi ku czystej, niepokalanej wierze, jaka wyszła z Galilei, a która miała naprawić obyczaje i wskrzesić królestwo bratniej miłości. Zadanie, jak widzimy, przerastające siły jednego człowieka.

Żeby ożywić wiarę w ludziach, Franciszek, człowiek praktyczny, nie udał się o pomoc ani do teologji ani do filozofji, one z pewnością byłyby go poniosły na pole dysputy i polemiki, które życiowych kwestyj nietylko nierozwiązują, ale jeszcze bardziej gmatwają i zaostrzają niepotrzebnie umysły, tego wszystkiego Franciszek chciał uniknąć. Więc, żeby nie tracić czasu na subtelne, jałowe dyskusje, wszedł odrazu na pole czynu, życiowej praktyki, ożywionej miłością Boga i bliźniego, stosując przedewszystkiem swoje własne życie do wskazań ewangelicznych, zapomniał o sobie, a jął się pracy mającej na oku dobro drugich; staraniem jego było, by nikomu nie brakowało mieszkania, ubrania i jedzenia, wolał tych rzeczy nie mieć sam, byle je mieli drudzy; równocześnie w kazaniach płomiennych gromił, smagał bez litości bogaczy, których łakomstwu i chciwości przypisywał rozpaczliwe położenie nędzarzy.

Takie słowa i czyny Franciszka, bez cienia samolustwa i pychy z jego strony, wzbudzały podziw, porywały ludzi, dając silną podstawę zamierzonej przez niego reformie społecznej. To powodzenie, pozyskanie mas dla siebie, posłużyło Franciszkowi do przeprowadzenia innej ważniejszej idei, mianowicie ożywienia wiary katolickiej i naprawy obyczajów, i to poszło mu łatwo, gdyż lud miał do niego zaufanie, kochał go jak Ojca, tak, że w krótkim czasie za polepszeniem materjalnem dała się spostrzec odmiana obyczajów, zaś środki, jakiemi się do tego celu po-

służył, były; przykład świątobliwego życia, kazania i niesienie biednym pomocy.

Razu jednego Franciszek, znajdując się w klasztorze Matki Boski Anielskiej, przywołał do siebie jednego z braci i rzekł mu: „Trzeba, żebyśmy dzisiaj poszli do Assyża powiedzieć kazanie". „Dobrze, idźmy", odrzekł braciszek. I wyszli z konwentu, idąc, wedle ówczesnego zwyczaju, jeden za drugim, w kierunku miasta. Przyszedłszy tam, polecił Franciszek swemu towarzyszowi, by się zachował jak najpokorniej, by trzymał ręce w rękawach, a oczy miał spuszczone ku ziemi, i aby w takiej skromnej podstawie przeszedł przez najbardziej uczęszczane ulice miasta. Brat uczynił to wedle zlecenia, następnie wraca do Seraf. Ojca i widzi, jak tenże wychodzi z miasta w stronę klasztoru Porcjunkuli, więc go pyta: „Ojcze, a gdzie kazanie, któreśmy mieli powiedzieć, pewnie o niem zapomnieliście"? A wtedy Franciszek odpowiada: „Owszem, nie zapomniałem, kazaniem był właśnie dobry przykład, jaki daliśmy ludziom przez nasze zachowanie się, więcej przez to dla Boga pozyskaliśmy ludzi, niż gdybyśmy przez cały dzień najlepsze kazania mówili".

Zdarzenie miłe, a jakie przytem wymowne!

Żeby zrozumieć całą wagę i doniosłość tego zdarzenia, trzeba się przenieść myślą w owe średniowieczne czasy, złe co prawda, ale przytem szczere, prostoduszne, wspaniałomyślne; sceptycyzm, zwątpienie, nie były jeszcze zatruty, nie przeżarły serc i umysłów ówczesnych ludzi, dlatego dobry przykład wzbudzał podziw, uczucia pobożne i był naśladowany. Choćbyśmy się nawet zgodzili nato, co historycznie nie da się ściśle udowodnić, że z życia Franciszka

i jego drużyny ludzie się tu i ówdzie śmiali, szydzili, i nie brali go na serjo, to jednak mimo to świętość jego życia, blask cnót robiły wielkie wrażenie na patrzących, pociągały do naśladowania i nawracały ze złej drogi na dobrą.

Obok dobrego przykładu, słowo boże głoszone po kościołach, domach, placach publicznych, było tym czynnikiem, który dokonywał u ludzi odmiany obyczajów, a było to słowo boże nieozdobne, dalekie od retorycznych frazesów, zato jasne, proste, zrozumiałe dla wszystkich; treścią kazań Franciszka i jego braci były cztery słowa: występek, kara, cnota, nagroda. Według tego programu oni ewangelizowali, przeorywali pługiem, jakby się dziś wyrazić, misyj, rekolekcyj, całą Italję, oraz niektóre prowincje Francji, Hiszpanji, Egiptu, Marokka. Co zaś najwięcej jednało Franciszkowi sympatji, co jego apostolstwo czyniło tak owocnem, to była miłość i współczucie dla ludzi najbardziej upośledzonych, dla biednych, chorych, może nie o wielu Świętych da się powiedzieć, żeby tak, jak on żyli, poświęcali się, pracowali dla nędzarzy.

Jego prace i trudy apostolskie były tak wielkie i ustawiczne, że wyczerpały do reszty jego siły i w 45 roku życia zaprowadziły go do grobu, ale już wtedy, choć jeszcze młody, mógł, umierając, powiedzieć z zadowoleniem, że misję sobie powierzoną, spełnił, gdyż dzięki tym jego pracom, poświęceniu, miłości przeszedł przez świat powiew duchowy silny, ożywczy, wskazujący ludziom sposób odrodzenia sumień, kierunek nowego życia, nowych duchowych dróg, ludzkość mogła z radością powitać brzask nowej epoki, pełnej światła i blasku, Franciszek umierając mógł spokojnie powtarzać ze św. Pawłem: „Dobrem potykaniem potykałem się, biegu dokonałem, wiary do-

chowałem, odłożony wieniec sprawiedliwości odda mi Pan w on dzień". — To misyjne apostolstwo zlecone sobie z nieba, zostawił w spuściźnie Seraf. Ojciec. swym duchownym synom i córkom, do nich należy to dzieło dalej prowadzić.

Potrzeby i bolączki współczesnego nam dwudziestego wieku, nie wiele się różnią od tych, na jakie chorował wiek trzynasty; jak wtedy, tak i dzisiaj wiara u ludzi bardzo słaba, obyczaje rozluźnione, małżeństwa, rodziny rozbite lub rozbiciem zagrożone, nędza, zwłaszcza wśród klasy robotniczej, skrajna, wyciskająca łzy z oczu, wszyscy trzeźwo patrzący, godzą się na to, że narody i państwa schodzą na bezdroża, że ludzkości zagraża powszechna katastrofa, jeśli w porę nie zawróci z drogi, którą idzie. Nie wiem, ile jest prawdy w tych ogólnie powtarzanych skargach i narzekaniach, a ile przesady, ale to wiem napewno, że przyczyną tego zła, które nas gniecie i dławi, jesteśmy my sami, my, którzy żyjemy bez wzajemnej miłości, bez wzajemnego niesienia sobie pomocy, każdy dla siebie, którzy żyjemy bez zrozumienia, że gdyby wśród nas było choć trochę ducha apostolstwa franciszkowego, tj. tej wzajemnej miłości, wzajemnego wspomagania się, toby świat nie wyglądał tak tragicznie.

Przykład apostolstwa Seraf. Ojca przedewszystkiem tercjarze naśladować by powinni i studjować te środki, zapomocą których mogliby skutecznie, dodatnio pracować dla społeczeństwa, dusze, umysły ludzkie potrzebują światła wiary a serca ożywczego ciepła miłości, zachęty do cnotliwego życia, ciała znowu potrzebują pokarmu, odzieży, a to wszystko można stworzyć, można mieć przez apostolstwo pracy, czynu. Do tego w pierwszym rzędzie powołani są tercjarze dobrze

zorganizowani pod jedną regułą, pod wspólnym sztandarem, do nich należy pokazać światu, że duch św. Franciszka jak w 13 wieku tak i dzisiaj zdolny jest społeczeństwo odrodzić i poprowadzić na drogę dobrobytu i pomyślności; środki do tego celu służące są te same, co i wtedy; przykład dobrego, świętego, uczciwego życia i wzajemna pomoc. Apostolstwo dobrego przykładu jak zawsze i wszędzie było, tak jest i pozostanie walnym czynnikiem w niesieniu, w szerzeniu moralnego zdrowia pośród ludzi; to jest prawdą, zwłaszcza w odniesieniu do dzisiejszych czasów, w których wszelkiego rodzaju występki i skandale przechodzą miarę; nie kryjąca się, nie żenująca obojętność religijna, jawne bluźnierstwa, bezwstyd w języku i ubiorach, nienawiść, zemsta, rażąca niesprawiedliwość, wyuzdana wolność prasy, zabójstwa, morderstwa, samobójstwa, te i tym podobne grzechy domagają się koniecznie i bez zwłoki jakieś zapory, jakiejś tamy, jeśli nie chcemy, by społeczeństwa ludzkie runęły w przepaść.

Tym zbrodniom niech zapobiegają tercjarze, w swoim zakresie, wedle swoich sił i możności; do ludzi nękanych, trapionych niesprawiedliwością, niegodziwością i wyzyskiem drugich, niech idą z pomocą materjalną, niech im dadzą odczuć to i tego ich nauczą, że ubóstwo franciszkańskie umie i potrafi poprzestać na małem i podzielić się z tymi, którzy bardziej potrzebują.

Biada tym, którzy nie poczuwają się do obowiązku przyjścia z pomocą dziełu miłosierdzia chrześcijańskiego, demokracja przeklinająca swoje rozpaczliwe położenie może urość w siłę, która z powierzchni zmiecie tych, co odtrącili jej rękę błagającą o ratunek.

Amen.

Konferencja XXIII.

Z św. Franciszkiem ku śmierci.

Śmierć, z którejkolwiek strony będziemy na nią patrzeć, przedstawia się jako coś bardzo poważnego, — w zmiennej kolei ludzkich rzeczy ona jest faktem niezaprzeczonym, mającym ogromnie doniosłe, decydujące znaczenie. Każdy z nas może ostatecznie na świecie żyć, jak mu się podoba, podług swego widzimisię, dogadzać sobie może, jak tylko zechce, ale nikt nie potrafi wyzbyć się tej myśli i tej pewności, że przez bramę śmierci przejść musi, a ciało swoje oddać na pastwę robactwa, a duszę Temu, od którego wyszła. Choćby ktoś doszedł do nie wiedzieć jak wielkich szczytów sławy i dobrobytu, nie potrafi się obronić przed tym pewnikiem, że kiedyś, wcześniej — później, wszystko musi zostawić i ulec nieubłaganej konieczności. Ten tylko nie potrzebuje umierać, kto się nie potrzebował urodzić, samo to życie, którem żyjemy, nosi w sobie zarodki śmierci; z chwilą, gdy siły żywotne organizmu ustaną, wyczerpią się, dusza opuszcza ciało skazane na chemiczny proces rozkładu, kiedy to nastąpi, nie wiemy i z tego właśnie powodu śmierć ma w sobie coś przerażającego, coś, co nas przejmuje strachem, lękiem, bez względu na to, czyśmy młodzi czy starzy, czy chcielibyśmy żyć, dłużej czy nie.

Żeby myśl o śmierci nie była tak smutna i przygnębiająca, na to jedynym sposobem, jedynem lekarstwem jest wiara; ta wiara, która wobec rozsypującego się w proch ciała, stawia przed oczy duszy jasną pochodnię pozagrobowego życia i to życia szczęśliwego, wiecznego, będącego nagrodą za poniesione na ziemi trudy, prace, cierpienia, za zebrane tu zasługi. Z tego punktu widzenia śmierć rozważana traci swoją grozę, przestaje być straszną; w świetle wiary ożywionej miłością, śmierć staje się czemś pożądanem nawet, czemś radosnem, jako koniec prac i cierpień, a początek nieprzemijającego szczęścia.

Z tych, co umarli, niewielu stosunkowo było takich, którzy mieli szczęście wyglądać, oczekiwać śmierci z pogodnem czołem, z uśmiechem na ustach, dla których ta śmierć była pożądaną, upragnioną siostrą, wybawicielką, aniołem pocieszenia. Do takich szczęśliwych, wybranych trzeba, ponad wszelką wątpliwość, zaliczyć naszego Patrjarchę, Seraf. Franciszka, który, jak mówi Tomasz da Celano, zbliżającą się śmierć przyjął ze śpiewem; ostatnie jego dni, a zwłaszcza ostatnie godziny jego życia są prawdziwie klasycznym wzorem, są cudownem misterjum miłości oblubieńca względem oblubienicy. Może nie będzie rzeczą pozbawioną duchowej korzyści, przypatrzeć się nieco bliżej jak wyglądała, jaką miała fizjonomię śmierć Franciszka: i właśnie to chcemy uczynić w niniejszej konferencji.

Co to jest śmierć? Dwie odpowiedzi można dać na to pytanie; jedna łatwiejsza jest taka: śmierć jest to rozłączenie duszy od ciała; prosty, nagi fakt, polegający na tem, że dwie istoty odrębne, różne: ciało i dusza, złączone ze sobą w jeden substancjalny byt, po pewnym czasie wspólnego ze sobą pożycia na tej

ziemi, otrzymują rozkaz, by się na jakiś czas ze sobą rozdzieliły. Nie chciałyby się rozłączyć, bo, choć nie zawsze żyły z sobą w zgodzie, mimo to kochają się jak brat i siostra, jak para oblubieńców, jednakowoż pod wpływem wyższej siły przeznaczenia do rozdziału przyjść musi i każda z nich wchodzi na drogę swego losu: dusza wraca do Boga, z którego twórczej mocy wyszła, ciało wraca do ziemi z której było ulepione; oto czem jest śmierć w swem prostem, potocznem znaczeniu.

Ale jeśli chodzi o głębsze wyjaśnienie tego pojęcia, to ono się wcale nie przedstawia ani jasne ani zrozumiałe, ale raczej trudne i skomplikowane. — Przedewszystkiem nikt z tych, co ścięci kosą śmierci od nas odeszli, nie wrócił nazad wpośród żyjących i nie dał naukowego wyjaśnienia tego faktu, który kładzie kres ludzkiemu życiu, nikt nie powiedział nam, jak się umiera i zatem śmierć, nawet w obec postępu i rozwoju nauk chemiczno-fizycznych, wobec wiedzy lekarskiej, pozostaje nadal jednym z najtrudniejszych problemów, interesujących ludzkość; wie się o tem, że ze śmiercią ustają fizjologiczne czynności ciała, wie się o tem, że w chwili śmierci człowiek stacza zażartą walkę, że oblany zimnym potem pasuje się, boryka z niszczycielską siłą, która odbiera życiową energję, zatruwa życiowe soki i sprowadza proces gnicia i pruchnienia — mimo to wszystko pozostaje zagadką, dlaczego i w jaki sposób ten rozkładowy proces się odbywa.

Zupełnie inny ma wygląd, inaczej się przedstawia śmierć z punktu widzenia wiary; człowiek umierający widzi w śmierci nie tyle fizyczny, chemiczny rozkład, co zamknięcie rachunku sumienia, tej księgi życia

i stawienie się przed trybunałem Sędziego Boga, mającego wydać wyrok wzywający po nagrodę lub skazujący na karę. Problem śmierci w tem świetle roztrząsany nabiera ogromnej wagi i znaczenia, nietylko jako moment rozłąki duszy od ciała w bólach agonji, ale jako początek życia, nie mającego końca; śmierć pod takim kątem widzenia będzie albo piękną i dobrą, albo brzydką i złą, zależnie od stanu sumienia w jakim się wtedy znajduje dusza człowieka.

Już Duch święty przez natchnionego pisarza pouczył nas, że przed obliczem Boga śmierć sprawiedliwych jest czemś drogiem, kosztownem; przeciwnie, śmierć złych, niepokutujących grzeszników, jest czemś najgorszem. — Innemi słowy, życie jest tem, co nadaje śmierci właściwe piętno i charakter; śmierć dobra po dobrem, ziemskiem życiu daje gwarancję wiecznej nagrody; — po życiu złem śmierć zła jest początkiem wiecznej kary, od nas zależy jaką ta śmierć być może lub powinna. Bóg w swej dobroci dał nam siły i przyrodzone i nadprzyrodzone, byśmy niemi zarobili sobie na wieczną nagrodę, na zbawienie, pozostawiając jednak w naszej mocy wolny wybór i użycie środków do tego zbawienia prowadzących.

Według nauki mistrzów duchownych przygotowanie do śmierci jest dwojakie: ogólne i szczegółowe; ogólne polega na tem, by swoje myśli, czyny, słowa, tak urządzić i w życie przeprowadzić, aby w chwili śmierci człowiek nie znalazł się w rozterce ze swojem sumieniem. W nieprzyjaźni z Bogiem, na podobieństwo owego sługi ewangelicznego, który podczas nieobecności swego pana zaniedbał gospodarstwo swego domu, nie dorabiał się majątku a powierzo-

nym sobie talencie. Przygotowanie bliższe, szczegółowe polega na modlitwie i na tych aktach, które mają za cel, za bezpośredni przedmiot straszną oną chwilę przejścia z tej ziemi w krainę wieczności, — to drugie przygotowanie ma swoje dni i godziny, nie jest ciągłe, ustawiczne, podczas gdy przygotowanie pierwsze, ogólne trwa bez przerwy, przez cały przeciąg naszego życia, ono jest nieprzerwanem, pogodnem, spokojnem kierowaniem myśli ku śmierci.

Nie wiemy napewne, które z tych dwóch przygotowań się do śmierci było więcej cenionem przez Seraf. Ojca, ale z całokształtu jego życia możemy wnioskować, że w świętości, do jakiej dążył i jaką posiadł, umiał połączyć jedno z drugiem — sztuka malarska lubiała nam go przedstawiać w postaci klęczącej, pochylonej, z oczami utkwionemi w czaszkę, w trupią głowę, coby oznaczało, że przedmiotem jego częstych rozmyślań była śmierć.

Między upomnieniami, jakie św. Franciszek dawał często swym Braciom, było to: „rozkosz krótka, karanie wieczne — małe cierpienie, chwała nieskończona". Te słowa miały im przypominać krótkość życia, bliską śmierć, i dodawać otuchy do chętnego dźwigania ciężaru obowiązków.

Że dla Seraf. Ojca myśl o śmierci była czemś powszedniem, codziennem, że stale nadawała kierunek jego życiu, to można było poznać w ostatnich zwłaszcza latach jego życia, pełnych przykrych cierpień i dokuczliwych chorób. Choroby poważniejsze, cięższe bywają zazwyczaj zwiastunkami śmierci, przygnębiają człowieka, odbierają mu spokój umysłu, zakłócają pogodę, równowagę myśli. U Franciszka nie było ani śladu czegoś podobnego, wszyscy historycy i biogra-

fowie jego stwierdzają jednozgodnie, że wśród chorób, nieraz ciężkich i dla życia niebezpiecznych, miał zawsze dobry humor i wesołe usposobienie tak, że braci i lekarzy zadziwiał.

Opowiadają, że gdy chory ciężko leżał w pałacu biskupa assyzkiego, przyszedł go odwiedzić lekarz z Arrezo, wielki jego przyjaciel — i żeby chorego nie przerazić, ukrywał beznadziejny stan choroby, nie mógł jednak ukryć wrażenia, jakie zrobił na niego wygląd Franciszka, tak wyczerpanego z sił i tak źle wyglądającego, że o uratowaniu życia na dłuższy czas nie było mowy. Franciszek spostrzegłszy to dyskretne, niepokojące milczenie lekarza, rzecze do niego: „Powiedzcie mi wyraźnie, co jest ze mną, jaki jest stan choroby, nie sądźcie, bym był tchórzem, człowiekiem małego serca, bym się bał śmierci, nie, — z bożej łaski jestem tak ściśle złączony z Bogiem, że ani śmierć mnie nie zasmuci, gdyby mi trzeba było umrzeć ani mnie życie nie ucieszy, gdyby mi je przedłużono: czy śmierć czy życie jednaką sprawia mi radość". Lekarz usłyszawszy takie słowa, rzekł z całą swobodą i otwartością: „Ojcze, zdaje mi się, że jesieni nie będziesz mógł przeżyć, zostaje ci zaledwie parę miesięcy do życia". — Wówczas Franciszek, z pogodnem czołem, podniósłszy się nieco na łóżku, wzniósł ku niebu ręce i zawołał, pełen radości i entuzjazmu: „Siostro śmierci, bądź pozdrowiona i przyjdź", a przywoławszy do siebie braci Anioła i Leona, kazał im śpiewać hymn do słońca i śpiewał go razem z nimi, ucieszony taką wesołą nowiną.

W miarę jak życie Franciszka skracało się, dobiegało końca, równocześnie rosło u niego pragnienie umrzeć jak najprędzej; coraz więcej odczuwał, że

na tym świecie znajduje się jakby we więzieniu i gorąco przyzywał śmierć, by przyszła z tego więzienia go uwolnić. I ta śmierć nie omieszkała w rzeczy samej wnet przyjść, Bóg mu objawił, że koniec jego życia bliski, że niezadługo skończą się jego cierpienia i prace, a rozpocznie się wieczność szczęśliwa. To objawienie sprawiło mu wielką pociechę, śpiewał jeszcze więcej, wiedząc, że zbliża się dla niego uroczyste, wielkie święto.

Przeczuwając bliski swój koniec Seraf. Ojciec, wyraził życzenie, aby go z Assyżu przeniesiono do klasztoru Matki Boskiej Anielskiej, do Porcjunkuli; chciał umierać tam, gdzie się nawrócił do Boga, gdzie odmienił swoje życie, gdzie założył swój Zakon, gdzie wyprosił tyle łask dla siebie i ludzi, gdzie uzyskał sławny na cały świat odpust. Zdawało mu się, że lepiej będzie mógł umrzeć w pośród gaju, u stóp drogiej swojej Madonny, przy boku „pani" ubóstwa. Wiadomo, że te parę miesięcy, które tam spędził, nim śmierć przyszła, zaliczał do najprzyjemniejszych w swojem życiu. Czasami zdawało się, że odzyskuje zdrowie, że przychodzi do sił, ma się lepiej, ale to były tylko złudzenia i pozory, śmierć zbliżała się z nieubłaganą koniecznością.

Nie możemy sobie odmówić przyjemności przytoczenia tu charakterystycznego faktu, że Franciszek, na parę dni przed śmiercią, napisał list do Rzymu do pani Settesoli, prosząc ją, aby przybyła do klasztoru Matki Boskiej Anielskiej, odwiedzić go. „Wiedzcie o tem, pisał, że P. Jezus w swojej łaskawości objawił mi, że koniec mego życia jest już blisko, dlatego, jeśli chcecie zastać mnie żyjącego, to po otrzymaniu tego listu spieszcie się przybyć do klasz-

toru Porcjunkuli, bo jeśli przybędziecie po sobocie, nie zastaniecie mnie przy życiu; a przynieście też ze sobą sukno i włosienice potrzebne do owinięcia mego ciała po śmierci, weźcie także świece na pogrzeb, a nie zapomnijcie również zabrać ze sobą ciastka i słodycze, które od was dostawałem, gdym chorował w Rzymie".

Nie wiadomo co bardziej w tym liście podziwiać, czy uprzejmość i kurtuazję Franciszka, czy też pogodę i spokój duszy wobec zbliżającej się śmierci.

Do Sióstr Klarysek od św. Damiana także napisał list z upomnieniem i prośbą, by się nie smuciły jego śmiercią, aby żyły w obserwancji reguły, w miłości bożej i siostrzanej, zaś swoim Braciom podyktował testament będący najdoskonalszem odźwierciedleniem, najwierniejszem streszczeniem jego życia, jego myśli, jego pragnień, najdroższą po nim pamiątką, najcenniejszą spuścizną.

Także i to przekazała nam tradycja, że Franciszek w ostatnich godzinach życia, pragnął na wzór Jezusa Chrystusa, odprawić ostatnią wieczerzę ze swymi uczniami, wziął chleb, błogosławił go, łamał na kawałki i podawał swym Braciom na znak niezmiernej, przeogromnej miłości, jaką ojciec umierający ma dla swoich dzieci. Błogosławiąc ich gorącem sercem, przebaczał im zarazem wszystkie przewinienia, jakie nieraz jeden względem niego popełnili stawiając mu przeszkody w przeprowadzeniu planów, dotyczących założenia trzech Zakonów.

Wyżej powiedzieliśmy, że gorącem pragnieniem Franciszka było, aby przy jego śmierci Bracia bez przestanku śpiewali hymny i śpiewali je wśród łez,

szlochania, dojmującego bólu, że wnet stracą z oczu, na zawsze, tak drogiego, kochanego Ojca — Franciszek wesoły, uśmiechnięty śpiewał razem z nimi, wiedząc, że bramy nieba już się dla niego otwierają. Pod koniec psalmu: „Voce mea". Głosem moim wołałem do Pana — przy słowach: „wywiedź z więzienia, Boże, duszę moją", odzyskał Franciszek na chwilę przytomność i chciał śpiewać jeszcze, ale już nie mógł. czuł, że siostra śmierć bierze go w objęcia. — Bracia mieli zaledwie tyle czasu, by zdjąć z niego tunikę i położyć nagiego na ziemi, jak im to wyraźnie polecił, w tym momencie święta jego dusza uleciała do nieba.

Jeszcze i o tem wspominają historycy, że zaledwie Franciszek umarł, zleciało się wielkie mnóstwo skowronków, usiadło na jego celi, śpiewając przez dobrą godzinę na cześć tego, który za życia miał tyle dla nich miłości.

Bracia i Siostry Tercjarze! Czy wam się wydaje być śmiercią to przejście świętego Patrjarchy z tej ziemi do nieba? Chyba nie, bo to było spokojne zaśnięcie, słodki odpoczynek, w którym dusza uwolniona z więzów ciała, przeniosła się na łono Trójcy w przepaść wieczności.

Jeżeli dni naszego życia pragniemy zakończyć snem sprawiedliwych, naśladujmy cnoty naszego Patrjarchy, który jak Serafin umarł, gdyż jak Serafin żył.

Amen.

Konferencja XXIV.

Z św. Franciszkiem ku chwale.

Rzeczą piękną lub brzydką może być śmierć, zależnie od tego, jakiem okiem i z której strony się na nią patrzy. Jest brzydką dla tych, co pozbawieni wiary, nie widzą w śmierci nic innego, jak ciemny, zimny, niemy grób, lub też jakiś olbrzymi przerażający głaz, o który rozbijają się wszystkie ludzkie sprawy i poczynania, od najmniejszych do największych, od najlepszych do najgorszych. Dla niewierzących śmierć jest tym molochem, który pożera zarówno dobrych jak złych, który pochłania tak bogatych jak ubogich, nie nagradzając nie karząc nikogo, — dla takich śmierć jest bezlitosną zimą, która mrozi i zabija wszelkie życie, nie robiąc nadziei wiosny.

Inaczej zupełnie patrzą na śmierć ludzie wierzący — oni, mimo wsystkie grozy i okropności, jakie śmierci towarzyszą, widzą w niej brzask nowego, sięgającego w nieskończoną dal światła, które rozświetla tajemnicze losy ludzkości, wyznaczając dobrym za ich cnoty nie mającą końca nagrodę jak znowu złym, za ich bezbożność i występki, wieczną karę. — Śmierć dla tych, co wierzą w Boga i Go kochają, jest zimą, po której nastaje kwiecista, zieleniąca się wiosna.

Z tego poznajemy, że prawdziwy triumf dusz sprawiedliwych, świętych, ma miejsce dopiero po śmierci; oni, Święci, pełni zasług, wolni od cierpień i dolegliwości jakichkolwiek, gdy staną na progu

wieczności, zobaczą i przekonają się w świetle chwały kto jest nagrodą ich wiary i cnotliwego życia, czem jest triumf odniesiony przez nich nad światem i pie kłem. Niewiara może się z nieba śmiać, nazywać je próżnem marzeniem, beznadziejną pustką, ale nigdy nie dokaże tego, by ludzkość wierząca nie uważała nieba za cel swego życia, za nagrodę swych prac i cierpień, by nie zwracała się ze czcią i prośbą do tych, którzy tejże nagrody stali się uczestnikami, już ją posiadają i są przed Bogiem naszymi orędownikami; Święci, jakby się wczoraj urodzili, a dzisiaj umarli, zapomnieć o nich niepodobna.

To się sprawdza w sposób przedziwny na Seraf. Ojcu, który przez swoją nadzwyczajną świętość i swoją wyjątkową miłość do stworzeń, zostawił po sobie tyle wspaniałych wzorów, godnych podziwu i naśladowania, że ludzkość poprzez długie wieki będzie się musiała jego osobą zajmować, jego postacią się interesować. Nie było ani jednego stulecia, w któremby pierwszorzędne umysły nie studjowały, nie wyświetlały jego życia, nie było epoki, w którejby nie rozpalały się, nie biły dla niego gorące, szlachetne serca; upływa właśnie teraz 700 lat od jego śmierci, a zdaje się, jakbyśmy go żywego widzieli wpośród nas, w jego nieśmiertelnych, ogromnych dziełach, jakbyśmy słyszeli jego głos, jego śpiew, jego poezje rozbrzmiewające niegdyś po wsiach i miastach doliny umbryjskiej. Zdaje się nam, że widzimy jego drobną, smagłą, chudą postać, a tak zarazem ujmującą i słodką, jak zwiedza dwa ulubione Sanktuarja: Porcjunkulę i św. Damiana, — wszędzie wyczuwamy miły zapach jego cnót, jednem słowem: Franciszek wśród nas żyje ciągle i triumfuje, jak bardzo pokornym był za życia, tak teraz sławnym i chwalebnym jest po śmierci, wielkim u Boga i u ludzi.

W tej ostatniej konferencji rzućmy okiem na triumf Seraf. Ojca, który z tronu niebieskiej chwały zwraca się do nas i mówi: sursum corda — w górę serca!

Przedewszystkiem miło nam jeszcze raz tu przypomnieć, jak zaraz po śmierci św. Franciszka, stado skowronków przyleciawszy z lasu, gdzie zapewne już się były do snu ułożyły, posiadały na celi Świętego i przez długą godzinę, nie bojąc się nikogo, śpiewały jakby na wielkie święto, zdawało się, jakby im kto powiedział, że umarł Franciszek, że należy zaśpiewać radosny hymn na cześć tego, który tyle razy je do siebie wabił, z niemi się pieścił, do nich się uśmiechał, niby do swoich braciszków i siostrzyczek. — To była pierwsza danina, pierwszy hołd złożony przez naturę wielkiemu jej miłośnikowi. Ten hołd wydaje się być tem bardziej na miejscu, ile że śpiew braci i sióstr skowronków łączył się w harmonijny zespół z chórem aniołów, którzy jak śpiewali nad Porcjunkulą wtedy, gdy się Franciszek urodził, tak tembardziej musieli śpiewać, gdy wszedł do chwały niebieskiej.

Że śmierć Franciszka była naprawdę triumfem, wolno wnioskować stąd, że jakieś niezwyczajne światło, dziwny blask, niby aureola, otoczyła jego zwłoki; ciało jego, wedle świadectwa współczesnych pisarzy, wycieńczone postami, umartwieniem, podobne do szkieletu o brunatnym, ziemistym kolorze, przybrało po śmierci giętkość, delikatność, subtelność, przenikliwość, tak, że robiło wrażenie jakby transparentu, — to był wyraźny cud wszechmocy bożej, która zabrawszy jego duszę do swej chwały, układała jego kości na spokojny, zaszczytny odpoczynek.

Bowiem trzeba o tem wiedzieć, że z chwilą, gdy Franciszek spoczywał już umarły na katafalku, rozpoczął się wśród ludzi triumfalny obchód ku jego czci i chwale; wieść o jego śmierci szybko się rozeszła po całej Umbrji, ludzie ze wszystkich stron ściągali ku Porcjunkuli, by oddać ostatnią posługę temu, który swem świętem, apostolskiem życiem wsławił całe Włochy, a na pierwszem miejscu rodzinne miasto Assyż. Ludzie szli pełni wiary i nadziei, że przy zwłokach Świętego łatwiej wypowiedzą swój smutek i żal, że

prędzej ukoją tęsknotę i zaczerpną pokrzepienie, umocnienie dla zbolałej duszy.

W rzeczy samej, tego dnia dużo było płaczu, lamentu, w Porcjunkuli, jedni płakali ze smutku, drudzy z radości, a to, co na pobożnych tłumach budzi wielkie wrażenie, była nietylko promienna aureola, wychodząca z ciała św. Franciszka, ale przedewszystkiem blizny na rękach, nogach, boku, podobne do ran Chrystusa, które można było oglądać, dotykać. Było to zjawisko całkiem nowe i osobliwe, bo choć Franciszek otrzymał te cudowne znaki, stygmata, na dwa lata przed śmiercią, to jednak ukrywał je starannie przed okiem ludzkiem, by nie mieć pokus do pychy i zarozumiałości; ale teraz, gdy dusza jego już nie władnęła ciałem, tajemnicze te blizny wyszły na jaw, cud stał się widocznym dla wszystkich, wystarczyło popatrzeć na Święte zwłoki, by odnieść wrażenie, że się widzi jakby odbicie, kopią Jezusa Chystusa, by płakać ze wzruszenia i podziwu.

Przyznać trzeba, że było wielu innych Świętych, przy których zwłokach tłumnie gromadzili się ludzie i podziwiali widoczne cuda boże, ale zdaje się, powiedzieć to można bez przesady, że Franciszek był w tym wypadku wyjątkową postacią, tak, jak wyjątkowym był entuzjazm tych mas, które miały szczęście oglądać w klasztorze Porcjunkuli tego nadzwyczejnego Świętego. Można powiedzieć, że apoteoza Franciszka od tej chwili się zaczęła, że w pamięci i sercach współczesnych tak żywo się odbiła jego postać, że wystarczyła do przekazania jej przyszłym wiekom i pokoleniom.

Entuzjazm, z jakim ludzie padli na kolana przed zwłokami Świętego doszedł do szczytu, przemienił się w szał, gdy przyszło te zwłoki odprowadzić do grobu. Assyż nie chciał za żadną cenę pozbawić się zaszczytu przechowywania u siebie tak drogiego skarbu, raz dlatego, że był miastem rodzinnem Franciszka, powtóre, forteczne mury miasta dawały dostateczne bezpieczeństwo i gwarancję obrony przed wykradnięciem

zwłok Świętego przez sąsiednie miasta. Bracia klasztoru Porcjunkuli nie mogli nie uznać słuszności tych powodów i zgodzili się, acz z ciężkim bólem serca, na oddanie miastu rodzinnemu ciała Świętego.

Kroniki ówczesne opowiadają, że konwój żałobny Franciszka nie był pogrzebem, ale wspaniałym triumfalnym pochodem, nietylko ze względu na nieprzejrzane tłumy ludzi przybyłych ze wszystkich stron, ale ze względu na wyjątkowo uroczysty nastrój pochodu: niemal każdy z uczestników tej procesji miał w ręcę gałązkę oliwną, na ustach „hosanna", a w oczach odblask żywej, głębokiej wiary i serdecznego bólu. Triumfalna procesja zatrzymała się przed klasztorem św. Damiana w tym celu, by św. Klarze i jej duchownym córkom dać sposobność ucałowania po raz ostatni ręki drogiego Ojca; kto sobie uprzytomni duchowy związek, jaki łączył Porcjunkulę ze św Damianem, ten zrozumie, jak rzewną i do głębi wzruszającą musiała być scena takiego pożegnania.

Assyż oczekiwał z radością, ale i ze smutkiem przybycia żałobnego orszaku, prowadzącego zwłoki wielkiego swego obywatela, który wracał, by już na zawsze tam zostać; tym razem wracał jak panujący, by objąć w posiadanie królestwo, wracał, aby być sławą i chlubą miasta, na które odtąd cały świat będzie zwracał oczy i wyglądał stamtąd pokrzepienia i umocnienia na duszy. Assyż pojął doniosłość i znaczenie tego powrotu i dlatego płakał pogrążony w żałobie, a równocześnie cieszył się w radosnem uniesieniu, wiedząc, że żaden zdobywca nie wkraczał z takim triumfem w mury zdobytego miasta, jak Franciszek wracał do swego rodzinnego gniazda. Ludność biorąca udział w tej uroczystości, upojona szałem, nie chciała oderwać się od przedrogich zwłok Świętego, ale w końcu odejść musiała, wznosząc frenetyczne okrzyki: „Nie zapomnimy o Tobie nigdy!" — Ten okrzyk ludzkość pojęła i do dziś dnia, od jednego krańca świata do drugiego, powtarza go ku czci i chwale „Biedaczyny" z Assyżu, grób jego stał się

celem pielgrzymek, przynoszących dolinie umbryjskiej i miastu Assyżowi życie i wiarę.

Kościół nie zwlekał z oddaniem Franciszkowi czci i honorów ołtarza; nie upłynęły dwa lata od jego śmierci, a już papież Grzegorz IX. ogłaszał uroczyście bullę kanonizacyjną, a równocześnie brat Eljasz zamyślał postawić wspaniałą świątynię, któraby była godnem miejscem do przechowania zwłok Seraf. Ojca, teraz z pod sklepień tego cudownego dzieła sztuki zdaje się wznosić w górę mistyczny zapach prochów Franciszka, a jego duch spowity blaskiem chwały, zdaje się mówić: Oto, kto panuje nad Assyżem, kto jest prawdziwym zdobywcą ludów.

Żeby sobie lepiej uświadomić apoteozę oddaną przez Świat chrześcijański Franciszkowi, należy rzucić okiem na piękne sztuki, które swemi nieśmiertelnemi dziełami rozniosły wszędzie jego chwałę.

Pierwsza, która się zajęła Franciszkiem, była architektura; ona wybudowawszy podziwu godną, wspaniałą świątynię, bazylikę assyzką, dała początek tym nieprzeliczonym kościołom, kaplicom, ołtarzom, jakie po całym świecie się budowały pod wezwaniem i ku czci św. Patrjarchy; trudno spotkać kraj, prowincję, czy nawet miasto, w którychby pobożność wiernych nie wzniosła Kościoła, lub nie ufundowała wotywnego ołtarza czy figury. statuy św. Franciszka.

W ślad za architekturą poszła jej rodzona siostrzyca, malarstwo. Najwięksi genjusze, najgłębsze talenty wysilały się w oddaniu, w przedstawieniu zapomocą pędzla i farb, czy to postaci Seraf. Patrjarchy, czy różnych epizodów z historji jego życia, żeby tylko wspomnieć o nieśmiertelnych freskach wielkiego Giotta, malowanych na wewnętrzych ścianach górnej bazyliki Assyża. Kto z nas, zwiedzając po świecie różne galerje i pinakoteki, nie spotkał się z dziełem sztuki malarskiej, przedstawiającej, przypominającej coś z życia del Poverello?

Jednakowoż, kto wzniósł, kto postawił największy pomnik, godny chwały Franciszka, to była niewątpli-

wie poezja w osobie Danta Alighieri, księcia poetów — jedenasta pieśń „Raju“ Boskiej Komedji, to wspaniały, niebosiężny hymn, który nigdy nie zamilknie, który po wszystkie czasy będzie przypominał głęboko mistyczną postać Franciszka, będzie go sławił jako słońce oświecające Kościół Chrystusa, jako wysłańca Opatrzności na leczenie ran schorzałego świata; hymn ten będzie opowiadał wszystkim o czystej szlachetnej miłości Franciszka względem „pani“ Ubóstwa, będzie głosił aż do krańców ziemi, że życie Serafina assyzkiego, chyba tylko w niebie godniej opiewać by można — Dante, tercjarz, zostanie po wszystkie czasy najlepszym piewcą, najznakomitszym panegirystą, w jego tercynach będzie uwiecznioną pamięć „naszego Patrjarchy“.

Tę daninę wiary i miłości, złożoną przez sztuki piękne świętemu Franciszkowi, historja pilnie zebrała, z pietyzmem przechowuje i przekazuje potomnym — szlachetna troska z jaką historycy poprzez wieki poświęcali swoje prace Franciszkowemu życiu, godną jest podziwu i uznania. O Świętych wiele książek się napisało, ale może o żadnym z nich tyle, co o św. Franciszku; literatura prawie wszystkich cywilizowanych narodów pełna jest pism dotyczących jego życia, jego działalności humanitarnej. Za naszych dni studja nad historją assyzkiego Patrjarchy odżyły na nowo w sposób przedtem niewidziany — po kościołach, zakrystjach, bibljotekach, archiwach szuka się dokumentów, źródeł mogących służyć do wyświetlenia postaci Świętego; jest to dowodem, że ludzkość nie chce, nie może zapomnieć o tym, który świętością swego życia i apostolstwem wycisnął niezaterte piętno na ludzkich sercach i pozyskał je sobie na zawsze.

Ale jeszcze bardziej sławnym i błogosławionym jest on tam w niebie, w blasku chwały, otoczony plejadą duchowych swych synów i córek, jemu zawdzięczających, po Bogu, dostanie się do nieba, do tego nieba, w którem on sam zajął miejsce opróżnione przez Lucyfera, za tyle cnót heroicznych a zwłaszcza

za miłość i pokorę to miejsce zaszczytne słusznie mu się należy. Do tego miejsca wzdychał, gdy mówił: „Dobro, jakiego się spodziewam jest tak wielkie, że wszelkie cierpienie jest dla mnie lekkie". O tem miejscu marzył, gdy przemawiał do Braci: „Wielkie rzeczy Panu obiecaliśmy, ale większe nam są obiecane, zachowajmy te, wzdychajmy do owych, rozkosz krótka, karanie wieczne, małe cierpienie, chwała nieskończona".

Z wyżyn tak zawrotnych on teraz spogląda na nas, którym w spadku, w spuściźnie zostawił najdroższy skarb swoich przykładów, którym zlecił dalsze prowadzenie swego apostolstwa. On chce, byśmy to zlecenie spełnili, byśmy kochali Boga i stworzenia, byśmy byli ubodzy, pokorni, posłuszni, umartwieni, byśmy gorliwie prowadzili dzieło moralnego odrodzenia, które on rozpoczął z tak wielkim nakładem pracy i przez które wysłużył sobie tak wielką chwałę. On założył trzy Zakony aby każdy w swoim zakresie był podporą Kościoła, dźwignią odrodzenia społeczeństwa, od spełnienia tej misji nikomu z nas nie wolno się usuwać, ale za wszelką cenę ją spełnić pod grozą rozminięcia się z niebem.

Siedemset lat dzieli nas od śmierci Seraf. Patrjarchy; potrzeby społeczne obecne są te sama co i ówczesne; dzisiaj jak i wtedy umysły i serca ludzkie potrzebują odkażenia, oczyszczenia z naleciałości, z osadu wybujałego samolubstwa, zwanego indywidualizmem, a skierowania ich na drogę braterstwa. Gdyby wśród nas stanął dzisiaj Franciszek. wezwałby nas do pracy nad zaprowadzeniem między ludźmi miłości, zgody, pokoju, zaś w pierwszym rzędzie zażądałby tego od tercjarzy — do nich przedewszystkiem należałoby unieśmiertelnić dzieło tego, który był jednym z największych Świętych, a zarazem jednym z największych miłośników i reformatorów ludzkości.

Amen.

Spis rzeczy.

Tercjarz powinien naśladować św. Franciszka . . 1
Z św. Franciszkiem ku Bogu 11
Z św. Franciszkiem ku Bogu 21
Z św. Franciszkiem u stóp Krzyża 30
Z św. Franciszkiem u stóp Tabernakulum . . . 41
Z św. Franciszkiem u stóp Dziewicy . . . 51
Św. Franciszek w stosunku do bliźnich . . . 60
Św. Franciszek w stosunku do bliźnich . . . 70
Św. Franciszek w stosunku do bliźnich . . . 79
Św. Franciszek w stosunku do bliźnich . . . 88
Św. Franciszek a przyroda 97
Z św. Franciszkiem na drodze pokory . . . 107
Z św. Franciszkiem na drodze pokory . . . 117
Z św. Franciszkiem na drodze posłuszeństwa . . 127
Z św. Franciszkiem na drodze posłuszeństwa . . 137
Z św. Franciszkiem na drodze ubóstwa . . . 147
Z św. Franciszkiem na drodze ubóstwa . . . 157
Z św. Franciszkiem na drodze ubóstwa . . . 167
Z św. Franciszkiem na drodze umartwienia . . 177
Z św. Franciszkiem na drodze umartwienia . . 187
Z św. Franciszkiem na drodze modlitwy . . . 197
Z św. Franciszkiem na drodze apostolstwa . . 206
Z św. Franciszkiem ku śmierci 215
Z św. Franciszkiem ku chwale 224

Posłaniec św. Antoniego z Padwy

Pismo miesięczne

Podaje artykuły o św. Antonim, św. Franciszku, artykuły misyjne, nauki okolicznościowe, przykłady i legendy, nauki rekolekcyjne.

Wychodzi we Lwowie, w klasztorze Braci Mniejszych (OO. Reformatów), ul. Janowska 66.

Prenumerata roczna . . . . . 4 zł.

„ „ w Ameryce . . 1 dol.

Nr. Konta P. K. O. 141.112.

Nabożeństwo ku czci św. Antoniego Padewskiego

Treść: Krótki życiorys św. Antoniego. — Ustawy Pobożnego Stowarzyszenia św. Antoniego. — Godzinki o św. Antonim. — Nowenna dziewięciowtorkowa. Wiadomość o medalu św. Antoniego. — Chleb dla ubogich. — Lilje św. Antoniego. — Nowenna do św. Antoniego. — Pieśni o św. Antonim.

Broszurowane 1 zł., oprawne w płótno 1.50 zł., z przesyłką zwykłą o 15 gr. więcej

BIBLJOTEKA FRANCISZKAŃSKA

1. Żywot św. Franciszka z Assyżu . . . 2·— zł.
3. Wpływ św. Franciszka na cywilizację . 1·50 „
4. O ubóstwie . . . . . —·50 „
5. Pisma św. Franciszka z Assyża . . . 1·50 „
10. Żywot św. Klary . . . . . —·50 „
11. O ćwiczeniu się w obecności Bożej . . —·60 „
12. Żywot św. Elżbiety . . . . . —·50 „
13. O modlitwie i rozmyślaniu . . . . . —·60 „
14. Żywot Bł. Jana Vianney . . . . . 1·— „
15. O postępie duchowym . . . . . —·60 „
16. Żywot św. Katarzyny Bolońskiej . . . —·60 „
17. O naśladowaniu Jezusa Chrystusa przez naśladowanie św. Franciszka . . . 1·— „
18. Żywot św. Weroniki Juliani . . . . —·60 „
19. Sposób zbierania zasług na niebo . . . —·60 „
20. Żywot św. Piotra z Alkantary . . . . —·60 „
21. Porcjunkula . . . . . —·60 „
22. Żywot św. Fidelisa . . . . . —·60 „
23. Tercjarka św. Franciszka . . . . . 1·— „
24. Żywot bł Joanny d'Arc . . . . . 1·— „
25. **Nauki czerwcowe** na podstawie Litanji do Imienia Jezus . . . . . 1·50 „
27. Zdania i myśli bł. Idziego . . . . . —·80 „
28. Życie wewnętrzne św. Franciszka . . . —·80 „
29. Kobieta Tercjarką św. Franciszka . . . 1·50 „
30. Śladami Seraf. Ojca . . . . . 4·— „
31. Rekolekcje ludowe . . . . . 3·— „
32. Obrazy pasyjne . . . . . 3·— „

Z przesyłką pocztową o 15 gr. więcej.

Nabywać można: Redakcja Posłańca św. Antoniego, Lwów, ul. Janowska 66.